



PORTA
COELI
CZARNE ŻNIWA

SUSANA VALLEJO

Vallejo Susana

Porta Coeli 02

Czarne żniwa

Enrique, drugi syn hrabiego Rascon y Carnejo, wie doskonale, że znakomite pochodzenie niczego mu nie zapewni. Pozbawiony tytułu, złańiony zaszczytów młodzieniec godzi się na zostanie agentem Arcybiskupa i infiltrację Toledo, w którym doszło ostatnio do serii dziwnych zaginięć. Wielokulturowe miasto jest solą w oku kościelnych namiestników i, wedle powszechnej opinii, siedliskiem zakazanych kultów. Enrique zrobi wszystko, by tylko wykazać się przed zwierzchnikiem od tego, czy osiągnie sukces, zależy przyszła kariera młodego agenta. Współpracując z Inkwizycją i zagłębiając się coraz bardziej w zagmatwany labirynt uliczek i podziemi Toledo, Enrique nie przypuszcza, że już niebawem będzie musiał zweryfikować całą wiedzę na temat otaczającego go świata. Gdy na jego drodze staje Veridiana, nieszczęśliwie zakochana w mnichu uciekinierka z Francji, kościelny agent odkrywa, że poza ziemskimi zaszczytami jest również coś więcej...



CZĘŚĆ I

O tajnej misji, która miała
swe początki w Toledo,
mieście nauk zakazanych

Jego przeznaczenie zostało przypieczętowane w pałacu biskupim. Kroki Enrique rozbrzmiewały głośno w niemal pustej sali. Ich echo niosło się po długich korytarzach, którymi kroczył jeszcze przed chwilą. Napotykańi po drodze służący kłaniali się z respektem temu młodzieńcowi, przyjmowanemu na osobistych, aczkolwiek nieregularnych audiencjach przez samego jego eksceleńcję, Wielebnego Juana de Aragon, mianowanego dwa lata temu, w 1327 roku, arcybiskupem Tarragony.

Enrique ściszał mocno w rękę jakiś dokument. Pod maską obojętności ukrywał głębokie wrażenie, jakie wywarła na nim rozmowa, a które było w nim żywe nawet teraz, kiedy przemierzał rozległe korytarze pałacu. Ściany ozdobiono gobelinami, którym zdążył

się szczegółowo przyjrzeć, oczekując na audiencję. Pobożne sceny, obrazki z polowania, fantastyczna flora i fauna przyozdabiały pomieszczenie pachnące kadzidłem, woskiem i ugruntowanym przepychem, którego się tu nie spodziewał.

Kasetonowy sufit wykonano ze szlachetnego drewna, a jego skomplikowane geometryczne wzory przypomniały Enrique zawile ścieżki, jakie musiał pokonać w przeciągu swoich niespełna dziewiętnastu lat życia, by doczekać się tego szczególnego momentu.

Kilka godzin wcześniej przemierzył te same korytarze pełen niepokoju, z duszą na ramieniu i wrażeniem pustki w trzewiach.

Teraz za to, wychodząc, odczuwał dziwne ciepło, które rodziło się gdzieś w środku i po przejściu przez całe ciało docierało do czubków drżących palców dłoni.

Dopiero gdy ponownie wyszedł na ulicę i znalazł się kilkaset metrów od pałacu, odważył się zatrzymać. Oparł się o pobieloną wapnem ścianę i odetchnął głęboko.

A więc udało się! Tyle lat starań i nieustannej pracy doprowadziło go do sytuacji, która dawała mu możliwość wspinania się po kolejnych szczeblach kariery, planowanej od dawna. Wreszcie trzymał w ręku opatrzony lakową pieczęcią owoc swoich trudów. „Nauczyciel gramatyki” widniało tam czarno na białym. Nauczyciel - może to i niewiele, ale było coś jeszcze, o czym dokument nie mówił... i właśnie to coś wprawiało go w takie podniecenie.

Raz jeszcze nabrał głęboko powietrza i schował pergamin do wewnętrznej kieszeni. Rozejrzał się wokół, chcąc upewnić się, że nikt go nie śledzi. Spróbował się uspokoić i pozwolił, by prowadziły go uliczki zmierzające do placu.

Nikt nie wiedział, jakie zadanie mu powierzono. Zaufanie, którym obdarzył go Juan de Aragon, stanowiło ostateczny dowód, że podążał we właściwym kierunku. „Dyskrecja i lojalność - powiedział mu - tego właśnie oczekuję po tobie, Enrique de Rascón y Cornejo”. Ucałował wtedy pierścień, nie ośmielając się podnieść wzroku.

Dotarł na plac i z przyjemnością poczuł ciepłe promienie wiosennego słońca. Intensywny błękit nieba zakłócała jedynie samotna biała chmura przypominająca kłaczek waty.

Enrique rzucił ostatnie nieufne spojrzenie w uliczki, które zostawił za sobą; przez chwilę wydawało mu się, że w cieniu mignęły jakieś niewyraźne postacie. Nie zwrócił na nie uwagi, nigdy nie zwracał, zdążył się już do nich przyzwyczaić.

Mocne przeżycie, które wywołało rumieńce na jego twarzy, pchnęło go do karczmy. Ze względu na ciepłą pogodę wyciągnięto na zewnątrz kilka stołów i ław. Młodzieniec znalazł spokojny kąt, z dala od innych gości. Wokół miejscowi rozprawiali hałaśliwie, ale dla niego był to jedynie nieistotny gwar, który z łatwością puścił mimo uszu.

Wciąż powracał myślami do odbytej przed chwilą rozmowy. Bez końca powtarzał sobie tamte słowa,

żeby na zawsze wryły mu się w pamięć, żeby stały się jego drogowskazem w tej świętej misji. Bowiem taką właśnie misję powierzył mu Juan de Aragon: świętą i poufną.

- Oczekuję po tobie tej samej lojalności i dyskrecji, jakich dowiodłeś Fernandowi de Vilamur w ostatnich latach. Wystawił ci doskonałe świadectwo - ciemne spojrzenie arcybiskupa poszukało błękitnych oczu Enrique.

- To zaszczyt być przyjętym przez waszą ekscelencję. Może ksiądz arcybiskup liczyć na moją wierność, póki mi życia starczy - odparł Enrique głosem z początku drżącym, który jednak nabierał pewności, w miarę jak mówił.

- Wstań, proszę.

Młodzieniec podniósł się i czekał w milczeniu, aż biskup podejmie rozmowę. Starął się przy tym zawrzeć w spojrzeniu całą stanowczość, której tamten zdawał się po nim oczekiwać.

- Niektóre wiadomości, docierające do mnie z Toledo, napełniają mnie smutkiem i niepokojem, które już i tak mi towarzyszyły, od kiedy opuściłem miasto, by przybyć do Tarragony.

Enrique zdziwił się, że jego ekscelencja mówił mu o swoich odczuciach tak otwarcie, ale starał się z tym nie zdradzić.

- Minęły zaledwie dwa lata - ciągnął dalej - od kiedy wyjechałem z Toledo do Tarragony. - Juan de Aragon spojrzał przenikliwie na Enrique. - Zostawiłem tam moich zaufanych ludzi, niemal przyjaciół.

Wiadomości, które od nich docierają, są bardzo niepokojące i zmusiły nas do podjęcia specjalnych kroków...

Arcybiskup wstał i zbliżył się do młodzieńca.

- Prace przy budowie katedry w Toledo ledwie się posuwają - jego głos zniżył się niemal do szeptu, co jeszcze bardziej nadało wypowiedzi ton zwierzania. - Budowa wieży opóźnia się z najróżniejszych powodów. Grunt się zapada, brakuje surowca... A w dodatku, Enrique - arcybiskup przełknął ślinę, smakując słowa, które zamierzał wypowiedzieć - jakby tego było mało, zniknął majster Vicente.

Enrique nie potrafił opanować gestu zdumienia.

- Ale nie to jest najgorsze... Najgorsze, że to nie odosobniony przypadek - arcybiskup znów poszukał wzrokiem oczu swojego rozmówcy. - Kiedy byłem prymasem w Toledo, krążyły już takie plotki, do których, przyznaję, nie przywiązywałem żadnej wagi... - Zapominając już całkiem o protokole, arcybiskup pochylił się ku młodzieńcowi i szepnął: - Opowiadano, że Żydzi porywają i mordują mężczyzn, kobiety i dzieci. „Bajdurzenie!”, myślałem. Tajemnicze zniknięcia! Porwania! - ciągnął. - Taaak... Fantazje ludzi, którzy nie mają nic lepszego do roboty niż wymyślać straszne historie.

Juan de Aragon przerwał na chwilę i Enrique wydało się, że dostrzegł w jego ruchach cień znużenia.

- Jednak moi informatorzy donoszą mi o niepokojących faktach: doszło do nowych zaginień. Ostatnim

z nich było zniknięcie z katedry majstra Vicentego. To poważna sprawa! Niedopuszczalna! - wykrzyknął jego eksceleńcja tak nieoczekiwanie, że Enrique aż podskoczył. - No i teraz prace znów stanęły...

Enrique zastanawiał się, co bardziej martwi arcybiskupa: niepewny los majstra Vincentego czy opóźnienia w budowie katedry.

Jego Eksceleńcja wrócił na swoje miejsce i rozsiadł się wygodnie.

- Znasz Toledo, Enrique? - Zmiana tematu zaskoczyła młodzieńca.

- Toledo to miasto, w którym porządny chrześcijanin może się nauczyć wszystkiego, czego nie powinien! Żydzi i Arabowie mieszkają obok katolików, którzy znają i przechowują wszelkie pogańskie nauki. Słyszałeś o *Ars Toletana**?

Magia, alchemia, nekromancja, kabalistyka, astrologia... Wszystko tam znajdziesz, łącznie z ludźmi z całego świata, nie tylko chrześcijańskiego. Wielu heretyków osiada w tym mieście, kryjącym w sobie najbardziej nieczyste nauki.

Enrique nigdy nie był w Toledo, ale ktoś nie słyszał o tym mieście, w którym można było studiować każdą dziedzinę wiedzy, mieście, do którego przybywali z najdalszych zakątków świata magowie i mędrcy.

- Chcę być z tobą szczerzy... Aż do chwili obecnej nikt nie odważył się zdrzeć z Toledo. Ale sytuacja

* z łac. *Ars Toletana* - sztuka toledańska {przyp. red.)

się zmieniała. Nasz drogi papież, Jan XXII, niech Bóg ma go w opiece, za cel postawił sobie świętą misję zjednoczenia wyznawców naszej wiary, wyplenienia herezji i innowierstwa. Kastylia jest terenem granicznym między królestwem Granady i świętym chrześcijaństwem. A Toledo... Moi najbardziej zaufani informatorzy donoszą, że w Toledo, w sercu Kastylii, Żydzi złorzeczą w synagogach chrześcijanom, a nocami po mieście niosą się krzyki niewinnych zaginionych. Mówią, że używają chrześcijańskiej krwi do swoich czarów i obrzędów...

Enrique czekał w milczeniu, aż arcybiskup wyjaśni mu, jaka ma być jego rola.

- Równie dobrze może tu chodzić o wyrównanie rachunków za rzeź w Estelli.

Enrique wiedział, że minionego roku w Navarze zostało wyrżniętych ponad sześć tysięcy Żydów, w tym kobiety i dzieci.

- Doszły mnie wieści, że specjalnie powołany trybunał, który bada tę sprawę, lada chwila wyda wyrok. Ma dowody, że do rzezi w Estelli podzegał nie tylko, jak wcześniej sądzono, brat Pedro de Ollogoyen... - arcybiskup zniżył głos tak, że Enrique ledwie go słyszał. - Na światło dzienne wyjdą nazwiska pewnych ważnych osób... Choć, ostatecznie... może i nie wyjdą.

Juan de Aragon odkasznął i poprawił się w fotelu.

- A jeśli nie wyjdą... O, jeśli nie wyjdą, Żydzi nie dopuszczają, żeby przelew krwi tysięcy ich pobratymców pozostał bezkarny... Jednak zapewniam cię,

Enrique - jego Ekscelencja zacisnął zęby w nagłej irytacji i ze stanowczością, której jego rozmówca się nie spodziewał - my też nie zgodzimy się na to, by mordowano chrześcijan. Zawsze będziemy bronić naszych braci w wierze!

Juan de Aragon zrobił teatralną pauzę i spojrzał wymownie, jakby w ten sposób chciał mu dać do zrozumienia coś, czego nie odważył się wypowiedzieć na głos.

- Chcę, żebyś był moimi oczami w Toledo, Enrique. Moimi oczami i uszami. Fernando de Vilamur bardzo cię chwalił, ma o tobie i twojej dyskrecji doskonałe zdanie. Ja... przeprowadziłem własne rozeznanie i wszyscy mówią o tobie bardzo dobrze. Myślę, że jesteś człowiekiem, jakiego potrzebujemy.

Arcybiskup wstał i poprowadził Enrique de Rascona y Cornejo do stołu zarzuconego pergaminami. Zaczął je przekładać, aż wreszcie znalazł to, czego szukał, i uśmiechnął się do młodzieńca.

- Nauczyciel gramatyki, co o tym sądzisz? Mówiono mi o twojej *peritia litteratum**. Znasz już najnowsze dyspozycje: ważne kościoły w każdej diecezji mają mieć swojego nauczyciela gramatyki. Pod tym płaszczykiem ukryjemy twoją prawdziwą misję... Pamiętaj: masz być moimi oczami i uszami. Chcę, żebyś odnalazł majstra Vicentego i jeśli, zgodnie z tym, co mówią, to Żydzi spowodowali jego zniknięcie, jak również

* z łac. *peritia litteratum* - doświadczenie w dziedzinie literatury (*przyp. red.*).

pozostałe, które wprawiły miasto w przerażenie, chcę, żebyś znalazł winnych. Ale nie wystarczy mi nazwiska sprawców, potrzebuję dowodów ich winy. Dowody, Enrique, potrzebuję dowodów!

Juan de Aragon wziął laseczkę laku, podgrzał ją w płomieniu świecy i odcisnął swą pieczęć na dokumencie, który rekomendował młodzieńca jako nauczyciela gramatyki w klasztorze dominikanów. Enrique miał wrażenie, że tym gestem przypieczętował również jego dalsze losy.

- Ekszelencjo, nie zawiodę księdza arcybiskupa. Nie mam słów, by wyrazić moją wdzięczność za zaufanie, jakim mnie wasza ekselencja obdarzył i... obiecuję, że nie ustane w wysiłkach, dopóki nie dowiem się, co się stało z majstrem Vicente i nie zdobędę dowodów przeciwko winnym tych zaginięć, kimkolwiek oni są.

Enrique lubił powtarzać za swoimi przełożonymi ich polecenia. W ten sposób upewniał się, że wszystko dobrze zrozumiał.

Arcybiskup pokiwał głową z aprobatą i wyciągnął do niego zalakowany dokument.

- Zapamiętaj sobie dobrze to nazwisko: Alfonso Barroso. To przedstawiciel Rzymskiej Inkwizycji w Toledo. Gdy tylko się czegoś dowiesz, zawiadom mnie przez Alfonsa Barroso. Arcybiskup przerwał na chwilę, jakby chciał tym sposobem jeszcze bardziej podkreślić ważność tego człowieka. - Tylko ty, ja i Alfonso Barroso będziemy wiedzieli o prawdziwym celu twojego pobytu w Toledo. Znajdziesz go w klasztorze.

- Alfonso Barroso - powtórzył Enrique, starając się wyryć w pamięci nazwisko, do którego arcybiskup zdawał się przywiązywać taką wagę. - W klasztorze dominikanów.

Don Juan de Aragon potwierdził i podsunął mu pierścień do ucałowania.

Młodzieniec sądził, że audiencja dobiegła końca, ale gdy miał już odejść, arcybiskup dorzucił jeszcze, jakby od niechcenia:

- Pamiętaj: jesteś moimi oczami i uszami. Znajdziemy sposób, by ci to wynagrodzić...

Enrique zatrzymał się i raz jeszcze pokiwał głową.

- Ach, słuchaj, jeszcze jedno... - Jego Ekscelencja nadał swojemu głosowi poufny ton. - Ojciec Święty nie życzy sobie, by „sprawa wiary” została po prostu w rękach franciszkanów i dominikanów. Również do nas należy ściganie herezji i karanie heretyków, a tym bardziej morderców niewinnych chrześcijan. Również do nas - arcybiskup ze szczególną emfazą podkreślił ostatnie zdanie.

Enrique odniósł wrażenie, że coś istotnego mu się wymyka, coś o czym Juan de Aragon nie chce mówić wprost, a co może okazać się kluczowe. Wiedział przecież, że Inkwizycja Rzymska, procesy i wyroki w sprawach wiary zależą bezpośrednio od dominikanów i franciszkanów i jedynie papież może je anulować. Inkwizytorzy byli odpowiedzialni jedynie przed Ojcem Świętym i choć biskupi współpracowali przy piętnowaniu heretyków i wykonywaniu na nich wyroków, to jednak nigdy nie prowadzili dochodzeń.

Przez chwilę Enrique miał wrażenie, że stał się tylko pyłkiem w starciu sił, z którymi nie miał nic wspólnego.

- Znajdziemy sposób, by cię wynagrodzić... - powtórzył arcybiskup, a jego słowa przerwały mroczne rozważania młodzieńca i utwierdziły go w postanowieniu jak najlepszego wykonania misji, w którą na chwilę zważył.

Młodzieniec wziął dokument, który podał mu arcybiskup i skłonił się.

- W imię zwycięstwa jedynej wiary i chrześcijaństwa. Dyskrecja i lojalność. Tego od ciebie oczekuję, Enrique de Rascón y Cornejo - powtórzył.

- Tego Jego Ekscelencja może być pewien.

Dyskrecja i lojalność, powtórzył sobie po raz kolejny młodzieniec. Wychylił ostatni łyk wina, które wypił, nawet tego nie zauważając.

Powoli odzyskiwał panowanie nad emocjami, jakie nim zawładnęły. Enrique odetchnął głęboko, jak gdyby chciał zaczerpnąć siły ze świeżego wiosennego powietrza. Arcybiskup Tarragony powierzył mu poufną misję, a on będzie wiedział (zawsze to wiedział), jak zaspokoić życzenie swojego przełożonego. Nie, nigdy nie zdoła zdobyć tytułu, o którym marzył jego starszy brat, tytułu hrabiego de Rascón y Cornejo. Jednak jego ambicje były ogromne, a pragnienie osiągnięcia wysokiej rangi silniejsze niż wszystko. A teraz, wreszcie, najwyższe drzwi uchyliły się przed nim. Marzenia stawały się rzeczywistością.

Będzie musiał wszystko przygotować. Pożegnać Fernanda de Vilamur i królestwo Aragonii i pojechać do Kastylii.

Toledo, miasto nauk zakazanych, oczekiwało na niego.

Veridiana nauczyła się kochać miasto, które stało się jej schronieniem.

Początkowo Toledo wydało jej się prowincjonalne, smutne i mało kastylijskie. Tęskniła za wesołą Tulużą, śpiewną mową jej mieszkańców, szerokimi wodami Garonny, zielonymi łąkami i bujnymi lasami. Toledo było zupełnie inne: surowe i pełne szorstkości. Owszem, było położone nad wodą, gdyż Tag otaczał niemal ze wszystkich stron wzniesienie, na którym je zbudowano. A przecież prawie nigdy tu nie padało, zimy były równie suche, co duszne lata. Pola wokół Toledo zabarwiały się na żółto, krzewy i niskie drzewa spalone przez słońce w niczym nie przypominały soczystej zieleni ziem francuskich.

Jednak wszystko to, co w pierwszej chwili jej się nie spodobało, z czasem nabrało w jej oczach pewnego uroku. Aż wreszcie nadszedł czas, gdy z zachwytem wpatrywała się w złociste zachody słońca na pobliskich wzgórzach, jesienne mgły, gęste i zwarte niczym olej, mroczne zaułki... A nawet odnalazła w oschłej mowie Kastylijczyków słodkie wspomnienia swojego dzieciństwa w León, o których sądziła, że na dobre zatarły się w jej pamięci.

Tym sposobem w kilka lat Veridiana odzyskała właściwe sobie pogodne usposobienie i przystosowała się do nowego miasta i nowej rodziny, którą traktowała jak własną. W towarzystwie brata Juana i jego żony Marii, a zwłaszcza ich dzieci Clary i Ridriga, których dorastanie obserwowała z radością, Tuluza z każdym dniem stawała się wspomnieniem coraz bardziej odległym i mglistym. Olśniewającym i wspinałym, o tak, ale wraz z upływem czasu coraz bardziej ulotnym. Niczym odbicie w tafli wody.

Czasem wydawało się jej, że któregoś dnia przeciągnie dłonią po powierzchni wód swojej pamięci, a wówczas i tak już niewyraźne zarysy Garonny, bazyliki Saint-Sernin czy kościoła dominikanów znikną na zawsze.

Kiedy indziej razem tęskniła za przepychem i luksusem, którego zażywała we Francji jako baronowa de Fleurilles. Wspominała skomplikowane detale strojów, jakie dawniej nosiła, bale wydawane w zamku nad brzegiem Garonny. Zabawiała się odtwarzaniem w pamięci szczegółów, takich jak wzór biżuterii, którą podarował jej Guy, gdy skończyła dwadzieścia lat, pieśń trubadura podczas obchodów powitania lata czy zdobienia na drogocennym drewnie jej mebli... Co noc, kładąc się na swoim prostym sienniku, tęsknie wspominała materac z pierza i świecę, która oświetlała jej komnatę przez całą noc, odganiając czające się w ciemnościach cienie.

Najbardziej tęskniła właśnie za tymi drobiazgami składającymi się na codzienne życie.

Teraz wszystkie te rzeczy odeszły w przeszłość, a kiedy ogarniała ją tęsknota, starała się przypomnieć sobie Guya i najgorsze wady tego starca, którego musiała poślubić jako dziewczynka. Myślała też o śmierci. Bo w Tuluzie śmierć czaiła się obok niej i tylko cudem zdołała ją dwukrotnie okpić.

Wówczas, gdy na nowo uświadamiała sobie, przed czym uciekła, modliła się i dziękowała Bogu, że uszła z życiem. I mówiła sobie, że dobrze zrobiła, wyjeżdżając z Francji, zamiast żyć dalej w przepychu w mieście, gdzie wcześniej czy później dosięgłaby ją śmierć. W Kastylii ukryła się u boku swojego najmłodszego brata Juana, tego samego, który splamił honor rodziny, postanawiając zająć się kupiectwem.

A jednak... a jednak mimo wszystko Veridiana czuła się panią jednego z piękniejszych miast świata. Niekiedy, spacerując uliczkami i placami Toledo, nieświadomie przybierała wyniosłą postawę wielkiej damy. Plebs i szlachcice odwracali się za nią, zaskoczeni wyglądem i zachowaniem tej kobiety, która odziana w pospolite szaty kroczyła niczym królowa.

Niemal co wieczór - ponieważ poranki poświęcały na prace domowe i gospodarskie - Veridiana i jej bratowa Maria zabierały swoje robótki i przechodziły na drugą stronę ulicy, by odwiedzić Marię Isabel.

Sąsiedzi również zajmowali się handlem. Początkowo Veridiana nie miała szczególnej ochoty na

przyjaźń z kimś, kto zdobył swój dom i pozycję, bogacąc się na tak podłym zajęciu, a nie dzięki szlchetnemu urodzeniu. Jednak życzliwość jaką jej bratowa żywiła do sąsiadki, przekonała ją wreszcie, że kobieta ta była nie tylko dobrą, bogobojną osobą, lecz nadto wesołą i dowcipną towarzyszką. Jej początkowy dystans zniknął zatem, a jego miejsce zajęła szczerza sympatia.

Wieczorami siadały we trzy na patio*, szyły i haftowały, pogryzały ciasteczka i gawędziły o sprawach ludzkich i sprawach boskich.

Dopiero tam, przy tych kobietach, które los postawił na jej drodze, Veridiana poczuła naprawdę, że jest w domu. We Francji nie znalazła takich przyjaciółek. Te zaś przypominały jej towarzyski dziecięcych zabaw w León, mieście, które już niemal zdążyło się zatrzeć w jej pamięci.

- Twój mąż może i jest dobry, jednak przede wszystkim jest głupi - mówiła Isabel.

- To święty - odpowiadała jej bratowa nie podnosząc nawet wzroku znad robótki.

- Raczej kapuściany łeb. - Zostaw w spokoju mojego brata - mruknęła Veridiana.

- Nic do niego osobiście nie mam, moja droga, ale jeśli tego nie powiem, to chyba wybuchnę. - Maria Isabel odłożyła robótkę na kolana, by swobodnie

* Patio - z hiszp. - dziedziniec wewnętrzny, otwarty, ozdobiony kolumnami, balkonami, fontanną, kwiatami (*przyp. red.*).

gestykulować. - Sama pomyśl, kto mu kazał kupować u Antonia? Przecież wszyscy wiedzą, że ma wygórowane ceny!

- Dla Juana to bez znaczenia. Jego materiały są najlepsze.

- Najdroższe.

- Najlepsze.

- Mów, co chcesz. Ale każdy ci powie, że wyrzuca pieniądze... A to nie są czasy na wyrzucanie pieniędzy!

- Tu się zgadzamy. Kto by się spodziewał... Veridiana pracowała z oczami wbitymi w robótkę.

Haftowała kwiat o długich, zakrzywionych płatkach i chciała, by wszystkie wkłucia trafiły idealnie w swoje miejsce. Przyzwyczała się już do sprzeczek między Isabel i jej bratową Marią. Sama była z natury milcząca; zwykle nie brała udziału w dyskusjach i drobnych sporach swoich przyjaciółek, poświęcając więcej uwagi robótkę.

Na pierwszym piętrze trzasnęły jakieś drzwi. Wszystkie trzy podskoczyły nerwowo na krzesłach.

- Matko Boska i wszyscy święci! - Isabel się przeżegnała. - Ale się przestraszyłam! Mało się nie ukłułam w palec.

- Na tym patio wszystkie dźwięki inaczej się rozchodzą. Tu jest... jakieś echo, które zwielokrotnia dźwięki... - wyjaśniła Maria.

- Wiecie... - Isabel odłożyła robótkę na kolana nieco przesadnym, teatralnym gestem i odezwała się konspiracyjnym szeptem: - Wczoraj w nocy znów to słyszałam

- Ale co?

- Krzyki - szepnęła jeszcze ciszej.

Maria przeżegnała się, a Veridiana poszła w jej ślady.

- Obudziłam się i je usłyszałam, tak samo jak poprzednim razem... Coś jakby płacz dziecka... A potem nagle, bum, te tępe głuche uderzenia. I ostatni krzyk! A na koniec... następne uderzenia! Jak gdyby rąbali kogoś na kawałki.

- Na Boga, Isabel, nie opowiadaj bzdur - poprosiła Veridiana.

- Ale to prawda! Już nie pierwszy raz to słyszę, przecież wiecie... Ale wczoraj w nocy były wyraźniejsze. Rozbudziłam się, cały czas powtarzałam sobie: „Spokojnie Isabel, nie daj się ponieść fantazji! Pozwól, by Pan cię oświecił; pomyślmy nad tymi dźwiękami. Zastanówmy się, co to może być...” - No i wsłuchałam się z całą uwagą i nic! Dalej słyszałam krzyk dziecka! I te ciosy, które słychać potem... - Zrobiła teatralną przerwę - Głuche i tępe... Jak gdyby je ćwiartowali!

- Znów to samo! - Maria cmoknęła z dezaprobatą.

- Rąbią je na kawałki - upierała się. - A nocą dźwięki roznoszą się z piwnicy po całym domu... Mówię wam, że w nocy Żydzi ćwiartują chrześcijańskie dzieci.

I dla podkreślenia tych słów uderzyła wskazującym palcem w napięte płótno swojej robótki.

- Isabel, to tylko twoje dziwne pomysły i zbyt bujna wyobraźnia. Za dużo bajek ci naopowiadali w dzieciństwie.

- Wcale nie. Przysięgam wam, że to nie może być nic innego... A słyszałyście, co mówią?... - Nie czekała na odpowiedź. - Mówią, że zaginęło kolejne dziecko. W Santa Leocadia. Matka na chwilę spuściła je z oczu i słuch po nim zagał.

- Starczy już - Veridiana w końcu postanowiła wziąć udział w rozmowie. Przyjaciółki zaskoczył ton jej głosu, bo przyzwyczały się, że zawsze była cicha, pogodna i łagodna. - Zastanówmy się... Czy ktoś naprawdę zna tę rodzinę z Santa Leocadia?... Tę matkę lub jej dziecko?

- Och, nie! Ale opowiadała mi o tym Leonor, a ona wie o tym od swojej sąsiadki, której znajoma jest zaprzyjaźniona z tą rodziną. Ta znajoma to osoba godna zaufania...

- Tak? A kim jest ta znajoma? To znaczy, jak się nazywa?

- Oj, Veridiano, kochanie, tego nie wiem, ale to jej przyjaciółka, to mi wystarczy aż nadto.

- A mnie nie. Naprawdę mam już dosyć tych historii. Żydz to, Żydz tamto... Nie wierzę w takie rzeczy! Juan handluje z Sahwanem. To Żyd, a przecież człowiek godzien najwyższego zaufania i wielkiej uczciwości.

- To prawda - zgodziła się Isabel.

- Skończmy z tym wreszcie! - Veridiana odłożyła robótkę. - Mam pomysł, który raz na zawsze rozstrzygnie nasze wątpliwości... Mario, Isabel, zróbmy najprostszą rzecz: zapytajmy Leonor. Niech nam powie, kim jest znajoma jej przyjaciółki. Jeśli znaj-

dziemy tę kobietę i okaże się, że rzeczywiście jej dziecko zniknęło, obiecuję wam, że zacznę wierzyć we wszystkie historie o Żydach, o porwaniach, mordach i zaginięciach. Uwierzę nawet, że to, co słyszysz po nocach, to odgłosy ćwiartowania ofiar!

- To prawda! Przysięgam - odparła Isabel z przekonaniem.

- Chodzi nie tylko o dzieci... Pamiętacie majstra Vicentego?
- tym razem wtrąciła się Maria.

Nagle zapadło ciężkie milczenie.

- Tak, to prawda, majster Vicente... - zwykle wesoły głos Isabel tym razem zabrzmiał ponuro.

- Mówią, że pochłonęła go ziemia.

- Mówią, mówią... Ale nie znamy osobiście nikogo, kto naprawdę widział, jak ziemia go pochłania - sprecyzowała Veridiana.

- Dobrze już, dobrze, szwagierko. Ale jednemu nie możesz zaprzeczyć: majster Vicente zniknął. A biskup wciąż szuka następcy, który mógłby poprowadzić dalsze prace przy katedrze.

Veridiana zamilkła. Teraz ona miała nowinę. Nie była pewna czy, powinna o tym mówić, bo dostarczyłaby tylko kolejnych argumentów swoim przyjaciółkom do nowego ataku na Żydów. Dlatego przez chwilę wpatrywała się w niemal ukończony haft na swojej robótce. Po długim milczeniu wreszcie zdecydowała się odezwać.

- Cóż... wiecie, co dziś rano opowiedziała mi Rosa? Że pewien mauretański majster budowlany, Beltrán de Toledo, zniknął bez śladu.

- Widzisz teraz? Następny! A nie mówiłam?! Strach mnie ogarnia... Na pewno poćwiartują go tej nocy.

- Niebieskie oczy Isabel nerwowo szukały wsparcia w twarzach przyjaciółek.

- Czy nie mówiłaś, że to były krzyki dziecka?

- pozwoliła sobie na ironię Veridiana.

- To był pisk, jak u dziecka. Ale któż to może wiedzieć?

María Isabel przeżegnała się raz jeszcze.

- Nie ma dymu bez ognia - wyrecytowała Maria.

- W Toledo dzieje się zbyt wiele dziwnych rzeczy.

Veridiana zachowała milczenie i choć nie należała

do strachliwych, ciarki przeszły jej po plecach. Otuliła się szalem i spojrzała na kawałek nieba widoczny nad patiem. Wkrótce zapadnie zmrok. Owiął ją zimny wilgotny powiew; miała wrażenie, że chce ją polizać swoim lepkiem jęzorem. Poczula, że coś się wydarzy. Coś złego. Wróciła więc do swojej robótki, mruczając słowa modlitwy; rytmiczne ruchy igły, jedno wklucie za drugim, wyciszały trochę napięcie, które na przemian rosło w niej i opadało niczym pełznący cicho oślizgły wąż.

Gdy tylko Enrique po raz pierwszy zobaczył Alfonsa Barroso, pomyślał, że wygląda jak bocian. Tego skojarzenia nie pozbył się już nigdy. Barroso był bowiem szczupły i kościsty, a poruszał się jakby sprawiało mu trudność unoszenie długich kończyn, którymi obdarzył go Bóg. Miał przypominający bo-

ciani dziób haczykowaty nos i cerę tak suchą, że na jego ubraniu wiecznie widać było maleńkie kawałki białawej, złuszczonej skóry.

Barroso rozpoczął rozmowę od wypytania go o pochodzenie i rodzinę. Enrique wyjaśnił mu, że jest drugim synem hrabiego de Rascona y Cornejo, pana Navas. Jego starszy brat odziedziczył tytuł, posiadłości, ziemie, czyli właściwie wszystko. A Enrique, jak tylu innym młodszym braciom, nie pozostało nic innego, jak wywalczyć sobie przyszłość, pracując dla Kościoła.

Gdy opowiadał swą historię, Alfonso Barroso wyczuł w młodzieńcu żal do losu, który zabrał wszystko, co mu się należało, tylko dlatego, że urodził się później niż jego starszy brat.

- Mój synu - odezwał się do niego miłym, starannie modulowanym głosem - zrobisz karierę w Toledo. Jestem o tym przekonany...

Na krótką chwilę w oczach dominikanina o bocianim wyglądzie mignęło uczucie, którego nie zdołał ukryć, coś tak chłodnego i ostrego, że mogłoby zmrozić serce każdego poczciwego chrześcijanina.

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię, mój drogi Enrique. Tutaj, w Kastylii, Inkwizycja Rzymska jest niemal nieznaną, ale to tylko kwestia czasu. Inkwizycja ma mocną pozycję w Aragonii i, jak sam dobrze wiesz, podlega bezpośrednio papieżowi. Nie musimy się przed nikim tłumaczyć, nawet przed arcybiskupem Toledo Jimeno de Luna, ani przed nikim innym! Tylko przed papieżem! Zrozumiałeś? - Jego oczy

znów nabrały metalicznego połysku. - Inkwizycja to najprostsza droga do papieża, do władzy... Nie dba ona o żadne hierarchie. Trzeba tylko dobrze wykonywać swoją pracę, wytrwale, stanowczo, uczciwie!

- Barroso uderzył pięścią w stół i Enrique aż podskoczył zaskoczony, gdyż nie spodziewał się podobnego gestu po kimś, kto wydawał się tak opanowany.

- Wykrywanie herezji i ochrona czystości wiary to priorytetowe kwestie w tym pontyfikacie - ciągnął.

- Nasza święta misja dysponuje coraz większymi środkami i zapewniam cię, synu, że nie ma lepszego miejsca, byś mógł w pełni rozwinąć skrzydła niż tu ze mną w Toledo, w tej Inkwizycji, która bez wątpienia będzie rosnać w siłę.

Enrique wkrótce miał sobie zdać sprawę, że Barroso, począwszy od tej rozmowy, zawsze nazywał go „synem”, jak gdyby mówił o własnym dziecku, jak gdyby ten długonogi, chudy bocian przygarnął go od pierwszej chwili pod swoje skrzydła.

A jednak to czułe słowo „synu” dziwnie nie zgadzało się z lodowatym spojrzeniem dominikanina. Młodzieńcowi zdawało się, że Alfonso Barroso ma w sobie coś diabolicznego, i to nie tylko przez ten niepokojący wyraz oczu, lecz również ze względu na to, co i jak mówił, na spryt przebijający z jego żywej inteligencji. Bowiem Barroso skierował do niego właśnie takie słowa, jakie najbardziej chciał usłyszeć. Jak gdyby bez trudu poznał jego najskrytsze pragnienia.

Enrique niemal natychmiast zaczął doceniać doświadczenie tego człowieka, który potrafił przeniknąć

dusze, marzenia i słabe punkty ludzi, z którymi miał do czynienia.

Barroso z kolei od pierwszej chwili przejrzał młodzieńca. Zobaczył w poważnym i ponurym spojrzeniu jego niebieskich oczu, ukrytych pod gęstymi brwiami nadającymi jego twarzy wyraz upartego skupienia, tę samą determinację i ambicję, jakie kierowały nim samym za młodu. Dlatego w swojej powitalnej mowie zarzucił wszystkie możliwe haczyki, by zdobyć zaufanie i manipulować pragnieniami „nauczyciela gramatyki”, którego przysłał mu Juan de Aragon.

- Arcybiskup doskonale wie, do czego może dojść Inkwizycja w Kastylii. Naprawdę... Do tego stopnia, że nie chce tracić ze mną kontaktu nawet teraz, gdy jego sprawy zatrzymują go w Tarragonie.

Barroso machnął swą kościstą ręką, jakby chciał odsunąć od siebie jakąś niewygodną myśl i ciągnął dalej:

- Zapewniam cię, że nie ma lepszego miejsca, skąd można by kierować pracami i rozwojem Inkwizycji niż Toledo. - Na chwilę ich spojrzenia spotkały się, a wtedy dominikanin postarał się, by jego głos zabrzmiał bardziej przekonywająco. - Jednak... mnie wszyscy znają i nie mam takiej swobody ruchu jak ty, synu... Ty zdołasz dotrzeć tam, gdzie ja nie mogę.

- Będę twymi oczami i uszami, ojczy - odparł Enrique, przypominając sobie polecenia arcybiskupa Tarragony.

Barroso złączył dłonie, jakby zamierzał za chwilę odmówić modlitwę, jednak zamiast tego powiedział:

- Wszystko zaczęło się jakiś czas temu... Zawsze krążyły legendy i opowieści o zniknięciach w Toledo, ale od kilku lat... Od pewnego czasu dochodzi do coraz dziwniejszych wypadków, zdarzają się niepojęte historie. Przemyslałem to i sądzę, że wszystko zaczęło się, wtedy, gdy chowano Gonzala Ruiza z Toledo, pana Orgaz. Mówią, że dwóch świętych, sam święty Augustyn i święty Stefan, ukazało się podczas pogrzebu w Santo Tomé. Nie widziałem tego na własne oczy, ale opowiadano mi o tym i różne źródła powtarzają to samo: dwa anioły pojawiły się nie wiadomo skąd, podniosły zwłoki i złożyły je do grobu.

Barroso przerwał na chwilę i po raz pierwszy wprost zapytał swego rozmówcę.

- Powiedz mi, co o tym myślisz? Jak rozumiesz to dziwne zdarzenie?

Enrique był pewien, że to pytanie jest rodzajem egzaminu, któremu poddaje go dominikanin. Chciał sprawdzić jego tok myślenia? A może skonfrontować go ze zdarzeniem podobnym do tych, z jakimi teraz miał spotykać się na co dzień. Postarał się, by jego głos zabrzmiał jak najbardziej poważnie i pewnie, gdy odpowiadał:

- Zawsze musi być jakieś logiczne wytłumaczenie. Często zresztą najrozsądniejsze wyjaśnienie jest zarazem tym najprostszym.

- Proszę, proszę! Miłośnik logiki i rozsądku... Mimo tej ironicznej reakcji Enrique miał wrażenie,

że jego odpowiedź nie rozczarowała dominikanina, wobec czego ciągnął dalej:

- Na początek porozmawiałbym z jak największą liczbą świadków, z ludźmi, którzy byli na pogrzebie, z tymi, którzy znają historię z pierwszej ręki, bo sami w niej uczestniczyli.

Barroso pokiwał głową z aprobatą.

- Następnie, starałbym się znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie tego, co zaszło.

- Logiczne wyjaśnienie.

- Tak.

- A co... jeśli mamy do czynienia z działaniem Szatana? Jeśli chodzi o coś diabelskiego, co wymyka się ludzkiej logice i boskim prawom?

Enrique przełknął ślinę. Wiedział, że to pytanie jest dalszym ciągiem próby i że od odpowiedzi będzie zależało, czy zdobędzie sobie zaufanie dominikanina, który zamierzał, teraz był już tego pewien, wciągnąć go w prace Inkwizycji.

- Trudno mi to sobie wyobrazić... - starał się być szczery. - Nie mieści mi się w głowie, by Szatan chciał brać udział w pogrzebie uczciwego katolika... Najpierw próbowałbym znaleźć logiczne wyjaśnienie, a gdyby to mi się nie udało, dopiero wtedy szukałbym dowodów diabelskiej interwencji... lub działania świętych i aniołów Bożych.

Alfonso Barroso uśmiechnął się i wypuścił oddech, który wstrzymywał od dłuższej chwili.

- Podoba mi się twój tok myślenia, synu. Rozumujesz w sposób uporządkowany, jesteś metodyczny. Myślę, że będziesz szybko się uczył i że to początki naszej owocnej współpracy...

Enrique starał się nie uzewnętrzniać ulgi, którą poczuł.

- Zaczniemy od sprawy majstra Vicentego, odpowiedzialnego za prace przy budowie katedry. Jeśli wyjaśnimy jego zniknięcie, zyskamy poparcie naszego arcybiskupa, Jimena de Luny, który jest przygnębiony ślimaczym tempem prac i wiecznymi opóźnieniami. A ty, synu, zdobędziesz też szacunek Juana de Aragon, arcybiskupa Tarragony, a wraz z nim wpływy w owym królestwie, gdzie Inkwizycja, nie zapominaj o tym, ma dużo większą władzę niż tu w Kastylii. Tym sposobem być może mógłbyś wrócić do Aragonu w bardzo korzystnej sytuacji. A poza wszystkim innym, jeśli zdołamy to wyjaśnić i jeśli Żydzi mają z tym coś wspólnego, jak wszyscy twierdzą, w takim wypadku, mój drogi Enrique, nawet sam papież będzie nam wdzięczny...

Enrique nic nie odpowiedział i zamyślił się. Zdał sobie sprawę, że jeśli to nie Żydzi byli sprawcami tych dziwnych wydarzeń, jak powszechnie podejrzewano, to przynajmniej doskonale nadawali się na kozła ofiarnego. Dlatego, jak się wydawało, wszyscy pragnęli znaleźć jakichś Żydów, których można by uznać za winnych.

Rzeczywiście, zarówno dla niego, jak i dla Alfonsa Barroso takie rozwiązanie byłoby najkorzystniejsze.

O tajemnicach Veridiany

Rano, kiedy zwykle bratanica Veridiany Clarita bawiła się na parterze ze swoją matką, promień światła przenikał przez przysłonięte firankami okiennice i rozpraszał półmrok pokoju. Widać było wtedy tysiące drobin kurzu unoszących się w powietrzu.

W samotności Veridiana bawiła się pyłkami kurzu. To był jeden z jej sekretów. Zaczęła to robić jeszcze jako mała dziewczynka i nigdy nie zarzuciła tej zabawy, o której wołała nikomu nie mówić.

Veridiana wkładała ręce w promień światła, poruszała nimi bardzo powoli i wtedy mogła obserwować wzory, rysowane przez poruszone powietrze. Patrzyła, jak kurz przybierał kształty pojedynczych i podwójnych spirali delikatnych fal i gwałtownych prądów, jak tańczył nieustannie w półmroku pokoju. Przypominał jej drobniutki śnieg, który w zimie spadał z nieba i wirując osiadał na ziemi.

Lubiła bawić się drobinami kurzu i obserwować falowanie powietrza, podobnie jak lubiła szyc, gdyż oba te zajęcia pozwalały jej oddalić od siebie duże i małe zmartwienia, które dręczyły jej duszę i niepokoiły myśli.

Tajemnica objawiła się jej, kiedy była nastolatką. Pewnego dnia zrozumiała, że nie musi poruszać powietrza rękami, by spowodować jego ruch. Wystarczyło lekko dmuchnąć. A potem... Potem odkryła, że jeśli tylko skupiła się wystarczająco, potrafiła poruszać drobiny kurzu samą siłą woli.

Z początku wprawiło ją to w pomieszanie, ale z czasem przyzwyczaiła się do tego. Mówiła sobie, że drobinki kurzu muszą być przecież lżejsze od powietrza, skoro unoszą się w nim, a jej myśl z pewnością jest mocniejsza niż delikatne powietrze. Dlatego co dzień, jeśli tylko światło pozwalało zobaczyć pyłki, bawiła się w ten sposób. Tworzyła wiry powietrzne, czasem nieznaczące, innym razem zawrotne i próbowała odtworzyć w przestrzeni wzory, które wcześniej haftowała.

To była jej tajemnica. Nigdy nikomu o tym nie mówiła... Nie miała śmiałości. Raz tylko, jako dziewczynka, zapytała w gronie rówieśnic, czy one też „bawią się powietrzem”, ale nie zrozumiały pytania ani nawet nie starały się go zrozumieć, gdy próbowała im to wyjaśnić. Zrobiły tak zdziwione miny i skomentowały to w taki sposób, że postanowiła wtedy nie dzielić się z nikim swoim sekretem.

Jednym z jej sekretów. Bo nie jedynym.

Kłamała też, kiedy jej mała bratanica Clara prosiła ją, by jej opowiedziała, jak dwukrotnie uchroniła się w Tuluzie przed śmiercią. Nie mówiła bowiem wszystkiego. Kłamała i czuła się winna z tego powodu, ale nie mogła powiedzieć prawdy, bo była ona dużo bardziej nieprawdopodobna niż jej drobne przemilczenia. Powtórzywszy wiele razy tę zmyśloną wersję, niemal sama w nią uwierzyła.

- Ciociu, opowiedz mi jeszcze raz tę historię o rzece, proszę, ciociu! Opowiedz, opowiedz! - błagała ją dziewczynka.

- Claro, nie nudź już i daj cioci spokój.

- Mamo, ale jej to wcale nie nudzi.

- To prawda, Mario, wiesz przecież, że mi to nie przeszkadza...

- Ciii! Ani słowa więcej. Nie trzeba mówić o tych rzeczach..

- Proooszę...

I Clara kładła czasem swoją dłoń na rękę cioci i zaczynała tym sposobem zabawę, którą sobie wymyśliły. Veridiana mówiła:

- Zobaczmy rączkę tego filutka!

- Jest jeszcze malutka! - odpowiadała szybko dziewczynka.

Veridiana mierzyła jej pulchne paluszki ze swoimi i mówiła:

- Gdy będą tak długie jak moje i będziesz dorosłą panienką, przestanę ci opowiadać bajki.

- Jest jeszcze malutka! Jest jeszcze malutka! - zapewniało dziecko z rumieńcami niecierpliwości na

twarży. - Veridiano, opowiedz mi historię o rzece, proszę, proszę, proszę...

I zarzucała jej ręce na szyję, tak że nie miała wyjścia i musiała ustąpić wobec błagań ukochanej bratanicy. Nie umiała odmówić tej małej, która wpatrywała się w nią w napięciu, nawet jeżeli oznaczało to przywołanie jednego z najsmutniejszych wspomnień jej życia.

- Guy zmarł kilka tygodni wcześniej i tamtego dnia - zaczynała - odwiedziłam z Hortensją pewną panią, która właśnie urodziła dziecko...

Choć jej oczy już nie wilgotniały za każdym razem, kiedy wspominała o niemowlętach, jednak Veridiana drżała zawsze, gdy to wspominała. W tamtym okresie brat Guya niemal ją więził w jej własnym domu i musiała wychodzić chyłkiem, tylko z Hortensją, swoją gospodynią, jak jakaś uciekinierka.

- Wracałam pieszo do domu - nie wspominała dziewczynce, że jej dom był wspaniałym zamkiem nad brzegiem Garonny. - To był piękny letni dzień. Było strasznie gorąco, och, nawet sobie nie możesz wyobrazić, jaki był upał...

- Mogę, właśnie że mogę, ciociu...

- No tak, na pewno możesz. Bo to był taki sam skwar jak ten, który nas męczy latem w Toledo... A zatem, żeby dotrzeć do mojego domu, należało przejść przez rzekę i były dwie drogi, którymi mogłyśmy iść. Wtedy... Wtedy miałam przecucie! Poczułam, że powinnam pójść dłuższą drogą, mimo że szatański skwar lał się z nieba.

Dziewczynka przeżegnała się, słysząc, że wspomniała diabła. A Veridiana po raz kolejny starała się zapomnieć, że w tamten dzień ogarnęło ją nie tyle przeczucie, co całkowita pewność, że nie powinna iść tamtym mostem. Poczucie zagrożenia, którego doznała, było tak silne, że dostała mdłości. Dlatego w kółko powtarzała, że nie pójdzie zwykłą trasą i uparła się, że wróci okreśłą, dłuższą drogą.

Hortensja się obraziła. Było tak gorąco. Miała już swoje lata i czuła się bardzo zmęczona. Pod żadnym pozorem nie chciała ustąpić kaprynowi młodej pani, nawet jeżeli jako ciężarna miała prawo do swoich zachcianek. Veridiana była już wtedy w czwartym miesiącu. I gospodyni powiedziała jej, że albo natychmiast przejdzie przez most, albo będzie musiała wracać sama. Hortensja była pewna, że Veridiana nie zechce iść bez niej. Ale pomyliła się. Veridiana za nic w świecie nie weszłaby na tamten most. Nigdy w życiu...

- Tak właśnie zrobiłam. Odwróciłam się i ruszyłam dłuższą drogą. Jednak było tak gorąco i słońce prażyło tak mocno, że zdjęłam szal. To był śliczny, biały, letni szal, z cienkiego jedwabiu. Hortensja go wzięła. Musiała go założyć, bo była starszą kobietą i nie cierpiała słońca... I morderca... Morderca myślał, że to ja! - Choć już wiele razy o tym opowiadała, za każdym razem dostawała gęziej skórki, gdy mówiła o śmierci Hortensji. - I wrzucił ją do rzeki!...

Veridiana nie wyjaśniała nigdy, że przez całą drogę czuła, że coś strasznego zagraża gospodyni i że

jedynym, co przyszło jej do głowy, była modlitwa za nią. Ale nawet to jej nie uspokoiło. Kiedy dotarła do domu, wciąż była bardzo zdenerwowana, a stwierdziwszy, że Hortensji jeszcze nie ma, ona sama nakazała szukać jej w rzece. Nie powiedziała też bratanicy, że jej zwłoki znaleziono na brzegu, pokłute sztyletem... I że nawet teraz, czasami, w mrokach nocy stawała jej przed oczami stara gospodyni okryta zakrwawionym szalem.

Hortensja była jedyną osobą na zamku Guya, której ufała. Miała opryskliwy sposób bycia, zwykle chodziła naburmuszona, lecz Veridiane udało się do niej zbliżyć bardziej niż do kogokolwiek innego w Tuluzie.

Bez niej Veridiana poczuła się jak owieczka wśród stada wilków: brata Guya i jego synów.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że to nie Hortensję chciano zmordować, lecz ją samą. Pomyślała po prostu, że to straszny wypadek, który jeszcze bardziej skomplikował smutne życie młodej ciężarnej wdowy.

Ale później, gdy doszło do wypadku z trucizną, nabrała pewności, że to ona miała być ofiarą.

Ciemne oczy bratanicy otwierały się szeroko, jakby błagała ją o opowiedzenie historii z zupą.

- Ciociu, ciociu, a zupa? Błagam, opowiedz o zupie!

- Zupa, zupa, zupa... - Veridiana pozwalała się prosić. - Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć? Na pewno będziesz się bała!

- Wcale się nie boję!

- Ach tak, rozumiem, jesteś odważną dziewczynką. Clarita aż urosła z dumy.

- No jasne, nie jestem już taka mała. Och, proszę, ciociu, opowiedz... - znów podniosła na nią błagalny wzrok.

- A więc... To było w niedzielę - zaczęła Veridiana cichym głosem. - Ugotowano jedną z moich ulubionych potraw, złotą zupę...

Nie mówiła Clarze, że od tamtej pory nie potrafiła przełknąć żadnego dania z szafranem, bo jego zapach przypominał jej ów nieszczęsny dzień.

- Nie czułam się najlepiej. - Mdłości, które dręczyły ją w owym okresie ostatecznie przekonały wszystkich, że jest w ciąży. - Właśnie dlatego byłam sama w moim pokoju, kiedy przyniesiono mi zupę. Kiedy ją zobaczyłam... ogarnęło mnie silne przeczucie, że coś jest z nią nie tak i że nie powinnam jej jeść...

Veridiana wolała mówić o „przechuciu”. Ale tak naprawdę na widok zupy poczuła jak gardło ściska jej się w gwałtownym skurczu. Skurcz ten nie przypominał w niczym ciężowych mdłości. Zaczęła się pocić, ogarnęło ją to samo gorąco i poczucie strasznego zagrożenia, co w dniu, kiedy zginęła Hortensja. To było coś zupełnie innego niż zwykle poranne nudności, które czasami jej doskwierały. Jakiś pierwotny strach wbił się w jej wnętrze niczym szpony dzikiego zwierza.

- Wtedy odkryliśmy, że pewna młoda kucharka wlała truciznę do mojej zupy. Ukaraliśmy ją, ona zaś przyznała się, że zapłacono jej, by to zrobiła...

Veridiana pamiętała dokładnie, jak bardzo zaskoczyła ją wtedy własna pewność siebie, stanowczość,

z jaką wezwała starego kapelana* Michaela, jedyne­go człowieka, któremu ufał jej mąż. Poleciała mu, żeby sprowadził wszystkich, którzy mieli coś wspólne­go z przygotowaniem zupy, a kiedy stanęli przed nią, przybrała po­zę wyniosłej damy i obrzuciła obecnych spojrze­niem mrocznym i groźnym jak niebo przed burzą.

Gdy spojrzała na nową służącą i jej matkę, w­nętrznosci zaciśnie­ły jej się w supeł. Wówczas krzykami zmusiła je do zjedzenia zupy i to natychmiast, na oczach wszystkich. Gdy odmówiły, Veridiana wykrzesiła nie wiadomo skąd siły, gwałtownie podeszła do dziewczyny i zanurzyła jej głowę w misce. Trzymała ją tak długo, aż jej matka zaczęła rozpaczliwie krzyczeć i wyrecytowała po kolei wszystkie składniki tej przeklętej zupy.

Kapelan Michael zabrał matkę i córkę. Veridiana nigdy się nie dowiedziała, co zrobił z nimi jej szwagier. Wiedziała tylko, że nikt ich już więcej nie zobaczył. Nigdy.

- Wtedy postanowiłam wrócić do Kastyl­ii, bo zdawałam sobie sprawę, że można dwa razy okpić śmierć dzięki łutowi szczęścia i łasce Bożej, ale za trzecim razem... za trzecim razem już się nie wywinę... - zakończyła Veridiana ze smutnym uśmiechem.

* Kapelan - ksiądz posługujący na stałe w konkretnej instytucji, np. szpitalu, jednostce wojskowej, niegdyś również w domach arystokratycznych (*przyp. red.*).

Jej bratanica Clara wpatrywała się w nią z bezgranicznym podziwem, choć Veridiana nie powiedziała jej, że od tamtej pory wszystkie służące odnosiły się do niej nie tyle z szacunkiem, co z prawdziwym strachem i że ona sama czuła lęk przed gwałtowną siłą, która kazała jej zanurzyć głowę tamtej dziewczyny w zupie.

Nigdy też nie zamierzała jej powiedzieć, że w tamtych dniach zrozumiała, że uratowała się w cudowny sposób. To dwukrotne umkniecie śmierci wydawało jej się równie niepojęte jak rosnący brzuch, który z tygodnia na tydzień stawał się bardziej okrągły i wystający. Bała się już nie tylko o swoje życie, lecz także o dziecko, które Guy począł tuż przed śmiercią.

Po tym wydarzeniu zrozumiała, że może liczyć tylko na siebie. Tak samotna nie czuła się chyba jeszcze nigdy. Modliła się często, niemal ciągle. Szukała sposobu, by poradzić sobie w tym kłębowisku żmij, w które zmienił się jej dom.

Stary kapelan Michael był jedynym, u którego znalazła mądrą i serdeczną radę.

- Pani - powiedział jej pewnego wieczora tamtego piekielnego lata - musisz wrócić do Kastylji. Proszę, jedź do własnej ziemi. Po śmierci twego małżonka jestem tutaj ostatnim, który może cię chronić. I choć moje serce dochowa ci wiary, to ramię mam już nie tak mocne jak dawniej. Jesteś panią na tych ziemiach, bogatych ziemiach, które brat Guya zawsze pragnął

zagarnąć. Gdybyś pani umarła teraz, nim pojawi się potomek - tu kapelan obrzucił dyskretnym spojrzeniem jej brzuch - wszystko przypadłoby jemu i jego dzieciom. Znasz ich już, żaden z nich nie ma skrupułów.

Veridiana nigdy nie lubiła swojego szwagra, a tym bardziej jego latorośli. Byli to chciwi prostacy, którzy nawet nie zadawali sobie trudu, by powstrzymać się od wrogich słów i nienawistnych spojrzeń. Czowała się porzucona na pastwę stada dzikich bestii. Dobrze wiedziała, że w Tuluzie nigdy nie miała prawdziwych przyjaciół, a społeczność, w której żyła, skupiała się wokół Guya. Ona była jedynie cudzoziemką, śliczną, ale samotną cudzoziemką.

- Dla niego wybór jest prosty: Tuluzia i jej bogactwa albo twoje, pani, życie, twoje i twego dziecka.

Veridiana westchnęła, a w oczach stanęły jej łzy, które jednak nie spłynęły po policzkach.

Nie miała się nad czym zastanawiać: chciała żyć.

Dlatego w tajemnicy przygotowała swoją ucieczkę. Pewnego wieczoru, zabierając niewiele więcej niż to, co miała na sobie, w tym kilka klejnotów, które sprytnie przyszyła do odzieży, wyruszyła z Michaelem do Aragonii. Od razu przyłączyli się do karawany, zdążającej do Saragossy.

Podróż była ciężka. Tak ciężka, że gdy dotarli do Gerony, zaczęła krwawić. Tam właśnie straciła dziecko, którego oczekiwała. Mało brakowało, a straciłaby również życie.

Nieznana położna zdołała wyleczyć ją z gorączki, pojąc sangrią*. Po dwóch tygodniach krwawego delirium jej organizm obronił się przed chorobą. Mimo wszystko Veridiana bardzo chciała żyć.

Nieco później, gdy jej cera odzyskała naturalny różowy odcień, a ona sama nabrała sił potrzebnych do dalszej podróży, wyruszyła w stronę León. Tam mieszkała cała jej rodzina, Veridiana bała się jednak, że jej prześladowcy łatwo odnajdą ją w tym mieście.

Dlatego w końcu postanowiła pojechać do Toledo, gdzie mieszkał Juan, jej ukochany najmłodszy brat, ten, który został kupcem bławatnym, mając za nic płynącą w jego żyłach arystokratyczną krew.

Tam, myślała Veridiana, w skromnym domu Juana i Marii, nigdy jej nie znajdą.

Myliła się jednak. To była tylko kwestia czasu.

* Sangria - tradycyjny hiszpański napój winny, przygotowywany z dodatkiem owoców, lodu, mięty, cukru (*przyp. red.*)

O tym, jak Veridiana poznała człowieka,
który odcisnął piętno na jej losach

Plac Zocodover pachniał jeszcze targiem. Drobnny pył unosił się wszędzie, próbując wtargnąć do gardła i nosa, osiąść na twarzach tych, którzy chodzili tu jeszcze mimo palącego słońca. Zgniłe odpady warzyw poniewierały się po nagrzanej ziemi, a kilka wychudłych psów buszowało, mlaskając i warcząc wśród jakichś ochłapów przy straganie rzeźnika.

- Zrobiło się okropnie późno. Dawno już powinniśmy być po obiedzie.

- Zaraz będziemy w domu.

- Ty i te twoje nowomodne pomysły ze spacerami! Czego my właściwie szukamy w San Lucas?

Veridiana westchnęła ze znużeniem i postanowiła wyjawić bratowej to, o czym wcześniej nie miała odwagi jej powiedzieć.

- Chcę się zobaczyć z Leonor.

- Z Leonor! A to z jakiego powodu?

- Żeby zapytać ją o jej znajomą i o tę kobietę, której zginęło dziecko, no wiesz...

Maria aż stanęła z wrażenia wpół kroku i złapała się pod boki.

- A co tobie do tego?

- Nic, przyznaję... Zwykła ciekawość. - Błękitne oczy Veridiana spojrzały niewinnie.

- Ta twoja ciekawość ściągnie na nas kłopoty, jestem pewna! Co ci za różnica! Boże drogi! I to jeszcze w taki upał... Jeżeli chciałaś tylko spotkać się z Leonor, to szkoda, że wcześniej mi nie powiedziałaś! Nie musiałybyśmy włóczyć się w tę i z powrotem po tych zakazanych dzielnicach...

Bratowej pot zalewał czoło. Jego krople zostawiały za sobą jasne ślady na zakurzonej twarzy.

Veridiana wzruszyła ramionami i poczuła się w obowiązku wyjaśnić:

- Rzeczywiście interesuje mnie to. Chcę wiedzieć, co się dzieje z tymi zaginionymi dziećmi. Wiedzieć przynajmniej, czy naprawdę zaginęły!

- Szwagierko! To chyba oczywiste!

Veridiana omal nie krzyknęła: „Ale ja w to nie wierzę!”. Zamiast tego w ostatniej chwili przygryzła sobie wargę, wciągnęła haust gorącego i szarego od kurzu powietrza z placu i zmusiła się, by odpowiedzieć powoli i z całym spokojem:

- Mario, nawet nie wiemy, jak się nazywają. Słyszałyśmy tylko... kilka plotek. I... i wiem, że to nie moja sprawa, ale... ale...

Veridiana przystanęła i obrzuciła bratową uważnym spojrzeniem.

- Nigdy wam o tym nie mówiłam, bo wciąż nie mogę się z tym pogodzić. Wciąż nie mogę się pogodzić...

W oczach Veridiany błysnęły łzy, które tyle razy powstrzymywała.

- Straciłam syna, zanim się urodził. Myślę o nim codziennie i... - Nie miała odwagi opowiedzieć jej, że stało się to podczas ucieczki z Tuluzy. - Naprawdę nie potrafię spokojnie słuchać, jak Isabel opowiada o tych zaginionych dzieciach. Trzeba coś zrobić...

- Veridiano - Maria wzięła ją za rękę - wiele kobiet straciło dziecko. Spójrz na naszą Clare, ma prawie pięć lat... Wierzę, że teraz już się nam uchowa, ale mój mały Rodrigo? Nie ma jeszcze dwóch lat i nie wiem, czy Bóg nie zabierze go do siebie, tak jak Guimara, kiedy miał roczek... Och, Veridiano! Czy jest dom, z którego śmierć nie porwała jakiegoś maleństwa?

Spojrzały sobie w oczy i znalazły w nich ślady tej głębokiej rany, która nigdy się nie zablźnia. Na wargi Marii wypłynął słodki uśmiech.

- Na Boga! Nawet nie wiesz, jak bardzo czasami jesteś podobna do swojego brata, Veridiano. Tak samo uparta jak on!... A zatem chcesz wiedzieć, co się dzieje z zaginionymi dziećmi... Nie wierzysz, że to Żydzi porywają chrześcijańskie dzieci, by składać ofiary z ich krwi...

- Wszystko to stek bzdur!

- Bzdury, tak? Jeszcze się przekonamy, droga szwagierko, czy to bzdury czy nie. Dziś po południu porozmawiamy z Isabel, ona też jest taka ciekawa, żeby nie powiedzieć wścibska - nie kryła śmiechu.

- Poszukamy Leonor, która opowie nam o dziecku i jego matce i o tym, co zaszło w Santa Leocadia. Maria Isabel wyjdzie ze szkoły, żeby się dowiedzieć, skąd dochodzą te jęki, które nie dają jej spać...

- Maria zniżyła głos do szeptu. - Ale ani słowa Juanowi, dobrze?

- O to możesz być spokojna.

- Tylko tego nam brakowało, żeby się dowiedział, że próbujemy rozwikłać zagadkę zaginionych dzieci.

Veridiana uśmiechnęła się z wdzięcznością. Kobiety w milczeniu szły pod górę uliczką prowadzącą do domu.

- Mario, wiesz co ci powiem?... - odezwała się Veridiana zasapana wskutek wspinaczki w upale.

- A może dałabyś małego Rodriga na noc do mnie i Clarity? Przecież już nie karmisz go piersią. Ma prawie dwa latka... Jeśli chcesz, mogę z nimi spać. Dzięki temu będziecie sami z Juanem.

Nie przychodził jej do głowy lepszy pomysł, by wyrazić bratowej wdzięczność za wsparcie w tym niewinnym śledztwie.

Maria wybuchnęła śmiechem.

- O tak, Juan będzie zachwycony! A z małego Rodriga to już prawie kawaler... To nie jest zła myśl. Przygotujemy wszystko, żeby spał z wami!

Zrobiły kilka kroków.

- Dziękuję - odezwała się bratowa Veridiana.

- Nie, to ja tobie dziękuję, Mario. Będzie mi bardzo miło spać z Claritą i Rodrigiem.

- Ha, ha, ha... Nie wiesz, co mówisz. Jest strasznie niespokojny. Cały czas się wierci. Nie da ci zmrużyć oka...

- Nieważne. Przecież wiesz, że kocham ich jak własne dzieci.

- Ha, ha, ha... Ciekawe, czy powiesz to samo po kilku nieprzespanych nocach.

Veridiana nie kryła zadowolenia. Samotne spanie było dla niej męczarnią. Nie miała odwagi się do tego przyznać, ale zawsze czuła paniczny lęk przed ciemnością. Mrok pełen był tajemniczych cieni, a czasem nawet wydawało się jej, że słyszy w ciemności ich ruchy. Dlatego nie przeszkadzało jej dzielenie siennika z bratanicą; wręcz przeciwnie, cieszyła się z tego. Teraz, kiedy Rodrigo był już większy, przeniesienie go do jej sypialni wydawało jej się doskonałym pomysłem.

- Wszystko jedno, Mario, wszystko jedno. Od dawna sypiam niewiele. A z kim mi będzie lepiej niż z moimi bratankami?

Weszły w wąskie uliczki, które spowijał cień. Toledańczycy często budowali drugie i trzecie piętro domów szersze niż parter, tak że wznosiło się nad ulicą niczym dach. Te „daszki” zacieniały niemal wszystkie ulice, co latem stanowiło wspaniałą ochronę przed palącym kastylijskim słońcem. Deszcze padały

tu przecież rzadko, a woda z nich nie docierała zwykle nawet do ziemi poprzez ten labirynt wąskich zaułków i daszków, które nadawały miastu jedyny w swoim rodzaju charakter.

Owionął je powiew nieco chłodniejszego powietrza.

- Ach, Veridiano, jakie to smutne... - Maria odwróciła się do niej, rzucając jej smętne spojrzenie.

- Smutne? Ale co?

- Żeby taka śliczna kobieta jak ty musiała spać sama - westchnęła nieco dramatycznie.

Veridiana nie umiała powstrzymać śmiechu.

- Nie jestem już taka młoda, szwagierko... I wcale nie śpię sama, tylko z Claritą.

- Nie udawaj, że nie rozumiesz! Niejedna młoda dziewczyna chciałaby mieć choć połowę twojej urody. Masz skórę i zęby jak dziecko. Och, Veridiano, gdybyś zechciała trochę wyjść z domu, gdybyś pozwoliła, bym cię przedstawiła...

- Nie, dziękuję - przerwała jej. - Już nie raz o tym mówiłyśmy. Nie interesują mnie mężczyźni. Dość mi tego, co przeżyłam z Guyem... - skończyła niemal szeptem.

Maria znów westchnęła i zatrzymała się na środku ulicy.

- Guy, Guy... Ile lat miał ten twój staruszek mąż, Veridiano? - zmarszczyła brwi, jak gdyby się na nią zezłościła. - Niezły mi mąż! Potrzeba ci porządnego męża! Mężczyzny. Jeszcze młodego, pełnego sił. Och, gdybyś tylko mi pozwoliła... Nie brakło by ci pretendenców! Już nawet teraz...

Veridiana wzięła szwagierkę pod ramię.

- Nie, Mario. Po prostu nie.

Powaga, z jaką to powiedziała, sprawiła, że Maria zamilkła.

- Nie mogę. Nie chcę... Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, jak się nazywam. Wciąż jeszcze się boję.

Maria machnęła ze zniecierpliwieniem ręką.

- Och, moja droga, w takim razie lepiej ci było wstąpić do zakonu!

- Myślałam już o tym - odparła z całą szczerością. Bratowa aż podskoczyła.

- Przecież żartowałam, Veridiano. Taka kobieta jak ty zamknięta w czterech ścianach! Nie, wykluczone...

Veridiana nie ośmieliła się powiedzieć, że chodziło nie tylko o ostrożność. Nie podobali jej się przyjaciele, których odwiedzał brat z żoną. Juan, zajmując się handlem, spoufalił się z plebsem. Obcował z kupcami i robotnikami, którzy zarabiali na życie pracą własnych rąk. Owszem, byli to porządni ludzie, podobnie jak ich sąsiadka Maria Isabel. Ale zupełnie inni niż Veridiana. Jej rodzina, rodzina, której honor Juan zbrukał, wywodziła się ze starego kastylijskiego rodu, spokrewnionego nawet z linią królewską. Od tamtych czasów dzieliło ich wiele pokoleń, jednak ojciec zawsze się tym szczycił. To właśnie ta szlachetna krew umożliwiła jej małżeństwo z Guyem, który był baronem. Stary wojenny dług, który ojciec spłacił swoją najładniejszą córką.

Rozmyślała jeszcze o tym, kiedy dotarli do domu.

Przez okno słyhać było okrzyki Clary i Rodriga, którzy na patio bawili się w księżniczki i rycerzy. Żaden dźwięk nie czynił Veridiany szczęśliwszą niż głosy tych dzieci. To był odgłos domu. Jedyne domu, jaki kiedykolwiek miała.

- Masz za mały wybór. Po prostu nie trafiłyśmy dotąd na właściwą osobę... - mruknęła Maria, podsumowując rozważania.

Veridiana nie usłyszała jej cichych słów.

Nie chciał zamieszkać u kapucynów, zależało mu na większej swobodzie ruchów. Wolał poszukać samodzielnego lokum, tak jak każdy przybysz, który postanowił spędzić jakiś czas w Toledo. A jakie mogło być po temu lepsze miejsce niż pokój, zajmowany wcześniej przez samego majstra Vicentego!

- Wszystko jest tak, jak zostawił majster - powiedziała gospodyni.

Prymitywne pomieszczenie tonęło w półmroku. Wnętrze rozświetlała jedynie nikła strużka światła wpadająca przez małe okienko.

Enrique de Rascón y Cornejo był pewien, że nie kłamała. Nikt nie zabrał polan, które leżały zwałone na stercie w rogu. Pozostała również dość duża ceramiczna miednica.

- To też należało do majstra Vicentego? - zapytał, wskazując na miednicę z uśmiechem, który kontrastował z jego chłodnym, inkwizytorskim spojrzeniem.

Kobieta skinęła głową.

Z dołu, z ulicy dochodziło gdakanie kur. Enrique wychylił się przez okienko i wyrzwał na zaułek, który ginał w dzielnicy ubogich Żydów, której granica przebiegała u jego stóp.

- Dobrze, zostaję tu.

Kobieta uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Nie będziesz żałował, panie. Płatne dwa tygodnie z góry i jeszcze kaucja za tydzień.

Enrique nie miał ochoty się targować i wyjął żadaną kwotę z torby.

- Mówią... - szepnął, podając starej monety - że majster zniknął nagle. Ale jeśli to wszystko, co po nim zostało - Enrique uśmiechnął się porozumiewawczo - to chyba nie zniknął, lecz po prostu wyjechał...

Baba zarechotała.

- Wszyscy to powtarzają: że zapadł się jak pod ziemię. Bzdury! W kółko tylko powtarzają głupoty!! Ale już widzę, że ty, Panie, tak jak ja - wycelowała w niego swój gruby paluch - nie pozwalasz się zwodzić tymi opowieściami. Nikt nie zniknął. Majster Vicente zabrał swoje rzeczy i wyjechał. Razem ze swoją żoną i dwójką dzieci...

Znów się zaśmiała.

- Jakie znów zniknięcie?! Bajki! Takie gadanie tylko mi odstrasza gości - nie kryła pogardy. - Cieszę się, że wreszcie znalazł się ktoś, kto nie wierzy we wszystko, co opowiadają - podniosła głos. - Po prostu nikogo nie uprzedził, że wyjeżdża, wyjechał nagle i nie powiedział dokąd.

Enrique nic nie mówił, nie przestawał jednak uśmiechać się do baby, którą właśnie sobie zjednał.

- Posłuchaj, panie, powiem ci coś w zaufaniu, nawet nie poprosił mnie o zwrot kaucji, która mi kiedyś wpłacił. Tak! Rozrzutnik! Co za głupota! Majster wyjechał z własnej woli. Trochę mu się spieszyło, jak widać, ale żeby zaraz gadać o zniknięciu... - Kobieta splunęła na podłogę, jak gdyby chciała tym sposobem nadać większej mocy swoim słowom.

- I... zabrał wszystkie swoje rzeczy? - dociekał Enrique z udawaną obojętnością.

- Wszystko zabrał... Narzędzia, krzywki, swoje papierzyska z zapiskami...

Enrique był zadowolony i tym razem uśmiech, który wypłynął mu na wargi, wydawał się jak najbardziej szczery.

- Jak długo zostaniesz, panie? - kobieta powróciła do bardziej przyziemnych tematów.

Enrique wzruszył ramionami.

- Myślę, że dłuższy czas. Jestem nauczycielem gramatyki u dominikanów.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko. Ten młody chłopak, taki zasadniczy, który nawet nie próbował się targować, wydał jej się idealnym najemcą pokoju, który wynajmowała po majstrze Vicente.

Było wiosenne popołudnie, zapowiadające rychłe nadejście lata. Gęste niczym smoła ciepło niemal

lepilo się do ciała. Dzieci bawiły się na placu przed katedrą. Maria, Isabel i Veridiana obserwowały je z cienia.

Jedna z wież, nieukończona, wykonana z surowego kamienia, podtrzymywała płataninę rusztowań. Pracował na nich rodzaj dźwigu, obok robotnicy o coś się spierali. Młody pomocnik murarski siedział u góry na rusztowaniu, majtając beztrąsko nogami i przyglądał im się beczynnie.

- Ale upał! Jeśli Leonor zaraz nie przyjdzie, chyba zwariuję - jęknęła Isabel.

- Przyjdzie. Jest jeszcze wcześniej... - pocieszyła ją Maria zmęczonym głosem.

Veridiana nic nie mówiła. Skwar przygniatał ją niczym ciężka kamienna płyta. Nie miała siły na rozmowę. Atmosfera była tak gęsta, że nagle zrobiło jej się duszno.

- Dobrze się czujesz, szwagierko? Veridiana odetchnęła głęboko.

- Nic mi nie jest - odparła słabym głosem. - To tylko ten upał - skłamała.

Oparła się o ścianę. Od rana rozpieierała ją energia, nie mogła się doczekać spotkania z Leonor, chciała wypytać ją dokładnie o tę znajomą i jej zaginione dziecko. Umówiły się z nią przed katedrą i przez całą drogę bawiła się z dziećmi, żartowała z Marią i Isabel. Ale kiedy dotarły na plac... Kiedy tam dotarły, poczuła się dziwnie.

Z jednej strony bała się. Był to strach bardzo podobny do tego, jakiego doznała w dniu, gdy nie

odważyła się przejść przez most w Tuluzie. Ale było coś jeszcze... coś, czego nie potrafiła sprecyzować. Ledwie wyczuwalne, niczym odległy dźwięk dzwonu, tak daleki, że mogła czuć tylko lekką wibrację w powietrzu.

Otarła pot z czoła.

- Jesteś trochę blada... - stwierdziła Maria

- To nic takiego. Strasznie tu gorąco - odetchnęła głęboko. - Już mi lepiej, już lepiej - powtórzyła, jak gdyby chciała o tym przekonać samą siebie.

- Jeśli chcesz, wrócimy do domu...

- Nie, naprawdę, nic mi nie jest. Wyprostowała się, żeby rozwiać obawy Marii, choć w istocie nadal było jej słabo.

W grupie bawiących się dzieci Rodrigo nagle wybuchnął płaczem. To odwróciło uwagę bratowej.

Veridiana oderwała się od ściany i rozejrzała wokół. Miała wrażenie, że gdzieś tu, obok niej, coś się dzieje. Nie wiedziała, co takiego, ale czuła, że to coś ważnego. Uczucie było podobne do tego, jakiego doznała w dniu śmierci Hortensji, na moście w Tuluzie. Dlatego bacznie obserwowała plac.

Najpierw przyciągnęły jej uwagę dzieci otaczające Rodriga, który rozpaczliwie płakał. Wyglądało na to, że się uderzył. Bratowa, zaniepokojona płaczem, podbiegła do niego. Ich sąsiadka Isabel również skierowała się w tamtą stronę.

Veridiana spojrzała w niebo, błękitne i czyste, bez jednej chmurki. Nad Toledo rozpościerał się niekiedy

firmament tak błękitny i lśniący jak jedna z jej sukien w Tuluzie.

Potem jej wzrok zatrzymał się na wieży i rusztowaniach. Powoli lustrowała nim budowlę od góry do dołu, aż dotarła do wielkich wrót. Nagle jej oddech gwałtownie przyspieszył. W tamtym miejscu zebrało się kilku żebraków, woziwodów i robotników. Nieco dalej grupa staruszek. A za nimi jakiś mężczyzna, którego twarzy nie mogła zobaczyć, gdyż stał tyłem.

Teraz jej oddech bardziej przypominał dyszenie. Powietrze stało się gęste jak miód.

Ten mężczyzna był ważny. Musiał być. Coś znaczył. Nie mogła oderwać wzroku od jego wysokiej sylwetki. Miał miecz u pasa. Nieoczekiwanie odwrócił się w jej stronę, jakby chciał ją pozdrowić. Był przystojny, starszy, niż przypuszczała. Jego twarz wydawała się jej znajoma, ale nie potrafiłaby powiedzieć, jak ten człowiek się nazywa, ani przypomnieć sobie, gdzie go spotkała.

Choć prawie zupełnie straciła oddech, nie przestawała się w niego wpatrywać.

Mężczyzna uklonił się zwrócony w jej kierunku, ale nie do niej, lecz do kogoś, kto nadszedł sąsiednią uliczką i minął ją, przechodząc tuż obok.

Uśmiech wypłynął na twarz nieznanego.

- Victor! - zawołał mężczyzna.

- Bernardo! - odezwał się głębokim niskim głosem nowo przybyły, który przeszedł obok roztaczając za sobą mleczną poświatę.

Veridiana poczuła, prawie zobaczyła, powiew powietrza wytworzony przez biały habit, który niemal ją musnął.

Przed jej oczami pojawiło się kilka drobin kurzu, które zaczęły powoli opadać, jak świetliste płatki fałszywego śniegu. Żołądek zacisnął się jej w supeł i poczuła, że się dusi. Patrzyła przed siebie bez jednego choćby mrugnięcia. Nie mogła oderwać wzroku od tych dwóch mężczyzn, którzy uściskali się na powitanie. W tym momencie kaptur zsunął się z głowy tego, który miał na sobie biały habit.

Wśród chmury świetlistych pyłków, które mąciły jej wzrok, Veridiana zobaczyła młodego, postawnego blondyna. Pomyślała, że nigdy nie widziała tak pięknie zbudowanego mężczyzny.

Obserwacje te pochłonęły ją do tego stopnia, że nawet nie zdała sobie sprawy, że osuwa się na ziemię.

Ani tego, że inny młodzieniec podbiega, by ją podtrzymać.

Bowiem Enrique de Rascón y Cornejo był jedynym człowiekiem na placu, który zauważył, że blada jak duch kobieta właśnie mdleje i za chwilę upadnie.

Gdy odzyskała przytomność, znajdowała się na patio własnego domu. Posadzono ją na taborecie. Maria wpatrywała się w nią zaniepokojona. Isabel wachlowała ją rękoma. Leonor stała nieco dalej

i rozmawiała z jakimś młodzieńcem o kasztanowych włosach i zmarszczonych brwiach.

- Nic ci nie jest? Ale nas wystraszyłaś! - zawołała bratowa.

Na te słowa Leonor i Enrique podeszli do chorej. Niemal natychmiast w pobliżu wyrosła też mała główka bratanicy.

- Dobrze się czujesz, ciociu? - dziewczynka złapała ją za rękę.

Veridiana odetchnęła głęboko i potwierdziła. Czowała się doskonale. Jak jeszcze nigdy w życiu.

- Ten pan wziął cię na ręce i przyniósł aż tutaj - powiedziała Clarita, wskazując na mężczyznę o kasztanowych włosach.

Młodzieniec postąpił kilka kroków w jej kierunku i skłonił się.

- Enrique de Rascón y Cornejo, do usług.

Ten prosty gest wystarczył, by Veridiana uświadomiła sobie, że został wychowany znacznie lepiej, niżby na to wskazywało jego skromne ubranie.

Wstała ostrożnie i spojrzała w jego poważną twarz.

- Dziękuję... Nie wiem, co mi się stało... - skłamała. - Dziękuję bardzo, panie Enrique de Rascón y Cornejo - starannie powtórzyła nazwisko i wyprostowała się z godnością, cały czas patrząc w oczy stojącego naprzeciw w dumnej pozie młodzieńca.

- Cieszę się, że mogłem pomóc, pani... Domyśliła się, że chce poznać jej imię. Chwilę

wahała się, ale w końcu pomyślała, że zasłużył na to, by powiedziała mu prawdę.

- Veridiana. Veridiana de Sanabria. - Kiedy to powiedziała, poczuła się wolna, jakby właśnie pozbyła się ogromnego ciężaru, który dźwigała całe lata.

- Jestem do pani usług, Veridiano de Sanabria - podobnie jak ona smakował każdy dźwięk, jak gdyby chciał wyryć je sobie w pamięci. Powiedziawszy to, postanowił się pożegnać.

- Dziękujemy bardzo. Idź, panie, z Bogiem - powiedziała Maria.

Młodzieniec ruszył przed siebie. Clarita odprowadziła go do bramy. Powiedział coś do niej i dziewczynka zaśmiała się.

Kiedy służąca zamknęła bramę, Maria pośpieszyła z wyjaśnieniami:

- To nauczyciel gramatyki od dominikanów.

- Aha - mruknęła nieuważnie Veridiana.

- To przystojny, uroczy młodzieniec... de Rascón y Cornejo... Jego brat, hrabia...

Veridiana nagle znów zaczęła uważnie słuchać słów szwagierki.

- Hrabia?

Maria pokiwała głową.

- Pochodzi ze starego aragońskiego rodu. Jego brat jest hrabią. A on jedynie nauczycielem gramatyki...

- U dominikanów. Już to mówiłaś. Leonor podeszła do nich.

- Ale nas wystraszyłaś. Na pewno czujesz się już lepiej?

- Na pewno...

Veridiana kłamała. Wciąż jeszcze czuła ten nieokreślony niepokój, który ogarnął ją na placu. Znikła jedynie duszność wywołana pojawieniem się jasnowłosego mnicha. Victora.

Owa duszność ulotniła się w niewytłumaczalny sposób. Jak gdyby to wszystko tylko jej się przyśniło.

Musiała zrobić wysiłek, by skupić się na rozmowie, która toczyła się tuż obok.

- Veridiana chciała cię zapytać o twoją znajomą, tę, której zaginęło dziecko...

- Ach nie. To nie jest moja znajoma. To znajoma mojej przyjaciółki Any... - przerwała, bo zdała sobie sprawę, że jak zwykle zaplątała się we własne wyjaśnienia. - No więc ta kobieta ma na imię Antonia i jest wdową. Jej mąż nazywał się Felipe... Biedna Antonia! Taka młoda i już wdowa...

Maria machnęła ręką z dezaprobatą, jakby miała żal do swojej przyjaciółki, że mówi w ten sposób w obecności innej kobiety, która też dźwiga los młodej wdowy niczym ciężki kamień zawieszony u szyi.

Jednak Leonor nie zauważyła tego. Zawsze mówiła dużo i szybko. Nie przerywając ani na chwilę i nie zastanawiała się nad własnymi słowami. Miała wysoki i nieco męczący głos. Jednak serdeczne spojrzenie ciemnych oczu i szczery uśmiech zjednywały jej zaufanie ludzi.

- Felipe zostawił ją samą z dziewięciorgiem dzieci. No tak, teraz zostało jej już tylko sześcioro. - Leonor zrobiła znak krzyża.

Veridiana, Isabel i Maria nie odezwały się słowem, jednak w ich oczach błysnęło żywe zainteresowanie.

- To był najmłodszy... Chociaż nie! Prawie najmłodszy, przedostatni!... Albo nie... Tamten chyba umarł... Tak, chyba ten przedostatni.

- Kto go porwał?

- Oczywiście Żydzi! Któż by inny? To oni porywają dzieci!

- Leonor powiedziała to z głębokim przekonaniem. - Żydzi, którzy piją ich krew!

Próbowały dowiedzieć się czegoś jeszcze na temat zaginionych dzieci, ale niewiele więcej udało im się wyciągnąć od Leonor ponad to, co wiedziały już wcześniej.

Rozmowa skierowała się wobec tego na sprawy codzienne, by wreszcie, pod wieczór, skupić się na osobie młodego Enrique, którego zarówno Leonor, jak i Isabel uważały za bohatera.

- Przyniósł cię na rękach z samego placu.

- Jest bardzo przystojny...

- I niezwykle silny...

- Ja też nie miałabym nic przeciwko temu, by ktoś taki wziął mnie w ramiona.

- Ale ja z niczego nie zdawałam sobie sprawy - spróbowała uciąć temat Veridiana. - Zresztą jest dla mnie za młody, nie wydaje się wam? - zaśmiała się.

- No, wreszcie wróciły ci rumieńce, szwagierko! Nieźle nas nastraszyłaś!

- Oj tak, to prawda.

- To przez ten nieznośny upał - powiedziała Veridiana, starając się zbagatelizować cały incydent. - Muszę tylko trochę odpocząć.

- Kobiece przypadłości - podsumowała Leonor.

I nikt już więcej do tego nie wracał. A szczególnie Veridiana.

Tej nocy Veridiana długo nie mogła zasnąć. Była wyczerpana, ale myśli nie dawały jej spokoju. Starła się nie wiercić zanadto na sienniku, żeby nie przeszkadzać swojej bratanicy, pochrapującej cichutko obok niej, i nie spowodować hałasu, który mógłby obudzić małego Rodriga śpiącego teraz w kołysce obok ich łóżka. Jego spokojny, rytmiczny oddech uspokajał ją.

Lubiła zapach dzieci i odgłosy, które wydawały śpiąc. Nie potrafiłaby tego wyjaśnić, ale kiedy czesała małą Claritę albo kiedy nocą powietrze poruszyło się w pewien szczególny sposób, była w stanie rozpoznać zapach swoich bratanków. Pachnieli słodko jak biszkopt z mlekiem.

Veridiana cieszyła się, że śpi z dziećmi. Ich obecność łagodziła jej lęk przed ciemnością i zaludniającymi ją rozmytymi cieniami.

Jednak teraz to nie cienie ją prześladowały, lecz głuchy niepokój, który zagnieździł się w jej duszy, i uporczywie powracający obraz, którego nie potrafiła zapomnieć: obraz Victora, młodego jasnowłosego mnicha w białym habicie.

Nim zemdląca, ledwie zdążyła go zobaczyć, ale jego regularne rysy, przywodzące na myśl antyczny posąg, na zawsze wyryły się jej w pamięci. Gdyby zechciała wyobrazić sobie archanioła Michała, miałby taką samą szlachetną twarz i identyczne jasne, kręcone włosy. Najpiękniejszy mężczyzna na świecie!

Nigdy wcześniej nikt nie wywarł na niej aż takiego wrażenia. Zawstydzają ją własne gwałtowne emocje.

Bez końca pytała samą siebie, czy to wszystko, co zagnieździło się w jej sercu, to właśnie była owa namiętność, o której śpiewano w pieśniach? Przecież aż do tego wieczora miłość wydawała jej się wymysłem trubadurów. A teraz doznawała czegoś bardzo dziwnego. Tak dziwnego, że nie potrafiła znaleźć dla tego uczucia innej, właściwszej nazwy niż „miłość”

I czuła się z tego powodu jak głupia smarkula.

Nie była już taka młoda; była szacowną wdową, nie jakąś tam egzaltowaną panienką. Niemal nie zdając sobie z tego sprawy, wkroczyła wprost z dzieciństwa w dorosłość, w małżeństwo z Guyem, panem Tuluzy, starszym o czterdzieści lat. Nigdy nie miała czasu na marzenia.

Dlatego nie potrafiła pojąć, jak przelotny widok jakiegoś mężczyzny, niezależnie od jego urody, mógł tak bardzo na nią wpłynąć.

„Wszystko przez ten gorąc”, mówiła sobie. „Tak, wszystkiemu winien ten skwar”, okłamywała się wciąż od nowa.

Zarazem nie dopuszczała do siebie innej myśli, która niejasno w niej narastała. Było to poczucie zagrożenia.

Bowiem to dziwne uczucie, które niczym szum odległego strumienia nękało jej duszę, niepokojąco przypominało to, co poczuła w dniu wypadku na moście i kiedy w Tuluzie podano jej zatrutą zupę. Było do tamtych tak uderzająco podobne, że nie miała odwagi do końca sobie tego uświadamiać. Po prostu nie potrafiła się pogodzić z faktem, że tak urodziwy mężczyzna jak ten, którego widziała rano koło katedry, mógłby stanowić dla niej jakieś zagrożenie.

O rozwikłaniu zagadki tajemniczych zniknięć

Dominikanin i inkwizytor Alfonso Barroso siedział naprzeciw Enrique, złożony swe spiczaste palce na stole. Młodzieniec pomyślał, że przypominają dwa drapieżne szpony w chwilowym odpoczynku albo odnóża modliszki; ręce, które zapewne kryły w sobie dużo większą siłę, niż można by się spodziewać po tak kościstym człowieku.

- Majster Vicente wyjechał wraz ze swoją rodziną. Nikt nie wie dokąd. Przed wyjazdem zabrali wszystkie rzeczy - Enrique uniósł palec wskazujący dla podkreślenia swoich słów. - Chcę przez to powiedzieć, że to nie była chaotyczna ucieczka. Mieli wystarczająco dużo czasu, by wszystko przygotować...

Dominikanin pokiwał głową z zadowoleniem. Przy ruchu tym na ramiona opadło mu kilka drobin łupieżu.

- Zbadałem całą sprawę, rozpytałem się tu i ówdzie... Najdziwniejsze ze wszystkiego jest to, że nie zostawili żadnego śladu, nikt nie wie dokąd i jak wyjechali... - ciągnął Enrique. - Było ich czworo: majster Vicente, jego żona Juana i dwoje nastoletnich dzieci. Cztery osoby i sporo bagażu. Nie znalazłem człowieka, który wynajął im wóz, karetkę, konie, muły... Nic! Pytałem wszędzie, gdzie tylko można załatwić przewóz. I na nic nie trafiłem! - Młodzieniec poszukał wzrokiem oczu swojego mentora. - W jego bractwie nie chcą nic mówić, trzymają język za zębami. Mam wrażenie, że zapędziłem się w ślepy zaułek. Jakby ziemia pochłonęła całą tę rodzinę!

- Dobrze, bardzo dobrze, synu - Alfonso Barroso pokiwał głową i kolejne kawałeczki łupieżu opadły na jego biały habit. - Doskonale się sprawiłeś. Jesteś pewien, że nie miał własnego wozu? A może pożyczył mu jakiś znajomy?

- Już to sprawdziłem - Enrique ośmielił się mu przerwać. - Majster Vicente obracał się tylko wśród swoich. I jestem pewien, że ludzie z cechu nie okłamali mnie... A jednak... - przerwał na chwilę.

- A jednak? - Alfonso Barroso zachęcił go, by mówił dalej.

- A jednak... zostało mi kilka niedopowiedzianych wątków. Chcę jeszcze porozmawiać ze strażnikami murów miejskich, którzy stali na warcie w dniu jego wyjazdu. Przepytałem już tych z Cambrón, ale nie

pamiętają żadnej takiej rodziny... Ale nie udało mi się jeszcze trafić na wszystkich. Właśnie tym się zajmuję.

- Dobrze, bardzo dobrze, synu - powtórzył dominikanin. - Idź dalej tym tropem. Strażnicy miejscy...

Alfonso nachylił się do niego.

- Pomów jeszcze ze wszystkimi z cechu, z konstruktorami, majstrami, murarzami... Co mogło go skłonić do wyjazdu?

Enrique poruszył się na swoim miejscu. Już się zajmował tą kwestią.

- Rozmawiałem z kilkoma - zaczął wyjaśnienia - i żaden tego nie rozumie. Majster Vicente cieszył się wielką sympatią, ceniono go. Jak się wydaje, był wielkim entuzjastą budowy wieży katedry. Nikt tego nie rozumie... - powtórzył dobitnie. - I właśnie dlatego, że nikt tego nie rozumie, tyle gadają o jego zniknięciu.

Enrique westchnął. Dominikanin domyślił się w tym westchnieniu skrytej rozterki.

- I...?

- No więc... to nie jedyny taki przypadek. Rozpytując się, odkryłem, że w ostatnim roku zniknęli przynajmniej czterej majstrowie.

- A zatem nie były to tylko plotki! - Alfonso Barroso wyglądał na zaskoczonego.

Enrique de Rascón y Cornejo wysilił pamięć, by przypomnieć sobie szczegóły.

- Czterej majstrowie, jedni z najlepszych w tym cechu. Wszyscy czterej byli kawalerami, w wieku od siedemnastu do dwudziestu czterech lat. Carlos de

León, Beltrán de Toledo, Fernando Al-Bab-Usuf i Recaredo López.

- Mudeharowie?

Enrique potwierdził skinieniem.

- Muzułmańscy majstrowie, najlepsi z cechu.

- Najlepsi... - powiedział dominikanin w zamyśleniu. - Nie ma lepszych majstrów na świecie niż Arabowie z Toledo. To najbardziej wyrafinowani kamieniarze, którzy uczynili z murarki sztukę... A zatem najlepsi majstrowie znikają lub wyjeżdżają... Dokąd? Dokąd jadą ci najlepsi budowniczy i murarze?

Alfonso Barroso raptem spojrzał nieco ostrzej, lecz Enrique nie dawał się łatwo speszyć i przedstawiał kolejne szczegóły swojego raportu.

- Badam też sprawy pozostałych majstrów. Wszyscy mieszkali koło kościoła San Lucas, za dzielnicą żydowską. Na razie dowiedziałem się, że dwaj z nich, podobnie jak majster Vicente, zabrali swoje rzeczy i wyjechali. Nie zniknęli. Po prostu wyjechali, choć nikt nie wie dokąd... I obawiam się, że z dwoma pozostałymi rzecz ma się podobnie, okaże się, że po prostu opuścili miasto!

- Lepiej nie uważajmy tego za pewnik. Sprawdź czy oni także zabrali swoje rzeczy, że nie zniknęli w jednej chwili, ot tak.

- Oczywiście. Dopóki tego nie sprawdzę, to tylko... moje przypuszczenie.

Alfonso Barroso uśmiechnął się z zadowoleniem, co zachęciło Enrique de Rascón y Cornejo do kontynuacji.

- Wśród Mudeharów szerzy się pogłoska, że to jakieś przekleństwo...

- Już my wyjaśnimy, co to za przekleństwo. Do ciebie należy ustalenie, co tu się dzieje...

Tym razem uśmiechnął się Enrique.

- Mam nadzieję, że Bóg mnie oświeci. Na chwilę zapadło milczenie.

- To wszystko, co chciałeś mi powiedzieć, synu? Wzrok Enrique napotkał inkwizytorskie spojrzenie

dominikanina. Opowiedzieć mu o Veridianie?... Nie, oczywiście, że nie. Zachowa to dla siebie.

Nie powie mu przecież, że poznał kobietę, która zemdląca mu na rękach. Kobietę śliczną, o jaśniutkich włosach, bardzo bladą, jakby nie z tego świata. Że zaniósł ją zaraz do domu. I że jeszcze nigdy uroda żadnej kobiety nie zostawiła tak głębokiego śladu w jego duszy.

Nie powie, że próbował o niej zapomnieć, ale że jej obraz co chwila stawał mu przed oczami, wnikał w każdą jego najskrytszą myśl. Nie. Tego nie mógł opowiedzieć inkwizytorowi.

- To wszystko... Jeszcze tylko... chciałem zapewnić, że będę szukał dalej z nie mniejszym niż dotąd zaangażowaniem. Majstra Vicentego i tych czterech pozostałych.

Alfonso Barroso skinął głową, a na jego ustach zaigrał uśmiech. Jednak nawet teraz nie znikła zmarszczka przecinająca nieustannie jego czoło.

- A ja owszem, chciałbym coś jeszcze ci powiedzieć, Enrique de Rascón y Cornejo.

Młodzieniec zdziwił się, że tym razem nie powiedział do niego jak wcześniej „synu” i przygotował się na jakąś szczególnie poważną wiadomość.

- Chciałbym... chciałbym ci powinszować. Nie tylko w związku z twoim dochodzeniem, w którym wykazujesz nadzwyczajną gorliwość, ale także dlatego, że rozmawiałem o tobie z klerykami, których uczysz. Są zadowoleni.

Enrique uśmiechnął się z satysfakcją, mając nadzieję, że nie popada tym samym w grzech pychy.

- Powiedzieli mi, że wykładasz jasno i treściwie, a przede wszystkim, że ubarwiasz swój wykład łatwymi do pojęcia przykładami. Mówią, że nie tylko poprawili się w piśmie i śpiewie, ale, co najważniejsze

- przy tych słowach Alfonso Barroso uśmiechnął się szerzej, a zmarszczka między brwiami niemal znikła

- nie mogą się doczekać twoich lekcji i nauk! Lubią je, mój synu - znów się uśmiechnął. - Uczą się bawiąc, Enrique, a to jest właśnie najcenniejsze: uczyć bawiąc.

Alfonso Barroso wyrwał się cichy chichot.

- Ha, ha, ha... Jeszcze się okaże, że wreszcie znaleźliśmy właściwego nauczyciela gramatyki dla naszych kleryków.

- Zawsze lubiłem uczyć.

Alfonso z zadowoleniem pokiwał głową.

- Jestem z ciebie bardzo zadowolony, mój synu. I chciałbym, żebyś wiedział, iż wkrótce zamierzam wysłać do biskupa Tarragony pierwsze wieści o twoim

dochodzeniu... i o tobie. A moja opinia nie może być lepsza. Gdy tylko wyjaśnimy przypadek majstra Vicentego, porozmawiam także z Jego Ekscelencją Jimenem de Luną, arcybiskupem Toledo. Tylko tak dalej, a osiągniesz niejedno.

Młodzieniec uśmiechnął się uszczęśliwiony. - Dziękuję. Postaram się ze wszystkich sił. Alfonso Barroso wstał, dając tym samym do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną.

Enrique ruszył do wyjścia z klasztoru. Zabierał ze sobą miłe słowa podsumowujące ich rozmowę: dominikanin był zadowolony z efektów jego pracy. Patrzył na niego z sympatią i uśmiechał się serdecznie, niczym troskliwy ojciec. A jednak młodzieniec czuł, że tamten coś przed nim skrywał. Że w głębi duszy Alfonso Barroso był zimny jak wąż. Czasami zdradzały go lodowate błyski w oczach. Domyślał się, że pod fałszywą dobrocią krył wiele mrocznych tajemnic.

Jednak Enrique nie bał się węży. Sam też umiał dobrze strzec swoich sekretów.

Veridiana, María i Isabel postanowiły pójść na przedmieścia do Santa Leocadia, gdzie, jak im powiedziano, mieszkała obecnie Antonia, matka zaginionego dziecka. Leonor, zamiłowana plotkarka, oczywiście przyłączyła się do nich.

Juan, brat Veridiany, dowiedział się, że wybierają się do bazyliki Santa Leocadia i kobiety musiały

wymyślić jakiś pretekst, żeby usprawiedliwić tę wyprawę.

- Ale czego wy szukacie za murami? - obruszył się Juan.

- Idziemy na mszę - Maria okłamała męża z łatwością, która zdumiała Veridianę - Słyszałyśmy, że msze w Santa Leocadia są wyjątkowo piękne. Podobno proboszcz jest oświecony łaską Bożą.

- Ojciec Bartolome obrazi się, kiedy odkryje, że go zdradziłyście i chodźcie do innej parafii.

- Przecież Bóg jest wszędzie ten sam...

- Jeśli to takie ciekawe, to weźcie dzieci. Dobrze im zrobi taki spacer.

Taki był skutek uboczny tej religijnej wymówki: musiały zabrać Claritę i Rodriga, przez co ich śledztwo bardziej przypominało teraz pielgrzymkę.

Cztery kobiety z dwójką dzieci wyszły przez bramę Cambrón i ruszyły w dół zakurzoną drogą, próbując powstrzymać Claritę przed biegiem, bowiem jej braciszek natychmiast chciał robić to samo i bały się, że rozbije sobie głowę na tych wertepach.

Bazylika Santa Leocadia znajdowała się za murami Toledo. Wokół niej powstała cała dzielnica, osiedle złożone z chat, szałasów i chałupek z pobielonej cegły i niewielkich warzywników. Konstrukcje te wzniesiono bez ładu i składu, a przejścia między nimi jedynie ktoś obdarzony wyjątkowo dobrą wolą mógłby uznać za ulice. Ta część miasta przywodziła na myśl labirynt, jeszcze bardziej pogmatwany niż ulice właściwego Toledo.

Mimo wszystko bez trudu odnalazły murowany dom obok stuletniego figowca, według którego miały zorientować się, gdzie obecnie mieszka Antonia - wdowa i matka zaginionego dziecka.

Stały przed drzwiami i spojrzały po sobie ogarnięte nagłymi wątpliwościami. Jakby teraz, kiedy już tu dotarły, nie wiedziały, co dalej. Wreszcie Leonor przejęła inicjatywę i krzyknęła:

- Antonia?!

Mała, na wpół odziana dziewczynka wychyliła się zza zasłanki wiszącej w progu.

- Dzień dobry, malutka. Mieszka tu Antonia? Jestem Leonor, znajoma Any. Pamiętasz Anę? Przyjaciółkę twojej mamy?

Tyle pytań na raz musiało skonsternować dziewczynkę, jednak bez wahania zawołała:

- Mamoooo!

Antonia wyszła z dzieckiem uczepionym spódnicy.

- Antonia! Pamiętasz mnie? Jestem Leonor, przyjaciółka Any...

Antonia obrzuciła długim spojrzeniem kobietę, która stała przed nią i która wydawała jej się gościem z odległej przeszłości, choć w istocie widziały się raczej niedawno.

- Leonor? Ach tak, tak, przypominam sobie. Co tu robisz? - jej głos był zachrypły i ledwo słyszalny.

W tym momencie Veridianę ogarnęło ogromne poczucie winy. Rzeczywiście, co one tu robią? Przyszły

roztrząsać cudze nieszczęścia? Wtrącać się w życie samotnej wdowy, która nie miała tyle szczęścia, co ona sama? Wkładać palec w ranę po stracie męża i syna?

Ale Leonor nie peszyła się tak łatwo. Uśmiechnęła się współczująco do kobiety i westchnęła gorzko.

- Och, Antonio. Co za nieszczęście, Boże ty mój! - i objęła ją, kierowana impulsem, który okazał się znacznie bardziej szczerzy, niż to się pierwotnie wydawało Veridianie.

Leonor przedstawiła swoje towarzyszek, kłamiąc przy tym bez skrępowań.

- Przyszłyśmy do Santa Leocadia i powiedzieli mi, że teraz tu mieszkasz, no i namówiłam przyjaciółki, żeby cię ze mną odwiedziły. Tyle razy myślałam o tobie! Czasami zastanawialiśmy się z Aną, jak ci się wiedzie.

Veridiana omal nie spaliła się ze wstydu. Jeśli Leonor tak bardzo martwiła się o losy Antonii, jak to możliwe, że dotychczas jej nie odwiedziła! Kłamstewka te wydawały się Veridianie prymitywne i okrutne. Czowała się winna i nie na miejscu.

Nawet jeśli Antonia myślała podobnie, to jednak nie dała tego po sobie poznać. Uśmiechnęła się serdecznie, a widząc, że dzieci, które z nimi przyszły, zaczęły się bawić z jej pociechami w cieniu figowca, uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Leonor wygłosiła serię komunałów. Isabel i Maria wspierały ją w tym, Veridiana milczała. Nie odrywała oczu od tej kobiety, która wydała na świat dzie-

więcioro dzieci, straciła męża, a potem, jakby tego było mało, stała się świadkiem zaginięcia własnego synka.

Po kilku minutach, Leonor zdołała wreszcie skierować rozmowę na interesujący je temat: zaginione dziecko.

- Och, Antonio - westchnęła znów Leonor - a twój najmłodszy? Ten, który zginął... Co za tragedia, Boże mój, co za tragedia!

Antonia spojrzała na nią, jakby nie bardzo rozumiała, o czym mówi. .

- Tragedia?... Mówisz o Matiasie? Nie, skądże. Żadna tragedia. Raczej łut szczęścia.

Przybyłe kobiety wymieniły zaskoczone spojrzenia, a wreszcie na ich twarzach odmalowało się współczucie wobec obłędu, w jaki niewątpliwie popadła owdowiała matka.

- Łut szczęścia? - zapytała niepewnie Leonor.

- Tak, wielkie szczęście - odparła Antonia z nieco nieprzytomnym marzycielskim wyrazem twarzy.

- Szczęście, że twój mały Matias zginął? - musiała się upewnić Leonor.

- Zginął? Ależ nie. Zabrali go...

- Żydzi? Zabrali go!!! - wykrzyknęła zdjeta przerażeniem Isabel.

Antonia zrobiła zdziwioną minę.

- Żydzi? Nie, skądże. Chrześcijanie. Chrześcijańscy rycerze.

Milczenie, które zapadło, i pełne zaskoczenia twarze gości sprawiły, że Antonia wyjaśniła:

- Mały Matías to najbystrzejsze z moich dzieci. Nie pamiętasz, Leonor? Sama to nie raz widziałaś...

Leonor z trudem pokręciła głową.

- Felipe był z niego taki dumny. Mawiał, że daleko zajdzie... Och, teraz na pewno patrzy na niego z nieba... Uratował nas przed nędzą po śmierci mojego kochanego męża. Mały Matías uratował nas wszystkich...

- W takim razie, kto go zabrał? - odważyła się zapytać Veridiana resztką głosu.

- Rycerze, mnisi ze Świętej Cękliny, a któż by inny

- odpowiedziała bez wahania Antonia. - Od razu zauważyli, jaki bystry jest mój chłopaczek, i zaproponowali mi układ. Oni zabrali Matiasa do klasztoru, gdzie otrzyma staranne wykształcenie, a w zamian... W zamian zapłacili mi. Wyobrażacie sobie?

- zawołała Antonia szybko i z dumą. - Przecież wielu ludzi płaci, by wstąpić do niektórych zakonów! A mojego małego po prostu wzięli! Bo jest bardzo bystry, powiedzieli, obiecujący...

- Sprzedałaś... własne dziecko? - ośmieliła się zapytać Veridiana.

Nie mogła uwierzyć, że matka oddała za pieniądze rodzone dziecko, niezależnie od tego w jak ciężkim położeniu się znalazła... Wszystko przewracało jej się w środku na samą myśl, że miałyby sprzedać tę istotkę, którą straciła, nim ją tak naprawdę poznała, a za którą tęskniła każdego dnia.

- Sprzedałam? - kobieta spojrzała na nią zdumiona.

- Nie, przecież on nie będzie tam żadnym niewol-

nikiem. Będzie podopiecznym Świętej Cekliny. Wychowają go na rycerza. Będzie się uczył, pozna sztukę walki, zdobędzie sobie lepszą przyszłość. A dzięki pieniądzom, które mi dali, zapewnił również lepszą przyszłość swojemu rodzeństwu...

Szeroki uśmiech rozlał się na twarzy Antoni. Święta Ceklina. Już po raz drugi Antonia wspominała tę nazwę. Veridiana poczuła, że napływa do niej jakieś bardzo odległe wspomnienie. Jak gdyby przechodziła wplaw rzekę, a błoto i glony, które przez długi czas spokojnie leżały na dnie, schowane w odmętach niepamięci, nagle wypłynęły na wierzch i zmaciły przejrzystą tafłę wody. Nazwa Święta Ceklina wydawała jej się dziwnie znajoma, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie też ją wcześniej słyszała.

Wtedy Antonia zaprosiła je do środka. Kiedy weszły na patio porośnięte winoroślą, zdumiały się.

Niepozorna fasada domu nie zapowiadała w najmniejszym stopniu tego, co ujrzały wewnątrz. Na środku patio znajdowała się pobielona studnia. Cień padający od winorośli łagodził siłę przygrzewającego bez litości słońca. Wokół podwórza widniały kolejne zabudowania. Wszystko z cegły i bardzo proste, jednak dom był naprawdę duży. W jednym kącie patio założono nawet mały ogródek.

Sądziły, że Antonia żyła w ubóstwie, ale teraz zdały sobie sprawę, że rzeczy miały się zupełnie inaczej.

- Kupiłam ten dom za pieniądze z zakonu Świętej Cekliny. Bóg odpowiedział na moje modlitwy...

Mogłam wyprowadzić się z chałupy, w której gnieździliśmy się po śmierci Felipe... W jednej chwili nasz los się odmienił! Od tamtej pory co dnia błogosławię mnichów ze Świętej Cekliny... Bernarda i Victora. Niech Bóg ich ma w opiece!

Serce Veridiany stanęło na moment z wrażenia, a szum strumienia, który nie dawał jej spokoju od dnia, w którym zemdląca, przeistoczył się nagle w potężną falę, która zalała ją, przyspieszyła puls, skróciła oddech i wywołała rumieńce na policzki.

To nie mógł być zbieg okoliczności: Bernardo i Victor. Tak jak ci mężczyźni, których widziała na placu. Jeden z nich, ten, który przeszedł obok niej i którego twarzy nie umiała wymazać z pamięci, nosił biały habit.

- Mnisi ze Świętej Cekliny... noszą białe habity? - zapytała zduszonym głosem Veridiana. Policzki jej pałały.

Antonia skinęła głową.

- Nigdy o nich nie słyszałam - powiedziała Leonor.

- Pełno tych zakonów, a to Zakon z Belchite, a to z Alcantara, Calatravy czy Santa Maria de España... Jedne zakony się pojawiają, inne znikają albo łączą z innymi. Takie to mamy pełne zamętu czasy.... A pamiętacie templariuszy? Podobno teraz nazywają się Ubogimi Rycerzami Chrystusa... - oświadczyła Isabel.

- Zakon Świętej Cekliny jest bogaty i wpływowy, wierzcie mi. I mówię to nie tylko przez wzgląd na pieniądze, które mi dali za Matiasa. Beltran de Toledo

też całkiem dobrze na tym wyszedł. O tak. Wyruszył do klasztoru z moim Matiasem, z sakiewką pełną złota...

- Kto? Beltran? Kolejne dziecko?

- Nie, moja droga, skąd! Beltran de Toledo! jeden z najlepszych majstrów w mieście. Pracował przy katedrze. Potrzebują budowniczych do swojego klasztoru i dobrze płacą. I to jeszcze jak! Beltran rzucił wszystko, właściwie z dnia na dzień, żeby z nimi pojechać...

Kobiety przytaknęły, starając się przyswoić wszystkie usłyszane informacje.

- W Toledo... - odważyła się powiedzieć Veridia-na, wciąż jeszcze oszołomiona - w Toledo mówią, że zniknął. Tak samo jak twój syn.

- Dobry Jezu! Co za bzdura! To, że ktoś nagle wyjeżdża, nie znaczy jeszcze, że zniknął... Ja też już słyszałam, że tak mówią o moim synu, a nawet o mnie! I to tylko dlatego, że pewnego dnia porzuciliśmy naszą chałupę i już więcej do niej nie wróciliśmy. Dobrze sobie! Ludzie gadają, co im ślina na język przyniesie, jeden powtórzy drugiemu, a tamten następnemu i w końcu to, co powiedział pierwszy, nie ma nic wspólnego z tym, co usłyszał ostatni... Ludzie lubią plotkować i gadają byle co. Mój syn został wychowankiem mnichów ze Świętej Cekliny - zakończyła z dumą Antonia.

- Cieszę się ze względu na twojego małego, Antonio, naprawdę się cieszę - Leonor uśmiechnęła się szeroko.

W cieniu winorośli rozmawiały dalej o swych dzieciach i najnowszych wydarzeniach wśród wspólnych znajomych. Dopiero gdy słońce chyliło się ku zachodowi, Leonor pożegnała się z Antonią.

- Bardzo się cieszę, że dobrze ci się wiedzie - powtórzyła. - Powiem Anie, żeby cię odwiedziła.

Po tonie głosu Leonor Veridiana zrozumiała, że jej radość była całkiem szczera. Za to ze sposobu, w jaki pożegnała je Antonia, wywnioskowała, że jej obecne życie tak bardzo różniło się od wcześniejszego, że było jej obojętne, czy jeszcze ją odwiedzą, czy nie.

Kiedy cztery kobiety z dziećmi szły drogą pod górę, wracając do Toledo, pierwsza odezwała się Isabel:

- A to ci historia!

- Nie narzekaj, moja droga! - odparła Maria.

- Czy nie chciałyśmy się dowiedzieć, co się stało z dzieckiem? No i już wiemy. Jest podopiecznym w klasztorze jakiegoś zakonu...

- Kto by to pomyślał! - zawołała Isabel - Okazuje się, że Żydzi nie mają z tym nic wspólnego... Tak samo jak z zaginięciem majstra Beltrana de Toledo.

- Mamo, jestem zmęczona - wtrąciła się Clara.

- Weź mnie na rękę!

- Chyba żartujesz! Jesteś już za duża i za ciężka!

- obruszyła się Maria. - Wytrzymaj jeszcze chwilę, zaraz będziemy w domu.

Veridiana, która dotychczas nic nie mówiła, wzięła bratanicę za rękę.

- Zobaczymy rączkę tego filutka...

- Jest jeszcze malutka! - mimo zmęczenia Clara natychmiast podjęła zabawę.

Isabel, Leonor i Maria roztrząsały zdobyte właśnie informacje przez całą drogę powrotną. Tylko Veridiana nie miała ochoty na rozmowę.

Wciąż od nowa powtarzała sobie w myślach te same słowa: „Święta Ceklina, Bernardo, Victor"... Skąd je znała? Czemu wydawały jej się znajome?

Mały Rodrigo też był zmęczony i marudząc uczeplił się ręki matki.

- Oj, dzieci, nie nudźcie. Przecież zaraz przyjdziemy... Patrzcie, już widać bramę.

- Ja nie widzę.

- Tam, wysoko - pokazała. - Nie widzisz? To nie jest długa droga...

Długa droga...

Veridiana nagle wszystko sobie przypomniała. Wir, który mącił wody jej pamięci, nagle przybrał formę wyrazistego wspomnienia.

Przypomniała sobie wielką podróż, jedną z najdłuższych w jej życiu - z León do Tuluzy. Jechała wtedy niczym księżniczka, by poślubić barona. Była jeszcze dziewczynką.

Po tylu latach, które upłynęły od tamtego czasu, szczegóły podróży zacierały się w jej pamięci, ale pamiętała Eladia, który kierował karawaną i który był jak przyjaciel. A jednak, kiedy dotarli do Tuluzy, zostawił ją i wrócił do León.

Przypomniała jej się też pewna noc, gdy nocowali w oberży. Tam poznała kobietę o białych włosach, która była dla niej bardzo miła. Rozmawiał z nią jak nikt wcześniej, wydawała się rozumieć rzeczy, których nikt inny nie miał odwagi wysłuchać. Był tam też trubadur śpiewający rzewne pieśni. Następnego dnia tamci odjechali. Odjechali zabierając ze sobą... jednoroźca. Wydawało się jej wtedy, że zobaczyła jednoroźca.

Czasami wspominała tamtą scenę i sama siebie pytała, czy zdarzyło się to naprawdę.

Był to dziwny stwór, ogromny, imponujący, bardzo szlachetny. Nie miał białego koloru, jak jednoroźce zdobiące znane jej arrasy, lecz brązowy. Z czoła wyrastał mu samotny róg, skrzywiony, ale piękny.

Veridianę przeszył dreszcz, a głuchy szum, który towarzyszył jej od kilku dni, znów zaczął przybierać na sile. Bo nagle przypomniała sobie również niektóre rozmowy z Eladiem podczas tamtej długiej podróży. Wyjaśnił jej, że tamci byli mnichami ze Świętej Cekliny. „Mnisi-czarnoksiężnicy, odszczepieńcy - zabrzmiały jej w uszach jego słowa - którzy czczą nieczyste heretyckie księgi”...

- Veridiana, ciociu! Wcale mnie nie słuchasz! - krzyk Clary wyrwał ją z zamyślenia.

Prowadziła ją za rękę, a twarz małej wyrażała wielkie rozczarowanie.

- No weź mnie na rękę. Nie mam już siły.

- Przepraszam, Clarito, nie słyszałam cię.

- Już dochodzimy - powiedziała zmęczonym głosem matka dziewczynki. Niosła na ręku małego Rodriga.

- Opowiadałam ci już, jak kiedyś wydawało mi się, że zobaczyłam jednorożca?

Twarz dziewczynki rozbliły, natychmiast zapomniała o zmęczeniu i głodzie.

- Było to podczas długiej podróży, kiedy jechałam do Francji...

Clarita dała się porwać historii, którą zaczęła snuć ciotka, wyczerpanie gdzieś się ulotniło. W ten sposób, nie wiedząc nawet kiedy, dotarli wreszcie do domu, zjedli spóźniony obiad i oddali się przywracającej siły sjeście.

Morderca przybył do Toledo kilka dni wcześniej.

Miał za sobą długą drogę, która zaczęła się w Tuluzie. Najpierw szedł tropem jadącej do Saragossy karawany, do której przyłączyła się kobieta w ciąży i starzec: Veridiana i kapelan Michael. Jednak minęło już wiele czasu i nikt nie pamiętał tamtych dwojga.

Dlatego musiał pojechać aż do León, rodzinnego miasta kobiety, którą miał zabić. Tam odnalazł grób kapelana, jednak ani śladu Veridiany. Rozpytywał się wszędzie, lecz na próżno.

Przez ponad rok zwodziły go fałszywe tropy. Sprawdzał po kolei wszystkich krewnych, u których, jak sądził, mogła się schronić dawna pani Tuluzy

z synem lub córką. Bowiem to dziecko było prawowitym spadkobiercą barona Guya i istniało zagrożenie, że kiedyś upomni się o swoje prawa. A tego za wszelką cenę chcieli uniknąć jego mocodawcy, zwłaszcza teraz, gdy zabiegali o spuściznę po baronie dla swoich własnych dzieci.

Zabójcy odszukanie Juana zajęło wiele czasu, gdyż najmłodszy syn rodziny Sanabria zrezygnował z używania swojego rodzowego nazwiska, gdy został kupcem bławatnym. Rodzina też niechętnie o nim mówiła, bo tym zajęciem brukał szlachetne imię rodu.

Kiedy wreszcie trafił na jego ślad w Toledo, odkrył, że mieszka ze swoją siostrą, piękną, bladą kobietą o jasnych włosach. Wtedy wiedział, że wreszcie jego poszukiwania uwieńczył sukces. Odnalazł Veridianę, swoją ofiarę.

Kwota, którą wypłacono zabójcy w charakterze zaliczki, była już na wyczerpaniu, ale to, co obiecano po wykonaniu zlecenia, miało aż nadto wynagrodzić mu czas, który poświęcił na to zadanie.

Znalezienie Veridiany okazało się trudne, ale cała reszta nie stanowiła większego problemu: wystarczyło tylko zabić kobietę i jej dziecko.

Don Bartolome, proboszcz parafii San Roman, należał do osób o wyjątkowej ogładzie i wyrozumiałości. Wridiana знаła go, ponieważ był jej spowiednikiem od przeszło dwóch lat. Ze świecą można by szukać kogoś, kto jak on umiałby czytać w cudzych

duszach, tak szczerze martwił się losami swoich parafian i nie przywiązywał wagi do dóbr materialnych.

Don Bartolome nosił wytartą sutannę o nieokreślonym kolorze, który równie dobrze mógł być czarny, co brązowy, i chodził zgarbiony, jakby ciężar lat przytłoczył go przedwcześnie.

Veridiana postanowiła na własną rękę dowiedzieć się czegoś więcej o Zakonie Świętej Cekliny, bo - co nieraz jej wypominano - była niezwykle ciekawska. Poza tym, choć nie chciała tego sama przed sobą przyznać, czuła wciąż to dziwne mrowienie, kiedy myślała o mnichach-rycerzach. Zwłaszcza o Victorze. Mrowienie nie przechodziło ani przy haftowaniu, ani podczas modlitwy, ani w czasie zabawy z bratankami.

Jej pierwszą myślą było szukać rady u ojca Bartolome.

Poczekwała, jak zwykle, aż wysłucha spowiedzi innych parafian. Wtedy podeszła do konfesjonału, wyspowiadała się i w końcu nieśmiało, jakby zwracała się do obcego, zapytała go o Zakon Świętej Cekliny.

- Święta Ceklina?! - zawołał ojciec Bartolome. - Dawno już nie słyszałem tej nazwy. Czemu o to pytasz?

- Przez zwykłą ciekawość - skłamała. - Rozmawialiśmy o zakonach, a o tym nigdy wcześniej nie słyszałam... Ponieważ ojciec dużo czytał, przyszło mi do głowy, że może... - nie dokończyła, jakby nie wiedziała, co dalej powiedzieć, po czym spojrzała na proboszcza.

- Zakon Świętej Cekliny już nie istnieje.

- Jak to nie istnieje?! - zawołała, ale natychmiast stłumiła głos.

- Kiedyś, owszem, istniał. Ale rozwiązał go nasz drogi papież. Jestem tego pewien. Nie sądzę, by został choć jeden z tych mnichów i rycerzy... - ojciec Bartolome przerwał na chwilę.

Veridiana milczała. Nie miała odwagi wyznać, że z tego, co zauważyła, Zakon nadal istniał. Co więcej, wszystko wskazywało na to, że prowadził prace przy odbudowie klasztoru, gdyż zatrudniał murarzy i majstrów. I chyba nie wiodło mu się tak źle, skoro nawet prowadzili nabór wśród dzieci.

- Dziwne, że o to pytasz, Veridiano. Ledwie miesiąc temu przypominałem sobie o nich. Wyobraź sobie, że wydawało mi się, że widziałem... Wiesz, wiele lat temu przyjeżdżali do Toledo zamawiać broń. To były duże zamówienia, na miesiące pracy dla warsztatu mojego kuzyna. Zakon Świętej Cekliny należał do jego najlepszych klientów. I jakiś miesiąc temu, miałem wrażenie, że zobaczyłem jednego z tych mnichów. Nazywał się Bernardo, tak...

Bartolome zamyślił się, a Veridiana nie chciała mu przerywać. Mimo że serce biło jej szybko, stała ze spuszczonego wzrokiem, jakby chodziło o ciekawy szczegół, pozbawiony jednak większego znaczenia.

- ... ale to zupełnie niemożliwe. Tamten Bernardo, którego znałem, teraz musiałby być starcem. A mężczyzna, którego zobaczyłem, był w sile wieku...

Veridiana odchrząknęła, nim ośmieliła się zapytać:

- I gdzie go ksiądz widział?

- W dzielnicy żydowskiej. Wychodził z jednego domu koło Petahya. Bernardo, tak...

Ojciec Bartolome znów zagłębił się we wspomnieniach, a ponieważ nie zanosilo się na to, by szybko przerwał milczenie, Veridiana zdecydowała się odezwać.

- Dlaczego rozwiązano ten Zakon? - zapytała wreszcie niemal szeptem.

- Och, nie pamiętam dokładnie... Konkretna przyczyna... Ehm... Kto wie? Pewnie herezja, tak jak to się zdarzyło z templariuszami i katarami...

- To znaczy, że byli heretykami? - serce Veridiany zamarło; poczuła, jak ogarnia ją lęk.

Don Bartolome zwlekał z odpowiedzią, a jego milczenie wydało się Veridianie nieznośnie długie.

- Jedno jest pewne: zgromadzili większe bogactwa niż jakikolwiek inny zakon. A nie mieli jak inni poparcia króla Aragonu. Pamiętam dobrze, że nie wymagali od postulantów szlacheckiego rodu, nawet ludzie nisko urodzeni mogli zasilić ich szeregi, stać się rycerzami, tak zwanymi *fraile milite**. Bracia brali pod uwagę jedynie wiarę, odwagę i głód wiedzy... Bo mnisi ze Świętej Cekliny byli miłośnikami nauki. I właśnie to wadziło innym. Bo dla braci nie miało znaczenia, skąd ta wiedza pochodzi - Don Bartolome westchnął. - Mówią, że przechowywali zakazane

* *Fraile milite* - bracia wojownicy (przyp. red.)

księgi, że częściej, niż należy, kontaktowali się z Maurami czy Żydami. Zresztą stanowili zagrożenie również ze względu na swoją sprawność bojową, byli walecznymi żołnierzami, nielekającymi się śmierci, doskonale wyszkolonymi w sztuce walki i strategii... To zagrożenie dla każdej władzy, tak... Mnisi-rycerze...

Veridiana pomyślała wówczas o Matiasie, chłopcu ubogim, ale bystrym, który zdawał się doskonale pasować do obrazu typowego ucznia Świętej Cekliny, jaki odmalował przed nią ojciec Bartolome. A potem, nieuchronnie, pomyślała o Victorze, mężczyźnie, o którym nie umiała zapomnieć.

- A jakie... - uzbroiła się w odwagę, by zadać szeptem jeszcze jedno pytanie - jakie habity nosili? Wie może ojciec?

- Białe, jak dominikanie...

Veridiana starała się zachować kamienną twarz. Wiedziała jednak, że jej policzki oblał rumieniec.

Teraz była już pewna, że Zakon Świętej Cekliny istnieje nadal, a kilku jego członków przebywa w Toledo, gdzie szukają murarzy i dzieci. Budowniczych i wychowanków. Gdyby miała wyciągnąć wnioski z tego, czego się dowiedziała, powiedziałyby, że Zakon rośnie w siłę i że wcale nie zniknął.

- Veridiano, czy zdołałem zaspokoić twoją ciekawość? - zainteresował się don Bartolome z uśmiechem.

Skinęła głową w milczeniu.

- Ta twoja ciekawość ściągnie kiedyś na ciebie kłopoty.

- My kobiety jesteśmy dociekliwe z natury - zauważyła nieśmiało.

- Oczywiście, oczywiście, dociekliwość to dobra rzecz, ale trzeba znać granicę między dociekliwością a wścibstwem.

Uśmiechnęła się, spoglądając niewinnie swoimi błękitnymi oczyma.

- To prawda, ojczy.

Gdy opuściła kościół San Román, była zdecydowana odszukać mnichów - rycerzy ze Świętej Cekliny.

- Słuchaj, starczy już! Daj temu spokój! - Jej bratowa Maria odłożyła robótkę na kolana i pogroziła jej igłą niczym miniaturową szpadą. - Wiemy już, że chłopiec nie zaginął. Ani on, ani majster. Zabrali ich ze sobą mnisi - rycerze z zakonu... zakonu...

- Świętej Cekliny - dokończyła za nią z gestem zniecierpliwienia Isabel.

- No właśnie. Ze Świętej Cekliny. W sumie dla nich to lepiej! Wbrew temu, co myślałyśmy, Żydzi nie mieli z tym nic wspólnego. Daj już temu spokój!

Veridiana od dłuższego czasu nie potrafiła skupić się na swojej robótkce. Róża, którą haftowała, czekała niewykończona na tamborku.

- No tak. Ale... nie wydaje wam się to dziwne? Ojciec Bartolomé mówi, że ten zakon nie istnieje, że całe lata temu papież go rozwiązał.

Jej rozmówczynie wzruszyły ramionami niemal jednocześnie.

- No i co z tego...?

- Nie dziwi to was?

- Tak naprawdę nie bardzo mnie to obchodzi. Veridiana z trudem ukryła rozczarowanie. Wyglądało na to, że Isabel i Maria straciły całe

zainteresowanie sprawą, gdy tylko odkryły, że Żydzi nie maczali w niej palców.

- Isabel, już cię nie obchodzą te tajemnicze krzyki, które słyszysz po nocach? Odgłosy ćwiartowania...

- Veridiana zrobiła ostatni wysiłek, by pobudzić ich słabnące zainteresowanie.

Isabel nagle się ożywiła.

- Nie powiedziałam wam tego! - wstała tak gwałtownie, że jej robótka omal nie spadła na ziemię.

- Już to odkryłam! Już wiem, skąd się biorą te odgłosy.

Veridiana wstała i odłożyła swój tamborek na stół. Maria również podniosła się zaskoczona.

- Chodźcie ze mną. Coś wam pokażę.

Isabel skierowała się w kąt patia. Leżała tam sterta drewna na opał. Za nią znajdowały się niewielkie drzwi, na które Veridiana nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi. Gospodyni odsunęła szczapy, podniosła kratę, zabezpieczającą drzwiczki i otworzyła je.

W tej samej chwili Veridianie buchnął w twarz odór mułu i wilgoci. Wąskie schodki niknęły w ciemności.

- Caarmeen! - krzyknęła Isabel. - Przynieś nam lampkę! Chcecie zejść? To spiżarnia - wyjaśniła przyjaciółkom i ruszyła w dół. - Same zobaczcie.

Służąca Carmen nadeszła z kagankiem, który po kilku nieudanych próbach udało jej się zapalić. Potem podała go Isabel.

Wszystkie trzy zagłębiły się w ciemność. Pomieszczenie zostało wykute w wapiennej skale. Panował tu chłód, dzięki któremu żywność dłużej zachowywała świeżość. Od dziwacznej mieszanki zapachów Veridianie zakręciło się w głowie; olej, smalec, wino, piwo, kiełbasy i słonina... Czują jednak nie tylko zapach żywności; było coś jeszcze, choć nie potrafiłaby określić, co to takiego.

Isabel przeszła w głąb, odsunęła deskę i pokazała im otwór.

- Połóż tu rękę, o tutaj - powiedziała do Marii. Tamta podeszła ostrożnie i zbliżyła dłoń do otworu.

- Przeciąg!

- Prawda?

Veridiana też poczuła przepływ powietrza. W tej samej chwili wiedziała już, co to za zapach.

- Pachnie rzeką... Zastałą wodą, szlamem czy czymś takim.

Maria zaczęła węszyć jak piesek.

- Rzeczywiście.

- Prawda? - powtórzyła Isabel. - Poprzedniej nocy znów usłyszałam krzyki - zaczęła opowiadać, ponownie zastawiając otwór deską. - I powiedziałam sobie: „Dosyć tego!”. Uzbroidłam się w odwagę i zeszłam za

odgłosami aż na patio, a potem do tej spiżarni i... Nagle zrozumiałam, że owe krzyki tak naprawdę nie były krzykami, lecz wyciem wiatru, który przechodził przez tę dziurę! Kobiety wróciły na patio.

- Teraz nic nie słychać, same widzicie. Tylko wtedy, gdy wiatr wieje w szczególny sposób, od południa. Wtedy przenika przez załamki skał i słychać jakby zawroźnienie, jakby ludzkie jęki...

- Całe podłóże, na którym zbudowano Toledo, jest takie podziurawione - wtrąciła Maria. - To prawdziwy labirynt połączonych jaskiń. Od niepamiętnych czasów miasto leży na systemie tuneli...

- Od czasów Herkulesa - dodała Isabel z miną znawczyni. - Powiedziałam o tym mężowi i wyjaśnił mi, że niektóre jaskinie prowadzą aż nad rzekę. Ze kiedy był dzieckiem, wejście do tej jaskini było już zamknięte, jak zresztą do wielu innych.

- Więc to nie Żydzi! - orzekła Maria. Isabel pokręciła głową.

- To tylko wiatr.

Obie wyglądały na rozczarowane. Veridiana nie. Dla niej już i tak było jasne, że Żydzi nie porywali dzieci ani murarzy. Robił to pewien Zakon, który od dawna nie powinien istnieć!

Intrygowało ją to. Jej ciekawość rosła pod wpływem wspomnienia jednego z owych mnichów.

Isabel i Maria wróciły na swoje miejsca i z powrotem zabrały się za haftowanie. Veridiana dalej stała.

- Naprawdę nie chcecie wiedzieć więcej o Zakonie Świętej Cekliny?

- Nie bądź nudna!

- Ani nas to ziębi ani grzeje.

- Nie dręczy was ciekawość?

Jej przyjaciółki zajęte były na nowo swoimi robótkami i nawet nie podniosły na nią wzroku.

- A ja muszę wiedzieć, co to za historia z tym Zakonem...

Marii i Isabel jednocześnie wyrwało się westchnienie.

- Starczy już, Veridiano - powiedziała bratowa ze znużeniem. - Wiemy aż nadto. Chłopcu nic się nie stało. Nikogo nie rozrywają na strzępy... Nie pchaj się tam, gdzie cię nie proszą. Jeśli papież postanowił rozwiązać Zakon, na pewno miał swoje powody. Nie mieszaj się do tego...

Usiadła i spuściła wzrok. Nie mogła im powiedzieć, że umierała z niecierpliwości, by dowiedzieć się czegoś o Victorze. Do tego nie przyznałaby się nikomu, nawet samej sobie.

Dlatego wzięła tamborek i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w na wpół wyhaftowany kwiat. Veridiana już postanowiła, że odnajdzie rycerzy tego zakazanego zakonu. Ale nie odezwała się więcej. Dalej wpatrywała się w robótkę i automatycznie wkłuwała igłę. Maria i Isabel zaczęły rozmowę na nieistotne tematy, ale ich słowa do niej nie docierały. Jej myśli krążyły daleko od tego patia; zastanawiała się, jak dotrzeć do dzielnicy żydowskiej i pod jakim pretekstem może tam pójść sama.

Kiedy kilka dni później usłyszała, jak Maria strofuje jedną ze służących, która zapomniała odebrać kościane łyżki, przyszło jej do głowy, że to doskonała sposobność, bo rzemieślnik, który je wytwarzał, mieszkał w pobliżu żydowskiej dzielnicy.

- Nie krzycz już na nią, Mario - powiedziała, udając, że stara się ją pocieszyć. - Ja po nie pójde.

- Ty? Nie ma mowy, Veridiano! To jej obowiązek.

- Dla mnie to żaden kłopot, naprawdę.

- Przecież nie pójdziesz sama! Nie żartuj!

- Nie pójde sama... Clarita dotrzyma mi towarzystwa - zaimprovizowała szybko. - Całe rano tylko marudzi. Zrobimy tak: zabiorę ją, a po drodze wstąpimy na plac i popatrzymy sobie na małpkę - nie dała bratowej czasu na odpowiedź. - Co o tym myślisz, Clarito? Idziemy zobaczyć małpkę? Zrobimy sobie spacer?

Czasami, i to nie tylko w dni targowe, kuglarze wystawiali na placu Pozo tańczącą małpkę. Clarita to uwielbiała, więc gdy tylko usłyszała o zwierzątku, nie było mowy, by zrezygnowała z przechadzki.

- Zabierz mnie do małpki! Zabierz mnie do małpki! Ciociu!

Veridiana złapała bratanicę za rękę i zapytała:

- Zobaczmy rączkę tego filutka.

- Jest jeszcze malutka!

- Zaraz wrócimy! - krzyknęła Veridiana do bratowej.

Nie miała pojęcia, jak bardzo się myli.

Dzielnica żydowska była ni mniej ni więcej tylko zawiłym labiryntem krętych uliczek zaczynającym się nieopodal katedry. Veridiana знаła tylko główne ulice, przy których znajdowały się sklepy. Nigdy nie zapuszczała się w głąb żydowskiej dzielnicy.

Na placu Pozo nie zobaczyły nawet śladu po kuglarzach. Clara naburmuszyła się i oświadczyła, że nie pójdzie ani kroku dalej. Veridiana uzbroiła się w cierpliwość.

- A co byś powiedziała, gdybyśmy po odebraniu łyżek poszły do cukierni Tomasa? - zapytała z uśmiechem. - Kupię ci marcepan.

- Dwa?

Veridiana była gotowa ustąpić, byle tylko zapewnić sobie dobry humor dziewczynki na czas swojego małego śledztwa.

- No dobrze, niech będą dwa. Ale w takim razie musisz się zachowywać wyjątkowo grzecznie...

Dziewczynka, bardzo zadowolona, zgodziła się bez trudu.

Odebrały łyżki, a potem poszły po marcepany. Tam Veridiana skorzystała z okazji i zapytała Tomasa o dom Petahya. Była pewna, że pytanie wydało się cukiernikowi trochę dziwne, nie ośmielił się jednak dociekać, po co jej była ta informacja.

Gdy Veridiana weszła w wąskie zaułki dzielnicy żydowskiej i zostawiła za sobą gwar handlujących, szybko znalazła się w uliczkach, gdzie jedynym dźwiękiem było echo jej kroków i mlaskanie bratanicy.

Nigdy nie miała trudności z orientacją w terenie, ale w tym labiryncie uliczek natychmiast poczuła się zagubiona. Bezwiednie ścisnęła mocniej dłoń Clarity.

- Ciociu, to boli!

- Przepraszam, kochanie.

Tłum ludzi, który kłębił się na głównych ulicach, zniknął całkowicie. A domu pomalowanego na żółto i białą, który miał wskazywać jej drogę, nigdzie nie było widać. Szukając go, przeszła kilka ulic, nim zrozumiała, że całkiem się zgubiła. Stała w ciemnym zaułku i zdawało jej się, że słyszy kroki za plecami. Odwróciła się szybko. Nikogo jednak nie zobaczyła.

Chciała zapytać kogoś o dom Petahya, ale przechodzili tu sami Żydzi, a jej dawny lęk i przesady były zbyt silne, by odważyła się to zrobić.

Po raz pierwszy od wielu lat poczuła, że w Toledo jest cudzoziemką.

Odetchnęła głęboko. Spróbowała uciszyć głuchy niepokój, który coraz mocniej ją ogarniał. Postanowiła wrócić tą samą drogą.

Veridiana była dobrą obserwatorką, a w żydowskiej dzielnicy przy każdych drzwiach znajdowały się specyficzne otwory z mezuzą*, w których, jak sądziła, Żydzi trzymali zwoje z tekstem Tory**. Nie bardzo wiedziała, po co to robią, ale po drodze zauważyła kilka przyozdobionych w bardzo dziwny i oryginalny

* Mezuz - wprawione we framugi drzwi żydowskich domów pudełeczka z fragmentami Tory (*przyp. red.*)

** Tora - w Biblii hebrajskiej Prawo, czyli Księgi Mojżeszowe (5 pierwszych ksiąg Starego Testamentu) - (*przyp. red.*)

sposób. Kierując się najbardziej charakterystycznymi, zdołała wrócić na plac Pozo. Ostatecznie przecież nie odeszła daleko od katedry.

- Boję się, ciociu - powiedziała Clara z buzią usmarowaną jeszcze resztkami marcepana i przenikliwością typową dla dzieci, które czują, że coś jest nie tak.

- Nic się nie martw, słoneczko - spróbowała pocieszyć ją Veridiana.

Jednak ją samą też zdjął lęk, a serce kołatało tak mocno, jakby lada moment miało wyskoczyć jej z piersi.

Kiedy skręciły za róg, wiedziała już, że coś im grozi.

Wpadła na wysokiego silnego mężczyznę. Był ubrany nieco inaczej niż toledańczycy. Miał na sobie krótszą i bardziej obcisłą niż miejscowi, jaskrawo-czerwoną koszulę. Pomyślała, że musi być cudzoziemcem.

Napotkała zimne spojrzenie tego człowieka i zrozumiała, że jego zamiary są równie podle jak u gada. Do warg przyklepiony miał krzywy uśmiezek, który nie mógł jednak przesłonić okrucieństwa bijącego z tej twarzy. Veridiana poczuła, że jest w niebezpieczeństwie, tak samo jak w dniu, w którym zamordowano w Tuluzie Hortensję. Cudzoziemiec pachniał śmiercią. Krzyknęła. Z całych sił. Clara niczym plaster przyłgnęła do spódnicy ciotki i zapiszczała przerażona.

Morderca wyciągnął sztylet. Ruch był tak szybki, że Veridiana ledwo dostrzegła, co trzyma w ręku. Jednym pchnięciem mężczyzna oddzielił ją od dziew-

czynki. W tym momencie zrozumiała, że sztylet nie mierzy w nią, lecz w Clare.

- Niecee! - krzyknęła Veridiana.

Pojęła, że napastnik nie jest przypadkowym bandytą. Ze przybył z daleka, by je zamordować. Ze najpierw chce zabić dziewczynkę. Ze śmierć, której umknęła dwukrotnie, przychodzi w końcu wyrównać rachunki.

Veridiana spróbowała złapać mężczyznę za ramię. Było twarde niczym z żelaza.

I wtedy dotarło do niej, dlaczego bandyta chciał zabić dziewczynkę. Jej własne dziecko miałoby teraz tyle lat ile Clara. Dziecko, które byłoby prawowitym spadkobiercą. Pierwszym na liście niewygodnych. Ona sama była tylko wdową.

- To nie jest moja córka! - zawyła nieludzkim głosem. - To bratanica!

Mężczyzna w żaden sposób nie dał jej poznać, że zrozumiał. Jak gdyby w ogóle nie słyszał jej krzyku. Veridiana wczepiła się w jego rękę z całych sił.

- *Celle n'est pas ma fille, c'est ma nièce!!!* - powtórzyła tym razem po francusku; jej krzyk przeszedł niemal w wycie.

Morderca zamrugał. Veridianie wydawało się, że tym razem usłyszał. Jednak sztylet dalej mierzył w serce dziewczynki.

Kobieta poczuła, że jej siły są na wyczerpaniu i że nie zdoła go dłużej powstrzymać. Nie miała czasu myśleć. Jedynym, co przyszło jej do głowy, było ugryzienie go. Zrobiła to z całą świadomością. Nie

rozluźniła szczęk, póki nie poczuła ciepłej krwi płynącej po skórze. Mężczyzna wypuścił dziewczynkę. Veridiana krzyknęła:

- Uciekaj, Claro! Uciekaj! Do domu!

Jej bratanica miała oczy pełne łez, rozszerzone ze strachu. Zwinęła się w kłębek na ziemi, sparaliżowana paniką.

Veridiana postarała się nadać swojemu głosowi ten sam ton, którego używała, by skarcić dziewczynkę.

- Do domu! Claro, do domu - rozkazała. - Natychmiast!

Dziewczynka spojrzała na ciotkę, a stanowczość, którą ujrzała na jej twarzy, sprawiła, że zareagowała. Ruszyła biegiem.

Veridiana nie miała czasu, by zobaczyć, jak wybiegła z zaułka, ale usłyszała odgłos jej oddalających się kroków.

Wtedy spojrzała w oczy mordercy, które zasnuł jeszcze głębszy mrok, i wydała rozpaczliwy okrzyk.

- Ratunku!

O niezwykłych wydarzeniach w zaułku dzielnicy żydowskiej

Enrique czuł się dziwnie. Przez cały poranek był niespokojny i nie mógł się skupić na prowadzeniu lekcji. Póki nie wrócił do domu, nie zdawał sobie sprawy, że ma przyspieszony puls. Trzęsły mu się ręce i miał wrażenie, że jeżeli podda się tym odczuciom, za chwilę zemdleje jak jakaś panienska. Musiał usiąść na stołku, by zebrać siły.

Jak zwykle próbował racjonalnie wyjaśnić swój stan i zastanawiał się, czy nie zjadł czegoś podejrzanego, czegoś co mogłoby mu zaszkodzić. Wtedy zauważył, że wręcz przeciwnie: słabość mogła brać się stąd, że niemal niczego nie wziął do ust. Wyciągnął więc bochen chleba, ukroił wielką pajdę i zaczął powoli jeść. Bardzo powoli. Starał się skupić wyłącznie na gryzieniu i przeżuwananiu. Był tym absolutnie pochłonięty, kiedy dobiegł go krzyk z ulicy:

- Ratunku!

Wrzask dotarł aż do jego kwatery i niemal wbił się w mózg Enrique, jak gdyby ktoś uderzył go młotkiem. Kawałek chleba, który jadł, wypadł mu z ręki na podłogę, a on przez chwilę siedział zdezorientowany, nie wiedząc, co począć.

- Ratunku! - usłyszał znowu.

Wychylił się przez okienko, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Ulica, nad którą znajdował się jego pokój, pozwalała zobaczyć wlot do wąskiego zaułka, z którego wybiegła mała dziewczynka, by po chwili zniknąć w labiryncie uliczek dzielnicy żydowskiej.

Potem raz jeszcze usłyszał krzyk. Tym razem mógł już rozpoznać, że woła kobieta.

Enrique de Rascón y Cornejo przez chwilę wahał się, czy powinien zejść na ulicę, ale zajęłoby mu to zbyt wiele czasu. Dlatego też pozostał przy oknie wiedziony ciekawością. Zaniepokojony wbił palce w futrynę.

Nowy krzyk odbił się echem w uliczce.

Usłyszał kroki na dole. Ktoś nadchodził z pomocą. Zdołał rozróżnić jedynie dwie niewyraźne postacie. Jedna jasna, w białym habicie. Druga bura, do tego stopnia, że zlewała się z piaskiem ulicy. Nie tyle zobaczył, co poczuł błysk broni, którą mieli przy sobie. Spróbował wychylić się bardziej, ale okienko było tak małe, że ledwo mógł wystawić przez nie głowę.

Dwaj mężczyźni przemknęli niczym zjawy, po czym zniknęli w zaułku. Chwilę później usłyszał zduszone okrzyki, uderzenia, dyszenie.

Enrique stał w okienku jak przymurowany. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech.

Z zaułka wyszedł tyłem mężczyzna. Był wysoki i potężny. Zwalisty niczym tur. Wyglądał na rannego, szedł wolno, krok za krokiem, nie spuszczać oczu z czegoś, co miał przed sobą. W rękę trzymał sztylet. Słaniał się. Jego tunika przesiąknięta była krwią, czerwona strużka ciekła mu z nosa i plamiła gors koszuli.

Naprzeciw pokazały się owe cienie, które przybyły na wołanie. Byli to dwaj mężczyźni, również wysocy, ale nie tak postawni jak ten pierwszy, wycofujący się z zaułka. Jeden z nich wyglądał na młodszego, miał jasne włosy i biały habit. Również trzymał sztylet. Dzierżył go ze swobodą kogoś, kto wychował się z bronią w rękę. Drugi, w ciemnym stroju, był starszy. Nawet nie wyjął miecza. Wyciągał tylko przed siebie puste ręce i wymierzył je w rannego.

Nagle ten, który się cofał, rzucił się do ataku. Ubrany na brązowo mężczyzna machnął ręką, jakby chciał pchnąć powietrze, i wtedy ranny upadł na ziemię obalony jakąś niewidoczną siłą.

Enrique pomyślał, że coś mu umknęło. Może mrugnął akurat w chwili, gdy zaatakowali. Nie zobaczył nic ponad ten delikatny ruch dłoni.

Zwalisty typ ze sztyletem podniósł się z trudem i rzucił desperacko na starszego mężczyznę. Ten powtórzył swój gest i napastnik odrzucony niewidzialną siłą grzmotnął o ścianę.

Enrique, choć tylko obserwował scenę z dala, poczuł niemal namacalnie moc tego ciosu. Powietrze

uderzyło z impetem wichury i uniosło mężczyznę na kilka metrów, a potem cisnęło go o mur. Zobaczy to z całą jasnością. Nic potrafił jednak pojąć, co właściwie zaszło. Enrique de Rascón y Cornejo dale, wpatrywał się w scenę jak zahipnotyzowany.

Mężczyzna ze sztyletem padł na ziemię niczym kukła. Miecz wygiął mu się nienaturalnie.

Tamci dwaj porozumieli się wzrokiem i błyskawicznie zniknęli w zaułku.

Enrique usłyszał ich ciche głosy, a po chwil, pojawili się znowu z ciałem kobiety. Nieśli ją z trudem. Mężczyzna w białym habicie złapał ją za kostki, a drugi uchwycił pod pachami. Kobiecie rozsypał się kok- kaskada blond włosów kołysała się . ciągnęła za nią po ziemi. Krew kapiała z jej głowy, zostawiając ciemne, gęste ślady na piachu.

Enrique omal nie stanęło serce. Bowiem nagle rozpoznał tę kobietę. To była kobieta z placu - Veridiana! - krzyknął, nim zdążył pomyśleć. Niosący ją mężczyźni spojrzeli w górę. Enrique przez chwilę poczuł na sobie wzrok człowieka w białym habicie. Pędem ruszył do drzwi.

Zbiegł po schodach, przeskakując po kilka stopni. Pokonał puste patio, wypadł na ulicę, błyskawicznie przebiegł kilka metrów dzielące go od zaułka, który obserwował przez okno, i gdy tam dotarł... natknął się jedynie na leżącego bezwładnie mężczyznę ze sztyletem.

Enrique rozejrzał się na wszystkie strony, szukając Vendiany i mężczyzn, którzy ją nieśli. Natężył słuch,

by usłyszeć ich kroki, dodatkowo obciążone przez niesione ciało. Ale nie usłyszał niczego.

Poszukał na ziemi śladów krwi.

Znalazł parę plam, które poprowadziły go przez kilka ulic, w końcu jednak znikły.

Nagle znalazł się sam i kiedy pomyślał o tym, czego przed chwilą był świadkiem, poczuł, że narasta w nim głuchy strach. Bowiem zobaczył coś, co nie miało prawa się zdarzyć: akt czarnej magii, cud, mężczyznę walczącego za pomocą powietrza, które poruszał rękoma.

Młodzieniec przełknął ślinę, próbując się uspokoić. Przypomniawszy sobie szczegóły zdarzenia i zaczął drżeć. A przecież nie było ani trochę zimno.

Alfonso Barroso przyjął go o zmierzchu, gdy światło spowijało Toledo w pomarańcze i fiolety. Enrique niecierpliwie czekał, aż dominikanin zaprosi go do swego gabinetu, i z trudem powstrzymywał się od obgryzania paznokci.

- Zaszło coś ważnego - wyrzucił z siebie, nie tracąc czasu na pozdrowienia.

Właśnie zapalono lampę i zapach oliwy wypełnił pomieszczenie, mieszając się z resztkami światła dziennego.

- Siadaj, synu - powiedział Alfonso, przeczuwając, że coś musiało wielce wzburzyć młodzieńca, który dotychczas zawsze był wyjątkowo rozsądny i opanowany.

Enrique spoczął na prostej ławce i pospiesznie, nie omijając żadnego szczegółu, zaczął opowiadać, co zobaczył rano z okienka swojego pokoju.

Alfonso Barroso nie przerywał mu. Pozwolił, by młodzieniec ulżył sobie, i dopiero, gdy skończył mówić i nieco się uspokoił, zapytał go łagodnie.

- Jeden mężczyzna powalił drugiego, wzniecając wiatr?

Enrique przytaknął.

- Raczej „pchnął” powietrze na niego. - I rękami powtórzył gest, który zaobserwował u tamtego.

- Jesteś pewien, że to widziałeś? - pierwszy raz Barroso zwrócił się do Enrique tak chłodno.

Młodzieniec westchnął.

- Jestem.

Alfonso Barroso wbił w niego swoje lodowate spojrzenie.

- Enrique, nie raz już dawałeś dowody zdrowego rozsądku i twierdziłeś, że przy wyjaśnianiu każdego dziwnego czy tajemniczego zjawiska będziesz się kierował logiką. Jak zatem wyjaśnisz to, co mi tu opowiadasz?

Młodzieniec przez chwilę zatrzymał wzrok na wykonanych z kości słoniowej zdobieniach stołu, który dzielił go od inkwizytora.

- Nie mam żadnego sensownego wyjaśnienia - Enrique, bynajmniej niespeszony, wytrzymał spojrzenie dominikanina.
- To czarna magia.

Teraz, gdy wreszcie powiedział to na głos, poczuł się spokojniejszy. Było tylko jedno wyjaśnienie tego, co zobaczył.

- To bez wątpienia prawdziwa czarna magia. Alfonso Barroso powstrzymał gest zniecierpliwienia, lecz kiedy usłyszał słowa „czarna magia”, rozluźnił się na chwilę i opadł na krzesło.

- Czarna magia? - Jego wzrok błędził po starych murach. - *Defende nos in praelio contra nequitiam et insidias diaboli esto praesidium**. To jak raz sprawa dla nas inkwizytorów, drogi Enrique de Rascón y Cornejo...

Rozległ się dźwięk klasztornych dzwonów, co na moment odwróciło uwagę Alfonsa. Stado jerzyków przefrunęło za oknem.

Gdy Barroso podjął na nowo rozmowę, zajął się zupełnie innymi sprawami.

- Wysłałem twój raport do biskupa Tarragony, Jego Ekscelencji don Juana de Aragon. Zapoznał się już z zebranymi przez ciebie informacjami. Wie, że majster Vicente nie zniknął, tylko z własnej woli wraz z rodziną odszedł w niewiadomym kierunku. Podobnie jak czterej mudeharscy murarze Carlos de León, Beltrán de Toledo, Fernando Al-Bab-Usuf i Recaredo López. - Inkwizytor uśmiechnął się, choć najwyraźniej grymas ten nie przychodził mu łatwo. - Pozwoliłem sobie dorzucić w tym piśmie kilka moich własnych hipotez. Być może ktoś zatrudnił ich przy innej budowie. Przy jakiejś dużej budowie, o której jednak nic nie

Z lac. - Chroń nas w walce z nikczemnością i bądź tarczą przeciw zasadzkom diabła (*przyp. red.*)

wiadomo ani mnie, ani samemu arcybiskupowi Toledo, któremu też przekazałem twój raport, synu.

Słyszając, że Alfonso Barroso znów nazywa go synem, Enrique nieco się rozluźnił.

- I obu im, słuchaj uważnie, obu podkreśliłem, że to ty sporzystałeś raport, podkreśliłem też twoją przenikliwość i sprawność podczas poszukiwań.

- Dziękuję.

Uczucie znane ludziom od wieków, przepełniło serce młodzieńca. Arcybiskup Toledo usłyszał o nim! Najbardziej wpływowa osoba w Kastylii, równie ważna, a może nawet ważniejsza niż sam król, czytała jego raport!

Alfonso Barroso uśmiechnął się znowu, choć pionowa zmarszczka na jego czole jak zwykle była na swoim miejscu.

- Obaj wiedzą już, że nie było żadnych zniknięć. Choć oczywiście faktyczny powód wyjazdu murarzy nie jest jeszcze wyjaśniony. Wiedzą też, że jak się wydaje, Żydzi nie mieli ze sprawą nic wspólnego...

Enrique przełknął ślinę, nim ośmielił się zauważyć:

- Jedyne związki z Żydami jest taki, że... to, co zobaczyłem, wydarzyło się w dzielnicy żydowskiej, akurat pod oknem majstra Vicentego.

- Tak - potwierdził dominikanin.

W ciszy, która teraz zapadła, było niemal słychać, jak kołacze serce Enrique.

- Mężczyzna, którego widziałeś, ten w białym habicie... - zapytał nagle Alfonso Barroso - czy to mógł być dominikanin?

Enrique zastanowił się przez chwilę, nim odpowiedział.

- Nie. Na pewno nie. - Przerwał na chwilę. - Zresztą akurat on, on nie... To ten drugi czarował. Ten w habicie miał w ręku sztylet i nie zrobił nic nadprzyrodzonego.

- Rozumiem - powtórzył Alfonso Barroso. - A kobieta?

Enrique spojrział w oczy dominikaninowi. Miał wystarczająco dużo czasu, by się nad tym zastanowić. Podpatrzona scena wywarła na nim zbyt duże wrażenie, by chciał nadal utrzymać tę znajomość w tajemnicy. Ponadto zwyczajnie martwił się o Veridianę. Ta kobieta o klasycznej urodzie i arystokratycznych manierach, którą miał okazję trzymać w ramionach, straciła dużo krwi i niewątpliwie otrzymała poważny cios w głowę.

- Nazywa się Veridiana de Sanabria. Zdaje się, że jest krewną kupca bławatnego* - starał się nadać swojemu głosowi pewny i naturalny ton, jak gdyby mówił o zupełnie mu obojętnej osobie.

- Sanabria?... Nie znam.

- Mieszka niedaleko kościoła San Román. Alfonso Barroso spojrział w okno i zapatrzył się

w błękitne niebo, na którym pojawiły się już pierwsze gwiazdy.

- To sprawa dla Inkwizycji Rzymskiej, synu - zatarł ręce. - Ale dobrze by było, gdybyś ty wykazał się

* Kupiec handlujący tkaninami, głównie jedwabnymi
(*przyp. red.*)

- zaakcentował wyraźnie słowo „ty” - tą samą skutecznością, co w przypadku majstra Vicentego. Chcę, żebyś wyjaśnił, co zaszło w zaułku, kto się dopuścił tego nadprzyrodzonego aktu i co właściwie zrobił. Chcę wiedzieć, co się stało z tą kobietą. I... w tym wypadku nie musisz być aż tak ostrożny i dyskretny; teraz pracujesz dla Świętej Inkwizycji

- zakończył.

- Rozumiem. Poświęcę się zupełnie tej sprawie.

- Znajdź tego czarownika, człowieka w białym habicie i kobietę. Dowiemy się, jakich czarów użyli, by zabić tamtego opryszka.

Enrique poczuł się w obowiązku wyjaśnić mu jeszcze raz:

- Zabił go ten, który nie nosił habitu... Ani kobieta, ani mnich nie mieli z tym nic wspólnego. Jeśli pozwolisz, panie, wyrazić mi moją opinię, to sądzę, że kobieta została napadnięta, a oni przyszli jej z pomocą.

- Nie interesuje nas, czy jej pomogli, czy nie. Interesuje nas magia, którą odprawili. Cała reszta jest drugorzędna.

- Tak - zgodził się młodzieniec.

- Drogi Szatana są niekiedy równie pokrętne, co jego niegodziwość - dodał Alfonso Barroso. - I pamiętaj, Enrique de Rascón y Cornejo, teraz pracujesz dla Świętej Inkwizycji.

- Na pewno o tym nie zapomnę.

O rekonwalescencji Veridiany
w domu Żydów Jacoba i Esthery
i o poszukiwaniach prowadzonych
przez Enrique de Rascona y Cornejo

Słowa przenikały do jej świadomości niczym wąż, który wślizguje się do domu przez szparę pod drzwiami.

- Umrze? - zachrypiał jakiś głos, który słyszała bardzo niewyraźnie.

- Nie można tego wykluczyć. To głęboka rana. Bardzo długo była nieprzytomna... - splątane dźwięki wreszcie powoli zaczęły nabierać znaczenia.

Veridiana wiedziała, że mówią o niej. Chciała wstać i wyjaśnić im, że wcale nie zamierza umierać. Ze bardzo się mylą, jeśli sądzą, że śmierć dosięgła ją tym razem... Ale nie mogła się ruszyć. Spróbowała otworzyć oczy. Jednak wokół panowała ciemność.

Ogarnęła ją panika.

- Będzie potrzebowała świeżego powietrza, wolnej przestrzeni...

Usiłowała się uspokoić; zmysły jej się wyostrzyły. W jej mrocznym świecie pachniało zamknięciem i wilgocią. Mogła tylko chłonąć zapachy miejsca, w którym się znajdowała i słuchać tego, co mówili ludzie znajdujący się tu razem z nią. Głosy należały do dwóch mężczyzn.

- Nie możemy tak ryzykować.

- To prawda...

A potem dźwięki zatarły się, a wraz z nimi świadomość Veridiany.

Już jako mała dziewczynka nauczyła się haftować, szyć i cerować. Jej kuzynki nie cierpiały siedzieć godzinami z igłą w ręku wśród tkanin, płócien, nitek, kądzieli, wełny, jedwabiu i przędzy. Ona to uwielbiała. Szycie zawsze ją uspokajało. Gdy była zdenerwowana, rozgniewana lub nie wiedziała jak poradzić sobie z jakimś kłopotem, szyła i modliła się.

Teraz, w swoim królestwie mroku, zaczęła wyobrażać sobie ogromny gobelin, na którym haftowała ze wszystkimi szczegółami kształty i postacie, jakie tylko przyszły jej do głowy: białego jednorożca, flagi i herby, konie, rycerzy, mnicha w białym habicie wymachującego mieczem, który przyozdobiła szafirami i rubinami, damy we wspaniałych sukniach o fantastycznych kolorach.

Czasem nie wiadomo skąd przylatywały do niej kordonki. Chwytała je w locie i w zależności od koloru haftowała rozmaite wzory. Innym razem

dochodziła do wniosku, że lepiej nadawałyby się do tkania niż haftowania. Wyobrażała sobie wtedy, że tka nową osnowę, którą potem przyłączała do arrasu. Ten stawał się on coraz większy, a Veridiana niestrudzenie dodawała nowe detale. Niekiedy dochodziła do wniosku, że musi coś zmienić w części, którą wcześniej uważała za skończoną, wtedy w wyobraźni uciniała jakiś fragment i przyszywała nową, idealnie zacerowaną tkaninę.

Cerowanie, myśl o drobnych, precyzyjnych wklucjach igły, które łączą różne fragmenty materiału, kończyła ją w szczególny sposób.

W świecie ciemności, gdzieś poza czasem, haftowała i cerowała, a kiedy znużenie nadszarpywało jej siły, spała snem ciężkim i dziwnym.

- Bardzo dobrze... Jedz... Pięknie... - kobiecy głos zwracał się do niej jak do dziecka.

Karmili ją czymś w rodzaju słodkiego pure. Resztki, które wypadały jej przez niedomknięte wargi, łaskotały ją w brodę.

Uśmiechnęła się.

- Lepiej z nią? - zapytał niski męski głos.

Ktoś chyba mu odpowiedział, ale Veridiana nie zdołała tego zrozumieć.

Potem poczuła dotyk czyjeś dłoni na czole i miała wrażenie, że promieniuje z niej ciepło rozchodzące się po całym jej ciele. Ogarnęła ją absolutna błogość i na nowo zapadła w sen.

- Veridiana de Sanabria zniknęła. Nikt jej więcej nie zobaczył. Teraz rzeczywiście mówimy o prawdziwym zniknięciu...

Enrique de Rascón y Cornejo umówił się z Alfonsem Barroso na placu Pozo, nieopodal miejsca, gdzie wszystko się wydarzyło.

Zrobili sobie spacer dzielnicą żydowską, podczas którego Enrique informował go o postępach swojego śledztwa.

- Ciało, które znaleziono w zaułku, należało do cudzoziemca, który mieszkał w Gospodzie de la Fuente. Prawdopodobnie Francuz.

Dominikanin szedł małymi kroczkami, nieco pochylony do przodu, jak gdyby opierał się niewidzialnemu wiatrowi. Enrique u jego boku usiłował powściągnąć swój energiczny i pełen wigoru chód, by iść w tym samym tempie co Barroso.

- Dziewczynka, którą widziałem wybiegającą z zaułka, ma na imię Clara. To bratanica zaginionej. Znaleziono ją zapłakaną niedaleko stąd i zaprowadzono do domu, gdzie opowiedziała jak „jeden pan chciał je zabić i pobić”.

- Znasz dużo szczegółów, synu. Widzę, że rzetelnie się rozpytałeś.

- Z pierwszej ręki - Enrique westchnął i wyznał dominikaninowi: - Byłem u Sanabriów.

Nie powiedział jednak, że już go tam znano i że kiedy zainteresował się losami kobiety, przyjęto go niemal jak starego przyjaciela rodziny. Sąsiadka Maria Isabel przekazała mu nieliczne informacje, które

posiadali, a on obiecał, że zrobi, co w jego mocy, by odnaleźć Veridianę.

- Ona przez wiele lat mieszkała we Francji. Była... jest... - Enrique nie wiedział, jakiego słowa użyć

- wdową po wielkim panu. Tak w każdym razie mi powiedziano... - ciągnął chłodno, powtarzając to, o czym już napisał w raporcie. - Być może uciekła stąd, bo obawiała się o swoje życie. Jej bratowa Maria, która też słyszała, że napastnik był Francuzem, podejrzewa, że ten typ przyjechał aż stamtąd, żeby ją zabić...

- A ty jak myślisz?

Młodzieniec poszukał wzrokiem oczu swojego rozmówcy.

- Myślę, że rodzina ma rację. Ze to był płatny morderca, który działał na czyjeś zlecenie. I że tamci dwaj mu przeszkadzili.

- Mnich i czarownik. Enrique w milczeniu skinął głową.

Nie powiedział dominikaninowi, że rodzina nie wiedziała, co Veridiana robiła w żydowskiej dzielnicy. Poszła odebrać zamówienie od rzemieślnika, który bynajmniej nie mieszkał w pobliżu miejsca, gdzie ją napadnięto.

Wreszcie dotarli do zaułka, który był scenerią wydarzeń.

- To tu? - Alfonso Barroso węszył niczym pies gończy.

- Mężczyźni nadeszli stamtąd... - pokazał Enrique.

- A potem, kiedy zobaczyłem, jak wychodzą, ten,

który zrobił sztuczkę z powietrzem, stał tutaj - wskazał ręką.
- Zrobił tak - młodzieniec powtórzył gest tamtego - a morderca poleciał aż na tamtą ścianę.

Barroso spojrział na niewiarygodną odległość, jaką pokazał mu Enrique.

- Jesteś pewien, że to widziałeś, synu?

- Tak.

Choć z upływem czasu wspomnienie nieco się zatarło i nie było już tak szczegółowe jak pierwotnie, jego pamięć kurczowo trzymała się kilku elementów, które wywarły na nim największe wrażenie.

- On prawie wystrzelił w powietrze. Aż na tę wysokość - znów pokazał ręką.

Enrique spojrział na ziemię, myśląc o śladach krwi, które zostawiła Veridiana. Nowe odpadki wyrzucane przez mieszkańców i odchody zwierząt pokrywały piasek i nie pozostał najmniejszy ślad tego, co tu się rozegrało.

- Rozważam kilka hipotez - ciągnął dalej młodzieniec. - Może przechodzili tędy przypadkiem i nadeszli zwabieni wołaniem o pomoc. Albo byli w którymś z tych domów i wyszli.

- W tym drugim wypadku mogą tu być nadal...

- Właśnie, może mieszkają albo zatrzymali się gdzieś w pobliżu, u Żydów. W takim razie czarownik mógłby być Żydem... Jestem pewien, że nie opuścili miasta. Nikt nie widział, by wychodzili przez którąś z bram. Wypytałem strażników - Enrique uśmiechnął się. - Znają mnie już wszyscy i z całą pewnością żaden ich nie widział.

Młodzieniec odwrócił się i pokazał okienko swojej kwatery.

- Tu mieszkał majster Vicente; teraz ja wynajmuję po nim pokój. Obserwowałem wszystko z tamtego okienka. Jeśli mieszkają w pobliżu, na pewno ich znajdę.

Nie powiedział dominikaninowi, że zamierza przetrząsnąć każdy centymetr tej dzielnicy, przeszukać każdy zaułek, podpatrywać życie ubogich Żydów i że nie spocznie, póki ich nie znajdzie, bo wciąż miał skrytą nadzieję, że Veridiana jest w pobliżu; pokiereszowana, ale żywa.

Toledo było dużym miastem, ale z czasem twarze przechodniów stawały się znajome, a wreszcie wszyscy się znali.

Jeśli tylko są w dzielnicy, znajdzie ich.

- Na imię mi Esther.

Była to pulchna dziewczyna o okrągłej twarzy i łagodnym spojrzeniu. Miała brązowe oczy i włosy.

Veridiana rozpoznała jej głos i zrozumiała, że to ona ją pielęgnowała.

- Jak się czujesz, pani? - zapytała dziewczyna. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nigdy jeszcze nie

czuła się tak słaba. Nawet wtedy, gdy straciła dziecko, a wraz z nim tyle krwi, że można by napełnić pół miednicy.

- Chyba... - zaskoczył ją własny głos, schrypnięty i niski jak u mężczyzny - już mi lepiej.

Esther uśmiechnęła się.

Nagle przypomniało się jej wszystko, co zaszło w zaułku.

- Clara! Dziewczynka, która była ze mną...

- Nic jej się nie stało. Jest w domu - odpowiedziała bardzo wolno kobieta. - Bez obaw.

Veridiana odetchnęła nieco uspokojona. Przebiegła w pamięci ostatnie wydarzenia i zdała sobie sprawę, że niektóre szczegóły jej się zatarły. Ostatnie, co pamiętała, to morderca, który uderzył ją w głowę.

Podniosła rękę do rany i z zaskoczeniem odkryła zamiast bujnych splotów krótką szczecinę, która ukłuła ją w opuszki. Blizna ciągnęła się od czoła do ucha. Kiedy jej dotknęła, ból niczym ośmiornica wyciągnął swoje macki aż do ramion.

Nawet nie wiedziała, kiedy dwie ciche łzy spłynęły jej po policzkach.

- Musieliśmy ściąć ci włosy, pani - Esther podeszła do niej i pogłaskała ją po ogolonym miejscu. - Odrosną. Najważniejsze, żebyś pani wyzdrowiała.

Uśmiechnęła się i w jej policzkach pokazały się wdzięczne dołeczki.

Veridiana spróbowała usiąść i przez chwilę wydawało jej się, że znów straci przytomność.

Jeszcze raz dotknęła głowy. Zawsze miała długie włosy. Dziwnie się czuła z tą szczecina, tak krótką jak u niektórych mężczyzn i chłopców.

Rozejrzała się wokół po ciemnym pokoju, w którym nie było nic prócz siennika, na którym leżała, świecznika na skrzyni oraz dzbana i miski z wodą w kącie.

- Gdzie jestem?

- W domu Jacoba, mojego ojca. W bezpiecznym miejscu. Znaleźliśmy cię ranną na ulicy...

- Uratowaliście mi życie. Dziękuję, bardzo dziękuję.

- Nie dziękuj pani, nie zasłużyłam na to. Wyszła z pokoju i przez chwilę Veridiana słyszała

ściszone głosy. Potem dziewczyna wróciła, a za nią mężczyzna w średnim wieku, ten sam, którego widziała niegdyś z Victorem na placu przed katedrą. Jak on się nazywał?... Bernardo!

Podszedł do niej i bez słowa położył dłoń na bliźnie. Zalała ją fala miłego ciepła; teraz wiedziała, że to ta sama uzdrowicielska ręka, którą pamiętała ze swojej maligny.

- Jesteś cyrulikiem, panie? - zapytała, obserwując jednocześnie prosty medalion, który wisiał na jego piersi; wygrawerowany na nim rysunek przypominał spiralę.

- Tak jakby - Bernardo uśmiechnął się, a na jego wargach pojawił się ironiczny grymas. Ucisnął ranę. - Boli? - zapytał.

- Tak - Veridiana zamknęła oczy, więc nie mogła zobaczyć, że on zrobił to samo.

Nagle rana zaczęła piec. Miała wrażenie, że wystrzeliły z niej języki ognia, które szybko dosięgły mózgu, i kiedy już myślała, że nie wytrzyma tego bólu ani chwili dłużej, gorąco zmieniło się w falujące mrowienie, które napełniło ją siłą i energią.

Zaskoczona otworzyła oczy i zobaczyła, że do pokoju wszedł ktoś jeszcze. W progu, obok Esther,

stał Victor. Nadal miał na sobie biały habit, w którym widziała go wtedy przed katedrą. Habit Świętej Cekliny. Veridiana poczuła, że nagle się czerwieni.

Próbowała ukryć zmieszanie, nie zdając sobie sprawy z wyrazu zrozumienia, który odmalował się na twarzy Bernarda, kiedy zdjął rękę z jej czoła. Odczekał kilka chwil i powtórnie położył dłoń na bliźnie, a ona znów poczuła falę niesamowitej błogości. Ten człowiek leczył ją samym dotykiem!

- Jak... jak to zrobiłeś? - zaczęła dopytywać Veridiana.

- Cii... Odpocznij, pani, bo bardzo tego potrzebujesz - Bernardo odwrócił się i spojrzał porozumiewawczo na Victora. Tamten zniknął w ciemnościach.

- Co mi zrobiłeś, panie? - nie poddawała się i wbiła wzrok w Bernarda. - Poczułam... Tu w środku... W głowie...

- Ciii...

Victor wrócił do pokoju. Przyniósł drewnianą klatkę, którą podał Bernardowi. Ten postawił ją przed Veridianą.

Zdumiała się na widok robaka, który znajdował się wewnątrz. Nigdy nie widziała czegoś podobnego. Jego długa niemal na palec, bardzo delikatna, różowo-żółta sierść falowała delikatnie podczas zygzakowatych ruchów zwierzęcia. Veridiana wzruszyła ramionami; nie wiedziała, czego po niej oczekują.

- Co widzisz, pani?

Nic nie rozumiała. Co powinna zobaczyć?

- Kolorowego robaka... Bernardo wybuchnął śmiechem.

- A nie mówiłem! - zwrócił się do Victora, oddając mu klatkę. - A nie mówiłem! - ponownie skupił się na zdezorientowanej Veridiane, która przez chwilę myślała, że człowiek, który uratował jej życie, teraz dla odmiany oszalał. - Jak się, pani, nazywasz?

- Veridiana, Veridiana de Sanabria. A ty, panie? Komu zawdzięczam życie?

- Nazywam się Bernardo, ale za uratowanie życia możesz być pani wdzięczna wyłącznie samej sobie. Powiedz mi, co pamiętasz z napadu, Veridiano?

Wyczuła pełne napięcia oczekiwanie obecnych, ale nie rozumiała jego prawdziwych przyczyn.

- Jakiś człowiek szedł za nami... Morderca - oddychała coraz ciężiej, w miarę jak przypominała sobie szczegóły, i znów ogarnęła ją ta sama panika, co wówczas. - Zaatakował mnie... Nie! Najpierw zaatakował Claritę! Ale udało mi się go powstrzymać i mała uciekła... - Veridiana coraz szybciej wyrzucała z siebie kolejne zdania. - Wtedy ruszył na mnie. Uderzył mnie w głowę, a potem wy nadeszliście i mnie uratowaliście... Dzięki Bogu w niebiesiech!

Bernardo patrzył na nią z tym samym nieco ironicznym grymasem, który już wcześniej u niego dostrzegła.

- To nie my cię uratowaliśmy, Veridiano. Powtórzył to po raz drugi i teraz nie umknęło to jej uwadze.

- To ty, panie, mnie uratowałaś. I on... Victor

- spojrzała na mnicha, który w drzwiach przysłuchiwał się rozmowie. - Pokonaliście mordercę.

Bernardo zauważył, że znała imię jego przyjaciela, mimo że nikt go jej nie przedstawiał.

- Kiedy nadeszliśmy, morderca już był ranny

- wyjaśnił powoli i dobitnie, by dobrze go zrozumiała.

- Gdy cię, pani, znaleźliśmy, morderca krwawił z nosa. Był ciężko ranny... - Veridiana po raz pierwszy usłyszała głos Victora i wydał jej się głębszy niż głos Bernarda.

- Ja... Ja... Nic mu nie zrobiłam. Broniałam się, jak umiałam...

- Veridiana starała się przypomnieć sobie szczegóły. - Pamiętam, że ugryzłam go w rękę... - To wspomnienie było całkiem wyraźne. - Być może go uderzyłam... - powiedziała, choć była przekonana, że nic takiego nie zaszło. - Sama już nie wiem.

- To zrozumiałe. Pozwólcie jej odpocząć - wtrąciła się Esther.

Bernardo wciąż się uśmiechał.

- Odpocznij, pani. Potrzebujesz tego. Czeka cię długa podróż.

Nie wiedziała, o jakiej podróży mówi, lecz była tak wyczerpana, że nie miało to dla niej znaczenia.

Enrique de Rascón y Cornejo znał już dzielnicę żydowską jak własną kieszeń. Przemierzył każdy zaułek i przejście tyle razy, że bez wątplenia mógłby

tamtędy chodzić z zamkniętymi oczami. Kiedy nie krążył po jej uliczkach, próbował powiązać luźne fakty dotyczące zabójcy i Veridiany. A nocą obserwował zaułek ze swojego okienka. Nie chciał przeoczyć tych dwóch mężczyzn, którzy zabrali ciężko ranną kobietę.

Przyzwyczał się też zachodzić często do domu Sanabriów. Przynosił wtedy jakiś upominek dla dzieci: kandyzowane owoce czy prażone migdały. Zawsze był serdecznie przyjmowany przez Marię, bratową Veridiany i jej sąsiadkę Isabel, która stale tam przesiadywała. Obie traktowały go jak pretendenta do ręki Veridiany, który zadrećza się jej losem. Dobrze się czuł w tej roli.

Informował je na bieżąco o wynikach swoich poszukiwań. Powiedział im na przykład, że morderca był w León, zanim przyjechał do Toledo, i tam właśnie trafił na ślad Veridiany.

W ten sposób, stopniowo, zdobył sobie zaufanie rodziny Sanabria, aż wreszcie zaczęto go przyjmować jak członka rodziny. Dzieci go uwielbiały, ponieważ bawił się z nimi w to, czego matka im zabraniała, a ponadto przynosił słodczyce; kobiety też cieszyły się towarzystwem miłego młodzieńca, który zabawiał je ciekawą rozmową i podsycał nadzieję, której tak bardzo potrzebowały.

- Co dzień modłę się za nią. Niech Bóg ma ją w opiece - powtarzała Maria.

A Enrique de Rascón y Cornejo zawsze odpowiadał to samo:

- Jestem pewien, że ona żyje. - I rzeczywiście był o tym głęboko przekonany. Nie wiedzieć skąd miał głębokie przeświadczenie, że Veridiana nie umarła, choć zapewne jest ranna i przetrzymywana w którymś z domów w dzielnicy żydowskiej. - Wiem, że żyje. Czuję to...

Któregoś wieczora Clara podeszła do nich i usłyszała, o czym mówią.

- Masz przeczucie? Czujesz, że ciocia żyje? Enrique uśmiechnął się do dziewczynki i potwierdził.

- To przeczucie? - upewniła się dziewczynka. Enrique spodobało się to słowo w ustach Clary i zaśmiał się.

- Tak, mam przeczucie.

- Ciocia Veridiana też miała przeczucia... Wiedziała, że chcą ją otruć, kiedy przynieśli jej tę zupę...

- Na Boga, Clarito! Nie opowiadaj panu tych historii!

- ...I nie zjadła tej zupy... - dziewczynka opowiadała dalej po swojemu tę historię, a jej matkę oblewał coraz ciemniejszy rumieniec.

Ale Enrique już nie słuchał Clarity ani wyjaśnień Marii, bowiem nagle zrozumiał, dlaczego ta kobieta, Veridiana, zapadła mu w serce, gdy tylko ją zobaczył na placu przed katedrą, kiedy to zemdląca mu prosto w ramiona.

Nagle poczuł pewność, że Veridiana jest taka jak on. Serce waliło mu jak szalone. Pojął, że wreszcie spotkał kobietę o bliźniaczej duszy, miewającą podob-

ne jak on przeczucia i intuicje. To dlatego Veridiana z taką łatwością wtargnęła w jego myśli. Po tylu latach los postawił przed nim bratnią duszę. I akurat teraz, kiedy ją odnalazł, musiała zniknąć!

Veridiana z każdym dniem coraz bardziej odzyskiwała siły. Polubiła swoją opiekunkę Esther, która pielęgnowała ją z wielką delikatnością i dobrocią. Musiała w tym czasie zmienić zupełnie swoje wyobrażenia o Żydach. Ten dom nie był siedliskiem lichwiarzy - a wcześniej tak właśnie myślała o wszystkich przedstawicielach tego narodu - tylko skromnym ogniskiem domowym pełnym książek i ludzi żądnych wiedzy.

Z pokoju, w którym leżała, słyszała rozmowy gości odwiedzających Jacoba; wiele z nich dotyczyło dziedzin, o których nie miała pojęcia.

Niemal co rano przychodził do niej Bernardo i kładł jej dłoń na czole, a ona czuła działanie jego uzdrawiającej mocy.

Victor i Jacob dużo rzadziej doglądali chorej. Jeżeli odwiedzali ją, to zawsze w towarzystwie Bernarda.

Veridiana przyzwyczała się do Victora, jego obecność nie wprawiała jej już w takie pomieszanie jak z początku. Przywykła do jego niskiego głosu, do szlachetnych rysów twarzy kojarzących się jej ze świętym Michałem, do jego dyskrecji. Zawsze stawał na uboczu, za Bernardem lub Esther, pozwalając, by to oni brali na siebie ciężar rozmowy.

Któregoś wieczora, gdy Esther i Victor byli w jej pokoju, odważyła się zapytać ich o coś, co nie dawało jej spokoju.

- Jest czarownikiem, prawda? - w jej głosie zabrzmiał pełen obawy szacunek.

- Kto? - zapytała jej opiekunka.

- No, Bernardo oczywiście...

Victor wymienił z Esther ukradkowe spojrzenie, które jednak nie umknęło Veridianie.

- Dlaczego tak sądzisz? - chciał wiedzieć Victor.

- Czuję, że jego dotyk mnie leczy... - Veridiana dotknęła ręką blizny, starając się przypomnieć sobie, co czuła, gdy Bernardo kładł tam swoją dłoń.

- Nie jest żadnym czarownikiem - oświadczył Victor.

- Ale...

- Może leczyć, ale nie jest czarownikiem. Nie ma w nim nic demonicznego - wtrąciła Esther. - To mędrzec.

- Ma dar od Boga.

Veridiana nie ośmieliła się im sprzeciwić ani zgłębiać bardziej tej kwestii. Ale wszystko to wydawało jej się bardzo podejrzan.

Victor dał Esther znak, by zostawiła ich samych, i dziewczyna posłusznie wyszła z pokoju.

Po raz pierwszy była sama z mnichem.

- On ma dar od Boga... - powtórzył - ale ty, pani, też..

- Nie rozumiem...

- Pamiętasz tego robaka z klatki?

Skinęła głową.

- Gdy ja patrzę na tę klatkę, niczego w jej wnętrzu nie widzę.

Veridiana pomyślała, że to jakiś żart.

- Nie widzę żadnego stworzenia w tej klatce - wyjaśniał dalej Victor. - Tylko wybrańcy Boży mogą go zobaczyć. Ja nie otrzymałem tego daru.

Veridiana nic nie rozumiała.

- Niektórzy ludzie mogą widzieć coś więcej niż... niż ten świat - ciągnął swoim niskim głosem. - Mogą zobaczyć stworzenia pochodzące z innego świata...

- Inny świat!!! Cóż to takiego? - wykrzyknęła Veridiana.

Aż do tej chwili czuła, że jest pod opieką ludzi dobrych i rozsądnych. Teraz zaczęła w to wątpić.

- Ten robak pochodzi z innego świata. Tylko Bernardo może go zobaczyć... I ty, pani - Victor wytrzymał spojrzenie Veridiany, a ona miała wrażenie, że tonie. - Ani Esther, ani Jacob, ani nawet ja sam nie jesteśmy w stanie go ujrzeć.

Młody mnich przerwał na chwilę, dając jej czas na ocenę wagi jego słów.

- A czy ty, pani, jesteś czarownicą?

- Oczywiście, że nie! - Veridiane oburzyła taka niedorzeczność

Victor pochylił i usiadł na skraju siennika. Nigdy wcześniej nie dał jej tylu oznak zażyłości.

- Gdybyś powiedziała mi pani kiedyś, że w tej pustej klatce jest robak, zapewne pomyślałbym, że jesteś czarownicą lub opętaną. Bo, zapewniam cię,

ja niczego tu nie widzę - świadomie podkreślił „niczego”.

W przejrzystych oczach Victora Veridiana dostrzegła szczerłość.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Nie zamierzam cię, pani, przekonywać - powiedział łagodnie. - Sama to kiedyś pojmiesz. Tak samo jak zrozumiesz, że Bernardo swoimi mocami uleczył cię z ran, a zwłaszcza - zamilkł na chwilę - że w obronie własnej zrobiłaś coś tamtemu mordercy. - Podniósł rękę, gestem tym nakazując milczenie Veridianie, która chciała zaprotestować. - Tak, wiem, że prawdopodobnie sama, pani, nie wiesz, jak tego dokonałaś, ale kiedy znalazłaś się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, potrafiłaś się obronić i niemal go zabiłaś.

- Ugryzłam go! - stwierdziła.

- Oczywiście... Ale to by nie wystarczyło, żeby jego ciało pękło w środku, Veridiano. A zapewniam cię, pani, że on, było pęknięte... choć wydaje się, że nikt go nie uderzył. Ale wcale nie dlatego sądzę, że masz, pani, nadzwyczajne moce.

Veridiana oniemiała.

- Widziałem niewiarygodne rzeczy, przed którymi opiera się rozsądek, a ty, Veridiano, nie tylko je zobaczysz, ale i uczynisz.

Przepęłnił ją głuchy niepokój.

- Ale nie pora teraz się tym martwić - dodał, wyczuwając jej zmieszanie. - W swoim czasie przeżyjesz to, pani. Na pewno. Nie sposób przecież wątpić,

że z gąsienicy w końcu wykluwa się motyl. Przeżyjesz więc niewiarygodne rzeczy. Masz, pani, dar od Boga. Inni... Cieszymy się, że możemy ci pokornie służyć. Jesteśmy gąsienicami, z których nigdy nie będzie motyli...

Wstał, chcąc odejść, lecz Veridiana zatrzymała go.

- Poczekaj, Victorze... - postanowiła wykorzystać tę chwilę szczerości i zdobyła się na odwagę, by zapytać: - Jesteś, panie, rycerzem Świętej Cekliny?

Zaśmiał się w odpowiedzi.

- Niezupełnie. Nie jestem rycerzem, lecz skromnym mnichem. Mnichem-żołnierzem... Ale nikt już nie pamięta miana naszego Zakonu. Skąd pani je znasz?

Postanowiła odpowiedzieć zgodnie z prawdą, choć przemilczała to, co teraz wydawało jej się oczywiste: papież miał rację, uważając ich za czarowników i heretyków i rozwiązując Zakon.

- Antonia... - zaczęła z wahaniem - matka chłopca, o którym mówiono, że zaginął, powiedziała nam o Świętej Ceklince. To wy go zabraliście, prawda?

- Wzięliśmy go, to prawda.

- A... inni? Murarze i majster Vicente, oni też z wami pojechali?

Victor wybuchnął śmiechem.

- Dużo wiesz, Veridiano. Jesteś, pani, niezwykłą kobietą... Bardzo ciekawską.

Veridiana zawstydzila się i spuściła wzrok.

- Mój proboszcz, ojciec Bartolomé, mówi, że jestem raczej wścibska... Ale odpowiedz mi, panie, czy oni wszyscy poszli z wami?

Victor znów śmiał się coraz bardziej. Sympatyczne kurze łapki wyrosły mu wokół błękitnych oczu.

- Nigdy się, pani, nie poddajesz, prawda? Ha, ha... Tak, oni wszyscy są z nami. Oni i wielu innych...

- Wielu?

- Potrzebujemy dużo ludzi. Mamy cały świat do zaludnienia.

Veridiana znów nie wiedziała, co powiedzieć. Zabrakło jej słów. W tym momencie do pokoju wszedł Bernardo.

- Jak się dziś czuje nasza chora?

- Wyśmienicie - Victor odpowiedział za nią. - Właśnie mnie wypytuje o Świętą Ceklinę, zaginionych murarzy, majstra Vicentego, a nawet o pewnego chłopca - powiedział do Bernarda, wciąż jeszcze się śmiejąc.

- Nie wierzę!

- Jest niezwykle ciekawska.

- Idealna dla naszego świata.

- Jakiego świata?

Victor i Bernardo zaśmiali się. Po tej rozmowie spokój, jaki czuła w ostatnich dniach, rozwiął się jak dym.

Veridiana stopniowo powracała do sił. Pierwszego dnia, kiedy już dała radę wstać, Esther skorzystała z okazji, by wymienić jej siano w materacu. W tym czasie mogła przejść się swobodnie po domu Jacoba.

Była to skromna trzypiętrowa kamienica. Nie miała żadnego podwórza, a jej fasada od strony ulicy była bardzo wąska. W przeciwieństwie do słonecznego domu jej brata ten był ciemny i miał zaledwie cztery pokoje ze światłem naturalnym. W największym pomieszczeniu spotkała Bernarda, Jacoba i Victora. Na licznych półkach widać tu było książki i pergaminy. Na długim stole, obok woskowanych tabliczek i ryłców do pisania, spoczywał wielki tom, który wszyscy trzej studiowali z uwagą.

Jacob pokazywał im jakiś ustęp.

- „Inwersja” jest możliwa, na pewno.

- Ale jakie może mieć konsekwencje? - zapytał Bernardo.

- Przede wszystkim śmierć podróżnego... Widząc w drzwiach Veridianę, Żyd zamilkł. Poszukała wzrokiem uśmiechu Victora, a kiedy go

zobaczyła, poczuła się nieco pewniej.

- Wreszcie na nogach! Dziękujemy Bogu, że tak szybko wróciłaś, pani, do zdrowia. - Bernardo wstał, by ją podtrzymać.

- Jak się czujesz?

- Dziękuję, dobrze... Teraz, kiedy nam się już lepiej, chciałabym zawiadomić moją rodzinę. Poślecie do nich kogoś?

Veridiana zaczęła się niepokoić. Nikt nie rozmawiał z nią dotąd o rodzinie. Na pewno martwią się o nią, a ona... ona zaczyna się czuć jak więzień.

Bernardo zaprowadził ją pod ramię do ciemnej kuchni. Na piecu stał wielki parujący gar, z którego wydobywał się intensywny zapach gotowanych wa-

rzyw. Ogień oświetlał pomieszczenie drżącym blaskiem. Kiedy Bernardo usiadł i wskazał jej miejsce obok siebie, dziwaczne cienie tańczyły na jego twarzy. Pani, dlaczego chcą cię zabić? - zapytał nagle.

Ten łotr z zaułka nie był przypadkowym rabusiem. To długa historia.

W tym momencie przez drzwi zajrzał Victor, Bernardo zaprosił go gestem do środka. Mnich usiadł koło nich na ławce. Mamy czas...

Veridiana zapatrzyła się w tańczące płomienie, które pieściły rondel. Westchnęła, po czym zaczęła swą opowieść. Nie wdając się w szczegóły, wspomniała inne ataki na swoje życie, a zwłaszcza powikłaną i smutną ucieczkę z Francji do León, a potem do Toledo. Zakończyła wnioskiem, do jakiego doszła w dniu napadu.

Chyba uznali, że Clarita, moja bratanica... jest moja córką... Jeśli nie będzie żyjących potomków moich, a ja zginę, po mojej śmierci, bracia mojego Guya staną się jego prawnymi spadkobiercami

podsumowała po chwili.

Bernardo i Victor w milczeniu wysłuchali jej opowieści.

Wystawiłaś, pani, na niebezpieczeństwo swoją rodzinę odezwał się wreszcie Bernardo. Wzdrygnęła się.

Musieli ją pomylić z dzieckiem, którego oczekiwałam. Jest w podobnym wieku. Mieli powody sądzić, że urodziłam spadkobiercę... Jednak tak się nie stało.

Nie chciała nic więcej wyjaśniać.

- Dopóki będziesz, pani, przebywać ze swoją rodziną, oni będą w niebezpieczeństwie. Tym razem zdołałaś pokonać mordercę, ale kto może zagwarantować, że zawsze ci się to uda? - Bernardo spojrzał na nią sugestywnie. - Pani, jeśli kochasz swoją rodzinę, powinnaś się od niej trzymać z daleka... zniknąć.

Veridiana aż podskoczyła.

- Zniknąć! Co chcesz przez to powiedzieć? - na jej twarzy nagle odmalował się gniew dawnej pani Tuluzy.

- Chcę powiedzieć - ciągnął Bernardo spokojnym i cichym głosem, obojętny na jej oburzenie - że możemy ci, pani, zapewnić doskonałą kryjówkę, w której ponadto będziesz zupełnie szczęśliwa.

- Nowy świat, w którym nikt cię, pani, nie znajdzie - dorzucił Victor.

Veridiana popatrzyła na nich jak na szaleńców i nie odważyła się powiedzieć nic więcej.

- Chwileczkę... - Bernardo podniósł rękę i położył ją na jej czole.

Tym razem nie poczuła zwykłego ciepła. To było coś innego, coś co przypominało jej jakby szelest gniecionej tkaniny.

- Spójrz pani.

Pokazał na podłogę u jej stóp. Veridiana krzyknęła.

Po ziemi czołgały się jakieś dziwaczne cienie. Przypominały stworzenia, które niekiedy prześladowały ją w ciemnościach. Tym razem jednak zo-

baczyła je wyraźniej: były małe, tłuste i pokryte długimi sztywnymi włoskami, a może kolcami. Veridiano zdawało się, że wydają cykanie podobnie jak świerszcze.

Wskoczyła na ławkę, unosząc spódnicę z szybkością, która wszystkich zaskoczyła.

- Co to jest? Skąd się tu wzięło?

- Były tu już wcześniej - odparł Bernardo z niewzruszonym spokojem. - Ale dopiero teraz możesz je, pani, zobaczyć.

Skonsternowana spojrzała na Victora i wtedy zdała sobie sprawę, że obserwuje on ziemię, ale niezupełnie w tym miejscu, gdzie wiły się dziwne stworzenia.

- On ich nie widzi - wyjaśnił Bernardo. Była pewna, że nie kłamie.

- To *rizy*, które żywią się twymi wątpliwościami, Veridiano. Nie powinnaś mi, pani, niedowierzać. Mówię czystą prawdę: istnieje inny świat; tam będziesz wolna od obaw i poznasz innych podobnych sobie, ludzi, którzy widzą te dziwne stworzenia...

- Dość! - ucięła.

Bernardo wstał z niezmaconym spokojem.

- To kwestia czasu, Veridiano - powiedział niewzruszony, a potem wyszedł z kuchni.

Wciąż stała na ławce. Nagle wybuchnęła płaczem. Najpierw było to ciche łkanie, lecz w jednej chwili rzęsiste łzy trysnęły jej z oczu.

Victor podszedł do niej.

- Nic się nie stało - powiedział takim tonem, jakby zwracał się do małej dziewczynki - nic się nie stało.

Veridiana rozszlochała się i nie pozostało mu nic innego, jak wziąć ją w ramiona. W tym schronieniu pozwoliła, by uszły z niej wszystkie długo powstrzymywane emocje. Aż w końcu łzy jej wyschły i podniosła na Victora zaczerwienione oczy.

- Przepraszam - szepnęła zawstydzona, że tak bardzo uległa własnej słabości.

Od dziecka uczono ją, że damy nie okazują uczuć, a już tym bardziej nie płaczą w obecności małoznanych sobie osób.

- Nic się nie stało - zapewnił.

Veridiana odsunęła się od niego na krok, a widząc jego szczere oczy, wyznała:

- Od wielu lat tak nie płakałam.

- To zrozumiałe, Veridiano. Nie martw się. Nie możemy uciec przed własnym przeznaczeniem. Być może Bóg poprowadził cię krętą drogą, byś mogła je, pani, odkryć. Nie warto jednak krzyżować Jego wyroków. Ścieżki, którymi prowadzi nas Bóg, i trudności, które je znaczą, umacniają tylko naszego ducha i wiarę. Jakikolwiek, pani, los został ci zgotowany, krocź śmiało Jego ścieżkami, gdyż łaska boska jest z tobą.

- Ja... wcale nie jestem silna i boję się... - szepnęła, ocierając łzy długimi rękawami swojej sukni.

Victor uśmiechnął się.

- Jesteś dużo silniejsza, niż sama sądzisz, pani. - I nim zdążyła zaprzeczyć, dodał: - To ty, pani, pokonałaś mordercę!

- Ja... ja... - wybełkotała. - Jak to?

- Możesz to pani uznać za pewnik. My go tylko dobiliśmy, jak się wydaje - zaśmiał się, jakby to był jakiś żart.

Veridiana spojrzała na rozbawinego Victora i sama nie wiedząc czemu, poczuła się lepiej.

Służący otworzył bramę i Enrique wszedł na patio domu Sanabriów. Natknął się tam na Claritę i jej braciszka Rodriga, którzy bawili się, nie zważając na smutek, w jakim pogrążeni byli ich rodzice.

- Zaraz zawiadomię panią...

Gdy tylko dziewczynka zobaczyła gościa, wybiegła mu na spotkanie.

- Co mi przyniosłeś, Enrique?

W odpowiedzi bez słowa wyciągnął do niej mały koszyczek.

Maria wyszła zza płóciennej zasłony, która zastępowała drzwi, podeszła do gościa, a widząc swoją córkę z koszyczkiem, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Za bardzo ją rozpieszczasz, Enrique - obruszyła się z gestem przesadnego oburzenia.

- Zasługuje na to. Słodczyce dla najśłodszej dziewczynki...

Gość powitał ją z dyskretnym szacunkiem. Był z siebie dumny, że sprawił, iż jej oczy na moment rozbłysły radością. Dziewczynka wepchnęła do buzi wielki kawał marcepana. Mały Rodrigo zaczął się domagać swojej części smakołyku.

- Jakieś nowiny?

- Żadnych - odparła Maria z przygnębieniem. Enrique spuścił wzrok.

- Nie traćmy nadziei...

- Po prostu zniknęła. Jakby ziemia się pod nią rozstała.

- Nikt nie znika. Musi być jakieś wyjaśnienie, którego na razie nie znamy...

- Tak, ona też tak uważała.

Młodzieniec zaskoczony odwrócił się do Marii.

- O czym, pani, mówisz? Czyżbyś rozmawiała z bratową o zniknięciach? - zapytał ostrożnie.

Maria zamilkła na chwilę, nim odpowiedziała. Nagle połączyła w jedno kilkanaście rozproszonych faktów i napędce stworzyła hipotezę, która wydała jej się spójna i sensowna.

- Veridiana niewątpliwie jest strasznie ciekawska i uparta - zaczęła. - Jak mój mąż! - westchnęła. - Zaintrygowały ją te wszystkie tajemnicze zniknięcia i historie o Żydach. Wiesz panie, o czym mówię, dzieci, murarze... nawet majster Vicente gdzieś zniknął!

Enrique z całych sił starał się ukryć wrażenie, jakie na nim wywarły te słowa. Ta kobieta z całą prostotą mówiła mu o sprawach, które stanowiły główny wątek jego poszukiwań.

- Poszliśmy we czwórkę, to znaczy my dwie z Isabel i jej przyjaciółką Leonor, do Antonii...

Na twarzy młodzieńca Maria musiała wyczytać nieme pytanie, bo wyjaśniła:

- Antonia to matka jednego z tych dzieci, o których mówiono, że zaginęły... Powiedziała nam, że jej syna zabrali na wychowanie mnisi z Zakonu Świętej Cekliny. Zresztą nie tylko jego, także majstra Vicentego! I innych murarzy...

Enrique z wrażenia omal nie dostał palpacji.

Starął się nie okazywać żadnych emocji. Miał jednak wrażenie, że cała krew spłynęła mu do nóg. Maria właśnie wyjaśniła mu to, co próbował zrozumieć od tygodni.

Skinął głową, starając się zachęcić kobietę, by mówiła dalej.

- Mnisi ze Świętej Cekliny stali się obsesją Veridiany. Chciała się dowiedzieć, kim są, gdzie przebywają... Właśnie przyszło mi do głowy, że coś planowała! I że... Bardzo możliwe, że... że tamtego dnia, kiedy tak bardzo nalegała, że chce odebrać zamówienie, tak naprawdę... chciała pójść gdzie indziej. Bo co ona właściwie robiła w dzielnicy żydowskiej? Upierała się strasznie, aż wreszcie udało jej się nas namówić, żebyśmy poszły do Antonii...

Enrique pozwolił Marii mówić. Opowiedziała mu o wyprawie za mury, do Santa Leocadia, o rozmowie z matką dziecka. Dopiero gdy wszystkie szczegóły ich przygody stały się dla niego jasne, zdecydował się powiedzieć:

- Mario, bardzo możliwe, że masz rację. Może rzeczywiście szukała tam czegoś... lub kogoś. Może tych mnichów ze Świętej Cekliny - zamyślił się na moment. - Nigdy o nich nie słyszałem, ale sprawdzę,

co się da, obiecuję ci to, pani. A jeśli ona ich znalazła, to i mnie się uda.

- Dziękuję ci, Enrique. Twoja wiara, panie, pozwala i nam zachować nadzieję.

- Odnajdziemy Veridianę - zapewnił z przekonaniem.

- Przy twojej pomocy i jeśli Bóg pozwoli, na pewno.

Tamtego wieczora, w świetle zachodzącego słońca, które spowijało Toledo w fioletoworóżowe cienie, Enrique wracał do swojego pokoiku jak na skrzydłach. Miał nowy trop. Zakon Świętej Cekliny. Zakon, o którym nigdy nie słyszał.

Myśłami powracał wciąż do mnicha w białym habicie, którego widział w zaułku. Pamiętał jego twarz, przenikliwe spojrzenie, gdy ich oczy spotkały się na chwilę. Czy to możliwe, że należał do jakiegoś tajemniczego Zakonu?

Musi o tym jak najszybciej powiedzieć Alfonsowi Barroso. Jeśli ktoś wiedział cokolwiek o zakonnikach ze Świętej Cekliny, to tylko on.

- Victor! - zawołał Bernardo.

Jasna głowa mnicha ukazała się nad poręczą schodów.

- Możesz przyjść na chwilę? Proszę, chodź ze mną do Veridiany.

Bernardo zauważył, że ostatnio jego przyjaciel unikał rekonwalescentki. To trochę utrudniało mu działanie. Szczególnie dziś.

Weszli po schodach na poddasze.

Esther i Veridiana zaczęły wspólnie szyć. Spędzały popołudnia w tym pomieszczeniu przesyconym wonią jabłek i aromatycznych ziół, suszących się na ciemnych belkach u powały. W górnej części domu gromadziło się ciepłe powietrze, ale one nie zwracały na to uwagi.

Bernardo zauważył, że kiedy Veridiana szyła, jej duszę ogarniał głęboki spokój. Sam czuł coś podobnego podczas modlitwy. W okresie rekonwalescencji Veridiany kilka razy zastał ją zapatrzoną w przestrzeń, jakby obserwowała powietrze. Może się modliła? Tak czy inaczej, zadziwiła go harmonia, którą kobieta zdawała się emanować w takich chwilach.

Kiedy weszli na poddasze, kobiety haftowały razem przy oknie. Było to jedno z nielicznych miejsc w domu, gdzie miały do tego wystarczająco dużo-światła.

- Esther, możesz nas zostawić na chwilę samych? Dziewczyna nie podnosząc wzroku odłożyła swoją robótkę na ławkę i wyszła bez słowa.

Veridiana spojrzała pytająco na Bernarda, czekając, co powie.

Usiadł na miejscu zwolnionym przez Esther i gestem zaprosił Victora, by ulokował się koło niego, na wprost Veridiany.

- Za cztery dni wyjeżdżamy - zaczął Bernardo. - Podróż będzie długa i niepozbawiona niebezpieczeństw. Chcesz, pani, jechać z nami?

Popatrzyła na nich zdumiona.

W ostatnim okresie czuła się więźniem. Jej strażnicy byli mili i wykształceni, lecz mimo wszystko byli strażnikami. Powtarzała im do znudzenia, na tysiąc różnych sposobów, że chce zawiadomić swoją rodzinę, że jest żywa i zdrowa, a później, że chce wrócić do domu swojego brata. Ich odpowiedź zawsze była taka sama: uprzejme uśmiechy i milczenie. Nawet nie zadali sobie trudu, by udawać, że zamierzają poinformować o czymkolwiek jej rodzinę.

Bernardo odczekał chwilę, nim znowu się odezwał.

- Decyzja należy do ciebie, pani... Jeśli pójdiesz z nami, nie będziesz dłużej wystawiała na ryzyko swojej rodziny. Jeżeli zaś pozostaniesz, pani, z nimi, nigdy nie zaznasz spokoju. Mogą wysłać kolejnych morderców. Nie będziesz miała pewności, że zagrożenie minęło i że jesteś już bezpieczna, ty i twoi bliscy - powtórzył. - Za to tam, dokąd my się udajemy, nikt cię, pani, nie znajdzie.

Przerwał, by w mogła w pełni zrozumieć wagę jego słów.

- Ponadto w świecie, do którego jedziemy, będziesz, pani, szczęśliwa. Spotkasz inne osoby podobne do ciebie i zrozumiesz, że nie jesteś osamotniona...

Veridiana niespokojnie poruszyła się na swoim miejscu.

Od dnia, gdy Bernardo poruszył w jej duszy jakąś strunę, od tamtego dnia, kiedy w kuchni zalała się łzami, przyzwyczaiła się do krążących w pobliżu cieni, tych dziwacznych stworzeń, od których roіło

się w domu. Były zupełnie nieszkodliwe, ale niepokoiły ją ich oślizgłe ciała, a jeszcze bardziej fakt, że tylko ona i Bernardo mogli je zobaczyć. Nikt inny ich nie widział.

- Victor dotrzyma ci, pani, towarzystwa... - uśmiechnął się do niej Bernardo - Będzie twym przewodnikiem po tym świecie.

Spojrzała na Victora. Bernardo wykorzystał ten moment, by ponowić pytanie:

- Chcesz z nami jechać, Veridiano?

Szukała oczami jasnego spojrzenia mnicha-żołnierza, jakby liczyła na to, że pomoże jej podjąć decyzję.

W pamięci wróciła do chwili, gdy w zaułku morderca zaatakował Claritę i przypomniała sobie paniczny strach dziewczynki. Potem pomyślała o Hortensji, która zginęła w Tuluzie zamiast niej. Poczucie winy zalało ją gęstą, lepką falą.

- Jadę z wami - oświadczyła po dłuższej chwili drżącym głosem.

- Nigdy nie będziesz żałowała tej decyzji, daję ci moje słowo, Veridiano - powiedział Bernardo - To najlepsze co może być dla ciebie, pani, ... i dla twoich bliskich.

Bernardo wstał i zostawił ich samych. Był zadowolony. Nie musiał nawet wpływać na jej umysł, by skłonić ją do podjęcia decyzji. Zdecydowała się sama, to go uszczęśliwiło. Był głęboko przekonany, że idealnie pasowała do Świata.

Minęły dwa dni nim Veridiana znalazła sposobność, by porozmawiać z Victorem. Przydybała go wreszcie w kuchni. Wiedziała, że są sami, bo Bernardo wyszedł z Esther i jej ojcem.

Podczas dwu długich nocy podjęła decyzję i zaplanowała wszystko. Wiedziała, że on jej pomoże. Nie mógł jej zawieść.

- Victorze - szepnęła. Odwrócił się do niej zaskoczony.

- Muszę cię, panie, prosić o przysługę... Nie wiedziałam... Nie wiem jak... Ale...

Natknął się na spojrzenie jasnych oczu Veridiany, tak podobnych do jego własnych i odwrócił wzrok.

Od kiedy czuła się lepiej, znów nakładała na włosy czepek, co czyniło jej oblicze tak szlachetnym i pięknym, że przypominała Madonnę z obrazów. Budziło to w Victorze niepokój.

- Chciałabym się z nimi pożegnać. To znaczy... zobaczyć ich po raz ostatni. Moich bratanków.

Victor pokręcił głową.

- To niemożliwe.

- Proszę, błagam, Victorze. Obiecuję, że wcale się do nich nie odezwę. Chcę ich tylko zobaczyć. Kocham ich jak własne dzieci. Przecież nie zabroniłbyś matce zobaczyć po raz ostatni dzieci, choćby z daleka?

Jeszcze raz pokręcił głową.

- Błagam, Victorze, nikt się o tym nie dowie - nalegała Veridiana - Proszę. Tylko z daleka...

Szukała jego oczu, lecz on odwracał wzrok.

- Proszę...

- Pomyślę o tym...

Enrique de Rascón y Cornejo opuścił klasztor dominikanów później niż zwykle. Zbliżała się noc i nadeszła pora, o której powinien wrócić do siebie.

Alfonso Barroso opowiedział mu o Zakonie Świętej Ceklidy. Mnisi-rycerze, o których dawno temu słuch zaginął, gdy Ojciec Święty oskarżył ich o herezję i wytepił jak pluskwy.

Idąc ulicami miasta, Enrique zastanawiał się, gdzie też się ukrywają ostatni członkowie tego Zakonu, którego miało już nie być. Być może, tak jak w przypadku templariuszy, stworzyli jakieś nowe zgromadzenie lub przyłączyli się do innego zakonu, jak ten z Monterey, który powstał ostatnio.

Nim zdał sobie z tego sprawę, nogi poniosły go w kierunku domu Sanabriów. W pierwszym odruchu chciał zawrócić, ale potem doszedł do wniosku, że nie zależy mu na czasie. Wieczór był ładny, a chłodny powiew, który pojawił się wraz z pierwszymi cieniami zmroku, zdawał się nieść go do domu zaginionej.

W miarę jak szedł pod górę, serce waliło mu coraz szybciej. I nie wynikało to bynajmniej ze zmęczenia. To było coś więcej. Czuł mrowienie w karku; odruchowo, sam nie wiedząc czemu, krył się w cieniu murów i czujnie rozglądał na boki.

Daleko przed sobą zobaczył postać, która wydała mu się znajoma. Była to kobieta owinięta w szeroki

płaszcz. Widział ją ledwie przez chwilę, ale miał pewność - to była Veridiana!

Potem uważnie przyjrzał się mężczyźnie, idącemu obok niej. Ubrany był w biały habit. To musiał być ten sam mnich o jasnych oczach, którego widział wtedy w zaułku. Mnich Świętej Cekliny,

Enrique niemal przylgnął do ściany. Chwilę obserwował ich z ukrycia. „Co tu robią razem?”. Odniósł wrażenie, że podobnie jak on, starają się nie rzucać w oczy. Veridiana okrywała się peleryną, a mnich miał nasunięty na głowę kaptur. Wyglądało na to, że idą do domu Sanabriów. Lecz po co w takim razie się ukrywają?

Ruszył za nimi z wielką ostrożnością i wkrótce przekonał się, że jego przypuszczenia były słuszne. Para zatrzymała się przed wejściem do domu Juana de Sanabria. Wyglądało na to, że zagląдают do środka przez szparę w bramie. Stali tak przez dłuższą chwilę, póki mnich gestem nie nakazał Veridianie odejść.

Enrique jeszcze bardziej skurczył się w mroku sieni.

Veridiana ociągała się, ale w końcu oboje odeszli od bramy i oddalili się. Enrique poszedł za nimi.

Przechodząc koło domu Sanabriów nie mógł oprzeć się pokusie, by nie zerknąć, w co też tak się wpatrywali. Przez szparę w bramie ujrzał bawiące się dzieci: Clare i Rodriga.

Enrique nic nie rozumiał, ale śledził ich dalej pod osłoną zapadającego zmroku.

O tym, jak Veridiana w towarzystwie
Victora i Bernarda wyruszyła do drugiego świata

Ktoś za nami jedzie - mruknął Victor do Bernarda, kiedy tylko upewnił się, że Veridiana go nie słyszy.

- Wiem. Depcze nam po piętach, od kiedy opuściliśmy Toledo.

Odpowiedź Bernarda zaskoczyła Victora tylko trochę. Przywykł już, że jego druh wiedział o rzeczach, o których on sam nie miał pojęcia.

- Co robimy? Mógłbym do niego podjechać, ale... - zastanawiał się Victor.

- Nie - przerwał mu Bernardo - zostaw go. To... interesująca postać.

- Skąd wiesz?

Bernardo ściągnął lejce i zatrzymał swojego wierzchowca, imponującego kasztana o czarnej grzywie.

- Posłuchaj...

Jego przyjaciel wyteńczył słuch.

- Czy nie słyszysz odgłosu kopyt naszych koni, kiedy jedziemy?

- Oczywiście, że tak.

- Więc ja tak samo słyszę jego konia.

Victor wzruszył ramionami i spróbował więcej o tym nie myśleć. Tego, jak wielu innych spraw, nie potrafił ogarnąć rozumem, a nauczył się już przechodzić do porządku dziennego nad rzeczami, których nie pojmował. Z doświadczenia wiedział, że jeśli Bernardo patrzy na wszystko inaczej niż on, to ma po temu swoje powody.

Ściągnął nieco wodze swojego konia i poczekał, aż Veridiana go dogoni.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Nie odpowiedziała.

Victora martwiło jej smutne spojrzenie. W ostatnich dniach była bardziej milcząca niż zwykle. Z każdym krokiem, który oddalał ją od Toledo i rodziny, jej przygnębienie rosło.

Ponadto Veridiana nie należała do kobiet, które lubią jeździć konno i nie przywykła do trudów podróży. Widać było, że jest jej niewygodnie siedzieć bokiem na koniu, tak jak czynią to kobiety, i Victor był pewien, że choć się nie skarży, ma obolałe całe ciało.

- Już niedaleko - starał się ją pocieszyć. - Bernardo mówi, że dotrzemy do Wrót już za dwa dni.

Popatrzyła na niego ze znużeniem.

- Cieszę się - odparła słabym głosem.

- Podróże - dodał - są oczywiście niewygodne, ale, tak jak we wszystkim w życiu, powinniśmy starać się dostrzec w nich piękne strony.

Veridiana nic nie odpowiedziała, więc ciągnął dalej:

- Dotarcie do celu nie jest najważniejsze, najważniejsze to umieć cieszyć się drogą.

- Trudno się cieszyć - powiedziała ironicznie - zdzierając sobie skórę.

Veridiana pociągnęła mocno za cugle i pokazała Victorowi dłoń. Rzemienie obtarły ją do żywego mięsa. Victor obejrzał dłoń ze współczuciem.

- Powinniśmy byli zdobyć rękawice... Bardzo mi przykro. Bernardo zaraz cię, pani, opatrzy.

Oberża, w której zatrzymali się na noc, była wielkim, zimnym budynkiem. Pachniało w niej zjełczalym smalcem. Veridiana dostała swój własny pokój. Świadczyło to o uprzejmości karczmarza zarezerwowanej dla gości wysokiej rangi, ona jednak wolałaby nie spać sama. Czuła się porzucona i bezbronna. Brakowało jej służącej, która pomogłaby się rozebrać i rozgrzała siennik, gdy była tak zmęczona, że aż bliska omdlenia...

Przede wszystkim jednak nie chciała być sama, gdy zapadnie noc i ciemność ogarnie ten nieznany pokój.

Zaczęła rozsznurowywać suknię. Nie przychodziło jej to łatwo, bo sznurówka znajdowała się na plecach, a ją bardzo bolały ręce.

Bernardo przemył jej rany wodą i przyłożył opatrunek z maścią z żołądzi, która miała przyspieszyć gojenie i zabezpieczyć ją przed zakażeniem. Na zakończenie owinał wszystko cienką chustą.

Dzięki temu zmieniła o nim zdanie. Veridianie zawsze wydawało się, że jest człowiekiem o surowym spojrzeniu i oschłej duszy, ale przy opatrywaniu ran potraktował ją z zaskakującą delikatnością.

Gdy rozebrała się niemal do naga i została jedynie w cienkiej płóciennej koszuli, przeszedł ją dreszcz. Przysunęła świecę bliżej siennika, owinęła się w koc i położyła. Poczula zapach świeżego siana. To ją nieco uspokoiło. W tym zatechłym zajeździe przynajmniej zmieniali siano w materacach.

Wkrótce pokój zatonął w mroku. Cienie rzucane przez drżący płomień świecy tańczyły po ścianach.

Veridiana zamknęła oczy i zwinęła się w kłębek. Od dziecka strasznie się bała ciemności. „Potwory nie istnieją”, tysiące razy powtarzały jej matka z piastunką. „To tylko twoja wyobraźnia”.

Teraz wiedziała już, że to nie była prawda. Stwory, które zaludniały ciemności, a teraz przemykały po podłodze z przerażającym syczeniem, pochodziły z tamtego drugiego świata. Im bardziej się bała, tym wyraźniej słyszała, jak pełzają. Dopiero gdy udało jej się zasnąć, przestawała je słyszeć. Lecz tej nocy mimo wyczerpania sen nie nadchodził. Najmniejsze poruszenie od nowa budziło ból w nadwreżonych mięśniach i poranionych dłoniach. Cienie wydawały się

jej dużo bardziej rzeczywiste. Miała wrażenie, że od chwili, gdy Bernardo zrobił z nią coś wtedy w kuchni, jakby dotykając jej umysłu, otworzył przejście do świata, który ją przerażał.

Starannie owinęła się więc kocem, zacisnęła jeszcze mocniej powieki i spróbowała się rozluźnić. Wtedy przyciągnęła jej uwagę rozmowa dobiegająca z przyległego pokoju.

Były to niskie głosy Bernarda i Victora. Mogła ich sobie doskonale wyobrazić, jak siedzą razem - dwaj bracia złączeni wspólną sprawą. Leżąc samotnie w pokoju zazdrościła im tej bliskości. Ton rozmowy był poważny, powtarzało się w niej stale jedno słowo: „inwersja”.

Nie pierwszy raz słyszała, jak rozmawiają na ten temat. Mówili już o tym w domu Jacoba i Ester, a potem podczas podróży. Teraz słowa wnikały w jej świadomość niczym cichy złodziej do obcego domu.

- Porywanie się na inwersję to szaleństwo.

- Zgadzam się w zupełności, Victorze. Przy tym stopniu wiedzy, którym dysponujemy, byłoby to samobójstwem dla podróżnika. A nie ma sposobu, by ogarnąć to wszystko! Nawet Rodolfo de Cremona nie jest pewien tłumaczenia. Jacob sądzi, że chodzi o jakiś dialekt pochodzący z języków północnych... Ale, tak czy inaczej, mój drogi, jedynym sposobem, by dowiedzieć się czegoś więcej, są próby.

Veridiana pomyślała, że cisza, która nastąpiła po tych słowach, była zbyt długa.

- Owszem, proste, precyzyjne i logiczne metody w eksperymentach to przyszłość nauki. Co do tego zawsze się zgadzaliśmy. Jednak nigdy, przenigdy kosztem życia ludzkiego.

- Zrozumienie świata wymaga poświęceń, Victorze. Pomyśl o możliwościach, jakie otworzyłaby przed nami inwersja. A jeśli dzięki temu zdołalibyśmy uratować wielu innych w przyszłości? Przecież chodzi nie tylko o życie doczesne... ale i o duszę, Victorze, o duszę!

Veridiana przewróciła się na drugi bok. W końcu zaczęła ogarniać ją senność i coraz trudniej było jej nadażyć za słowami, które stopniowo traciły swój sens. Absurdalne obrazy zaczęły wypełniać jej umysł.

- Nie, Bernardo. Nie ma mowy. Bóg nie może tego chcieć... To... To sprzeczne z naturą. To... szatańskie.

- Sądzę, że się mylisz, to wyjątkowa sposobność. Inwersja jest szansą na naprawienie wielkich błędów ludzkości...

To było ostatecznie, co Veridiana usłyszała, nim pogrążyła się w ciężkim śnie, ciemnym niczym jakiś loch.

Rano posilili się chlebem maczanym w winie i boczkiem. Veridiana ledwie tknęła posiłek.

Victor dojadał resztki śniadania, kiedy Bernardo popatrzył na nią tym samym łagodnym spojrzeniem, które odkryła u niego, gdy bandażował jej rękę.

- Jest coś, o czym muszę cię, pani, uprzedzić. Przejście do drugiego świata nie jest proste. Przekroczenie Wrót może okazać się niebezpieczne, jeśli ktoś stawia im opór. Chcę przez to powiedzieć, że nie powinnaś przeciwstawiać się ich siłom.

- Odkryliśmy, że dla osób, które po raz pierwszy przekraczają Wrota, najlepiej jest, by zrobiły to nieświadomie - dodał Victor.

- Nieprzytomni po upojeniu alkoholem, pod wpływem środka odurzającego lub po ciosie w pewne określone miejsce - wyjaśnił Bernardo, wskazując na tył głowy.

Veridiana zeszywniała.

- Chcecie mnie uderzyć!

- Tego nie możemy z tobą ryzykować. Twoja rana jeszcze do końca się nie zabiłła. Właśnie dlatego cię, pani, uprzedzam.

Od dawna zagłuszany gorzki lęk zawrzał w Veridianie. Ci ludzie ze zbytnią doprawdy swobodą mówili o nikczemnych praktykach.

- Dlatego będziesz, pani, musiała pokonać tę drogę świadomie - ciągnął Bernardo. - Zagrożenie pojawi się, jeśli będziesz stawiać opór siłom Wrót.

- Trzeba pozwolić się nieść niczym liść na wietrze - wyjaśnił Victor.

- Nie trzeba ulegać panice... - Bernardo spojrzał na nią zatroskany. - Ale już widzę, że zaczynasz się, pani, bać...

- Oczywiście, że się boję!

- Nie pozwól, pani, by strach tobą zawładnął.

- A jak mogę tego uniknąć?! Nie wiem, dokąd jadę, a wy mówicie, że te Wrota mogą mnie zabić! Na Boga w niebieszech, nie wiem, co ja tu robię...

Veridiana nie zauważyła szarawych cieni, które czołgały się u jej stóp po podłodze pod stołem. Bernardo złagodził ton głosu.

- Spokojnie, Veridiano, zaufaj mi.

Miała wrażenie, że pogłodził ją wzrokiem. Nie wiedzieć czemu nagle poczuła się spokojna i odprężona. Ciepło i tajemnicza harmonia ogarnęły jej duszę.

- Nie bój się, pani - powtórzył.

W tym momencie poszłaby za Bernardem, dokądkolwiek by zechciał; czuła, że tylko przy nim jest bezpieczna.

Victor gwałtownie wstał od stołu. Veridiana mogłaby przysiąc, że jest rozgniewany. Ale nie potrafiła pojąć czemu.

Gdy wyjechali z oberży, słońce stało już wysoko na niebie, zalewając złotym blaskiem pola i lasy. Powietrze pachniało świeżością i zdawało się naładowane czystą energią.

- Będzie padać - stwierdził Bernardo. Zarówno Victor, jak i Veridiana rozejrzeli się zdziwieni wokół.

Niebo było bezchmurne, intensywnie błękitne. Słońce grzało im skórę.

- To już niedaleko - ciągnął Bernardo. - Przed południem napotkamy Wrota. Pamiętaj, pani, że nie wolno z nimi walczyć. Pozwól się nieść...

Zjechał z drogi i ruszył leśną ścieżką. Victor jechał za nim.

Veridiana wolałaby nie opuszczać głównego traktu. Obejrzała się za siebie. Czuła się dziwnie niespokojna.

Victor również się obejrzał. Uczynił to jednak z zupełnie innego powodu. Przed chwilą zdawało mu się, że znów zobaczył jeźdźca, który ich śledził. Bernardo zdawał się tym nie martwić. A jeśli Bernardo się nie denerwował, on również nie miał powodu, by to robić. A jednak nie umiał się pozbyć mrocznego przeczucia.

Przejechali ledwie kilka mil, gdy zerwał się zimny północny wiatr. Białe obłoki ze zdumiewającą szybkością zakryły niebo. Potem horyzont pociemniał, a w oddali zawisły ciężkie burzowe chmury. Konie stały się niespokojne, podobnie jak ich jeźdźcy. Veridiana z trudem trzymała w poranionych dłoniach wodze i starała się uspokoić zwierzę, przemawiając do niego łagodnie.

- Ten wiatr nie wróży nic dobrego - powiedział Victor.

- Wróży jedynie, że będzie porządna ulewa - odparł Bernardo, nawet się nie odwracając i jadąc coraz dalej w gąszcz.

Porzucili ścieżkę. Wreszcie nadeszła chwila, kiedy dęby i chaszczce stały się tak gęste, że nie dało się dalej jechać konno.

- Musimy zostawić wierzchowce - stwierdził niewzruszony Bernardo.

Zsiadł z kasztana, na którym jechał, zarzucił na ramię sakwy i poklepał lekko zwierzę po zadzie, by odbiegło.

Veridiana zaniemówiła. To był cenny koń - pełnej krwi. A ten człowiek pozbywał się go bez wahania.

Victor zrobił to samo i ruszył za przyjacielem, biorąc swoje rzeczy. Ze szczególną ostrożnością niósł pakunek, na który składała się księga i kilka zwojów, pieczołowicie owinięte w worek z delikatnej skóry.

- Zostawimy tu konie? - zapytała Veridiana, która wciąż jeszcze nie zdecydowała się zsiąść.

Bernardo podszedł do niej, kiwając potakująco głową.

- Ale... - zaczęła.

- O nic się, pani, nie martw.

- Nie o to chodzi... Porzucić je tak... Są zbyt cenne...

- O nic się nie martw - powtórzył Bernardo i wyciągnął do niej rękę, by ułatwić jej zejście z kobiecego siodła.

Gdy stanęła na ziemi, Bernardo odpędził jej klaczkę. Konie odbiegły. Już nie było odwrotu.

- Przetnę drogę.

I niczym pies gończy wietrzący ofiarę, Bernardo zaczął się przedzierać przez gąszcz do siebie tylko wiadomego celu. Veridiana i Victor szli za nim.

Na horyzoncie niebo stało się niemal czarne. Lodowaty wiatr poruszał liśćmi drzew, z oddali dobiegł pomruk grzmotu. Nie spadła ani kropla deszczu, lecz pachniało burzą i wydawało się, że natura za chwilę eksploduje.

Victor szedł jako ostatni. Bernardo musiał powściągać kroki, by dostosować się do wolnego tempa Veridiano, której ubranie ciągle zaczepiało się o gałęzie i kolce. Jej suknia była zbyt długa, a rękawy bardzo szerokie; słowem zupełnie nieodpowiednie do przedzierania się przez krzaki. Nie przywykła do chodzenia po lesie. Miała zbyt cienkie buty i kamienie oraz inne nierówności podłoża boleśnie raniły jej stopy.

Wiatr zawył mocniej, miała wrażenie, że kąsa jej twarz. Zatrzymała się. Suknia na nowo zaplątała się w ciernie, więc musiała wysupłać z jej fałdów kolczaste gałązki. Piekły ją pełne zadrapań ręce.

Jej towarzysze nie niecierpliwili się jednak.

- Jeszcze tylko trochę. Za chwilę będziemy na miejscu.

- Odwagi, Veridiano!

Ale jej wydawało się, że nigdy nie dojdą do celu.

Gdy po raz setny wyplątała się z gałęzi, które próbowały powstrzymać jej kroki, poczuła się tak sfrustrowana, że miała ochotę wybuchnąć płaczem.

Bernardo popatrzył na nią i chyba zauważył jej zniechęcenie. Rzucił pełne niepokoju spojrzenie za siebie i podszedł do niej.

- Jesteśmy już bardzo blisko, Veridiano. Nie poddawaj się. Trzymaj się mnie. Ja przetrę drogę. Victor! - zawołał.

Bernardo szepnął do przyjaciela coś, czego nie zdołała usłyszeć, a potem zostawił ich i zawrócił do tyłu.

Słońce całkiem już się schowało za czarnymi burzowymi chmurami.

Veridiana poczuła zapach mokrej ziemi, nim jeszcze naprawdę zaczęło padać. Pierwsze wielkie krople spadły z taką siłą, że grudki błota opryskały im buty. Narzuciła na głowę kaptur swojej peleryny, Bernardo nawet nie próbował się osłonić.

Tuż obok uderzył piorun i ziemia zadrżała.

Wtem pojedyncze krople zamieniły się w rześistą ulewę; w jednej chwili przemokli do nitki.

Bernardo wziął ją za rękę i niemal siłą zaciągnął na małą polankę wśród drzew.

- Jesteśmy na miejscu. Pamiętaj, pani: nie wolno walczyć z siłami Wrót. Nie wolno z nimi walczyć!

Serce Veridiany łomotało.

Rozejrzała się wokół, ale nie zobaczyła żadnych wrót. Tylko burzowy wiatr świstał, szarpiąc jej suknię na wszystkie strony. Krople deszczu uderzały z taką siłą, że aż bolała ją twarz. Grzmoty następowały jeden po drugim, błyskawice rozdzierały czarne niebo.

Veridiana skuliła się. Bernardo złapał ją mocno za ramię i podprowadził do kamienia leżącego na środku polany - menhiru. Był to wielki ociosany przez człowieka głaz.

- Poczekaj tu na mnie, pani. I nie przeciwstawiaj się!
Bernardo niemal pchnął ją na menhir, po czym zawrócił.
Kolejna błyskawica przecięła niebo.

Veridiana wydawało się, że w tej części lasu rozpętało się prawdziwe piekło. Włosy oblepiały jej twarz, przez strugi deszczu ledwie widziała Bernarda.

Nie był sam na polanie. Obok niego pojawił się Victor. Obaj stali spokojnie w strugach deszczu, Zupełnie jakby czekali na coś... albo na kogoś.

Z trudem dojrzała wysokiego mężczyznę okrytego burą peleryną.

Piorun oświetlił polanę. Człowiek, który przyszedł za nimi, wyciągnął miecz. Bernardo uniósł ręce i powiew wiatru niemal powalił przybysza. Victor skorzystał z tego i rzucił się na niego.

Veridiana odsunęła włosy z czoła, by lepiej widzieć. Serce mało nie wyskoczyło jej z z piersi.

Victor dobył miecza i wykonał pierwszy sztych. Przybysz bronił się. Bernardo podszedł bliżej i znów uniósł ręce. Podmuch pchnął przybysza, który bezskutecznie walczył przeciwko tajfunowi z wody i wiatru. Gdy opadł na kolana w błoto, Bernardo zbliżył się i uderzył go w głowę. Dokładnie w to miejsce, które wcześniej wskazał jej jako najwłaściwsze do oszłomienia koniecznego, by nieświadomie przejść Wrota.

Mężczyzna osunął się w błoto bezwładnie niczym kukła.

Ziemia zadrżała od grzmotu.

Wokół Veridiana zaczęło się tworzyć tysiące powietrznych wirów. Wydawało się, że chcą ją porwać do nieba. Chwyciła się menhira, w nadziei, że ją to uchroni. Poczowała lodowate zimno.

Bernardo i Victor szybko schwycili nieprzytomnego przybysza i podeszli do niej.

- Nie walcz z tym, Veridiano! - powtórzył Bernardo, stając obok niej.

Veridiana spojrzała wówczas na nieprzytomnego. Kaptur zsunął mu się z głowy i ze zdumieniem odkryła, że zna tego człowieka. To był Enrique de Rascón y Cornejo.

Wiry zmieniły się w trąby i nagle poczuła, że ich siła unosi ją w górę. Krzyknęła.

Wydało jej się, że czarne burzowe niebo wchłonęło ją i miota jej duszą. Znow krzyknęła.

Szum deszczu i burzy zaczął się oddalać, a zastąpił je przeraźliwy gwizd. Lodowate zimno, które poczuła przed chwilą, przeniknęło całe jej ciało, a wraz z nim nadszedł nieznosny ból. Nigdy jeszcze nic nie bolało ją w ten sposób.

Wrzasnęła jeszcze głośniejsze. Zrozumiała, że umiera.

„Nie walcz z tym”, zaszeptał w jej umyśle jakiś głos.

Wtedy przypomniał jej się Bernardo i mimo bólu zdołała złożyć jedną spójną myśl: nie dało się z tym nie walczyć.

Lecz nagle powróciło do niej wspomnienie tamtego dnia, gdy straciła dziecko, kiedy głuchy ból wbił się w nią niczym sztylet. Potem przypomniał jej się cios,

który zadał jej morderca w Toledo i tamten ból, który uderzył w nią jak piorun. A wreszcie noc poślubna z Guyem, kiedy też nie mogła walczyć z jego ciałem, które niemal zdusiło ją swoim ciężarem, aż wreszcie nie miała wyjścia, uległa mu i pozwoliła, by robił, co zechce...

Właśnie to wspomnienie uratowało jej życie, bo Veridiana poddała się i ból nagle zniknął. Zastąpił go strach i ciekawość wobec tego progu, w którego ciemność wciągały ją nieznane moce.

CZĘŚĆ
II

O tym, jak Enrique odkrył,
że jego misja została wykonana

Wietrzyk pieścił skórę i jednocześnie targał mu włosy. Gdy odzyskał świadomość, wraz z pierwszym haustem powietrza dotarły do niego tysiące nowych doznań. Wrażenie było tak silne, że poczuł zawrót głowy i zrobiło mu się niedobrze.

A jednak Enrique de Rascón y Cornejo chciał dalej wdychać to powietrze, w którym nieoczekiwanie potrafił rozróżnić pyłki około stu różnych kwiatów, woń drzew i owoców, o których dotychczas myślał, że niczym nie pachną. Poczuł coś, co przypominało mu cierpki korkodąb, kwaśny jak łyż. W powietrzu unosiła się też sól i słodkawy zapach błota. Nawet chropawość skóry miała swój własny aromat. Wonie były gęste i kwaśne, ciemne i delikatne... Docierały do niego w sposób zupełnie naturalny i z nieskończoną siłą, jak nigdy dotychczas.

Enrique nie pozostało nic innego, jak dalej oddychać i przyzwyczaić się do tego natłoku splątanych doznań, które napływały do niego z każdym oddechem.

Obok siedział jasnowłosy mnich, a kiedy zobaczył, że Enrique odzyskuje świadomość, wyciągnął do niego rękę, by mu pomóc wstać.

- Dobrze się czujesz, panie?

Dłoń Enrique odruchowo zaczęła szukać miecza u boku. Zakonnik zauważył ten gest i pokręcił przecząco głową, nadal oferując jednak swoją rękę.

- Żadnej broni... Jest w bezpiecznym miejscu. Dalej, wstań, panie!

Enrique nie pozostało nic innego, jak przyjąć tę dłoń. Victor podniósł go bez trudu.

- A Veridiana?

- To ona, panie, cię interesuje? To ją śledziłeś? Enrique nic nie odrzekł.

- Veridiana ma się dobrze. Jest z kobietami. Nie martw się, panie, o nią. Raczej o siebie. Dobrze się czujesz? - zapytał Victor.

Wtedy Enrique przypomniał sobie cios, który mu wymierzono, i uświadomił sobie, że doskwiera mu nieokreślony ból w karku.

- Gdzie jestem?

- Będę z tobą, panie, szczerzy: w innym świecie...

- Victor uśmiechnął się do niego. - Ale zanim zwątpisz w moje zdrowie umysłowe, rozejrzyj się dobrze...

- Pochylił się i podniósł z ziemi liść. - Weźmy ten liść. Czy przypomina jakikolwiek z tych, które znałeś

dotychczas? Nie, prawda?... Przeszedłeś przez Wrota prowadzące do innego świata, panie...

Victor miał nadzieję, że usłyszy jego imię, lecz Enrique nadal trwał w swoim upartym milczeniu.

Rozejrzał się po tym dziwnym miejscu. Nic nie rozumiał. Znajdował się pod daszkiem z żerdzi i słomy. Przed nim rozciągały się pola uprawne położone w zielonej dolinie. Za ich plecami wzrok przykuwało dostatnio wyglądające miasteczko. Czul napływający od niego zapach ludzi. W jakim to szatańskim świecie się znajdował?

- Jestem Victor, brat Zakonu Świętej Ceklidy, skromny sługa i żołnierz Naszego Pana - przedstawił się człowiek w białym habicie - i miałem zaszczyt walczyć z godnym przeciwnikiem... Z...?

Enrique zmierzył wzrokiem swojego rozmówcę. Był to wysoki mężczyzna, dużo silniejszy od niego. Ten sam, którego widział wtedy walczącego w zaułku. Kiedy podczas burzy odnalazł w lesie Veridianę, na własnej skórze poznał jego sprawność i szybkość. Ale on nie był czarownikiem. To tamten drugi. Ten był jedynie doskonałym żołnierzem, który teraz patrzył na niego swymi błękitnymi oczyma, uśmiechając się przy tym.

- Jestem Enrique de Rascón y Cornejo - przedstawił się, choć wciąż jeszcze z rezerwą - nauczyciel gramatyki u dominikanów w Toledo...

- Jak na nauczyciela gramatyki, całkiem dobrze władasz mieczem, panie Enrique de Rascón y Cornejo.

Młodzieńca mile połehtała ta pochwała i dlatego postanowił wyjaśnić:

- Mój brat jest hrabią de Rascón y Cornejo. Ja uczyłem się u Don Fernanda de Vilamur, któremu służyłem w Aragonie.

- Nieźle, niemal rycerz i do tego nauczyciel... To się spodoba Dimasowi.

Jakieś zwierzę podobne do ptaka podeszło i zaczęło obwąchiwać Enrique. Jego pióra wciąż zmieniały kolor. W jednej chwili ciemna czerwień ustąpiła miejsca lśniącej bieli.

- Co to jest, u licha?!

Odszedł parę kroków, lecz zwierzę uparło się iść za nim, potem zaczęło latać wokół niego.

- Co to jest?! - powtórzył. Victor zaśmiał się.

- Widzi stwory!! Ha, ha... Co za nabytek dla Świata! Rycerz, nauczyciel i do tego widzi stwory!

Enrique zaczął się zastanawiać, czy ten miły zakonnik nie jest szaleńcem.

- Ha, ha... Rzeczywiście ścieżki Pana są nieprzeniknione dla nas, biednych śmiertelników. Enrique de Rascón y Cornejo, uwierz mi, panie, że nie mam zielonego pojęcia, jakiemu stworzeniu się przyglądasz. A me wiem tego, gdyż ja najzwyczajniej w świecie go nie widzę. Nie, nie patrz tak, panie, na mnie! Możesz nie wierzyć, ale ja go nie widzę. I nie zwariowałem. Ha, ha, ha... Chodźmy, przedstawię cię, panie, komuś, kto będzie zachwycony, że może cię poznać.

Kiedy stanął przed Dimasem, którego przedstawiono mu jako mistrza i przeora Zakonu Świętej Cekliny, zaskoczyło go, że ten kruchy starzec zachował tak mocny głos i przenikliwe spojrzenie.

Ucałował dłoń przeora, wciąż nieufnie odnosząc się jednak do tych mnichów, którzy niemal natychmiast zaproponowali mu pozostanie na jakiś czas w nieznanym świecie.

- Wszyscy, którzy tu przebywają, są tu z własnej woli - wyjaśnił mu Dimas. - Jesteśmy młodym światem, który bardzo szybko się rozwija, i potrzebujemy takich ludzi jak ty, panie, którzy mogliby wykształcić nasze nowe pokolenia.

Przeor czekał na reakcję, jaką wywołają jego słowa.

- Mówisz, panie, że jesteś nauczycielem gramatyki. Bardzo dobrze, mamy tu dziesiątki dzieci, które trzeba wykształcić. Chciałbyś uczyć naszych młodych wychowanków? To dzieci złotników, tkaczy, powróż-ników, murarzy, którzy przybyli do Świata.

Gdy Enrique usłyszał wzmiankę o murarzach, serce zaczęło bić mu szybciej, tak głośno, iż sądził, że wszyscy to słyszą. Stracił kontrolę nad nerwami, ale zdawały się to zauważać jedynie dziwne włochate robaki pełzające w jego kierunku.

W tym momencie Enrique pojął, że właśnie wypełnił swoją główną misję. Odkrył, co się działo z zaginionymi murarzami.

- Czy jest tu majster Vicente? - odważył się zapytać.

- On i cała jego rodzina. Znasz go, panie?

Enrique pokręcił głową.

- Nie, ale słyszałem o nim. W Toledo uważano, że zaginął - powiedział wprost.

- W Toledo są, a raczej byli, bo sprowadziliśmy ich tutaj, najlepsi murarze świata. Mudeharowie, którzy uczyli się u Arabów, są mistrzami w pracy z tak prostymi materiałami jak cegła i zaprawa murarska. Ich ornamenty sławią imię Pana w każdym dziele, to najpiękniejsze budowle w całym chrześcijaństwie. A my - starcowi wyrwał się chichot - potrzebujemy najlepszych. Budujemy najpiękniejszy kościół, by złożyć w nim relikwie Świętej Cekliny, naszej patronki i opiekunki... - przeor przeżegnał się przy tych słowach. - Ale nie tylko to jest naszym celem; budujemy tu cały nowy świat.

Dimas przerwał na chwilę i zatoczył ręką koło, jakby chciał ogarnąć tym gestem budynek, w którym przebywali i całą okolicę.

- Victor - ciągnął skierowawszy wzrok na jasnowłosego mnicha - i Bernardo należą do moich ulubionych uczniów. Ponadto nikt nie umie tak jak on wyszukiwać nowych mieszkańców tego świata. To oni znaleźli w Toledo wszystkich rzemieślników, jakich potrzebowaliśmy...

Enrique pojął, że to imię nosił ów czarownik, którego poszukiwał. Ten sam, który użył magii w zaułku i z którym później sam walczył w lesie.

- Postaram się wyjaśnić ci to, panie, jak najprościej. Hmm... Wrota, przez które się tu przedostałeś, przemieszczają się niczym poryw wiatru. Najbliższe

pojawią się dopiero za jakiś czas. A to oznacza, że, choćby nie wiem jak ci się to nie podobało, chwilowo nie masz możliwości powrotu.

Dimas przerwał i wpatrywał się w nowo przybyłego, szukając jakiegoś znaku, który pozwoliłby mu ocenić, z jakiego typu człowiekiem ma do czynienia.

- Wyglądasz, panie, na dzielnego człowieka. Na pewno niepokoi cię ten dziwny świat. Ha, ha... Jeszcze nie raz będziesz, panie, zdumiony, to mogę ci obiecać. Tymczasem jednak, skoro i tak nie masz wyboru i musisz pozostać z nami jakiś czas, proponuję, byś skorzystał, panie, z naszej skromnej gościny. Uważaj się za naszego gościa. Victor poszuka ci jakiejś kwatery, do której dostarczymy ci wszystkiego, co potrzebne do życia, ale... Może zechciałbyś, panie, kontynuować swoją pracę nauczyciela? Tym razem nie będziesz musiał kształcić twardogłowych kleryków jak w Toledo, znajdziesz wśród uczniów chłonne dziecięce umysły. W klasztorze zajmujemy się naszymi wychowankami i uczniami, ale potrzebujemy kogoś, kto zajmie się dziećmi świeckich. Nad nimi ty, panie, mógłbyś sprawować pieczę. Jak się na to zapatrujesz?

Enrique zastanowił się przez chwilę.

- A mam jakiś wybór?

- Ha, ha... Oczywiście, że tak, Enrique de Rascón y Cornejo. Możesz korzystać z naszej gościnności, a jedynym twoim obowiązkiem będzie dotrzeć do czasu, gdy nadejdą najbliższe Wrota.

Dimas wbił wzrok w Enrique, w jego niezgłębione źrenice. Oczy tamtego były niebieskawe, ciemne jak

niebo w pierwszych godzinach nocy, nim rozświetlą je gwiazdy.

- Sądzę jednak, że próżnowanie to źródło grzechu, a twoja dusza, panie, nie jest leniwa, lecz raczej niespokojna. Czy się mylę, Enrique?

Nim zdążył odpowiedzieć, Dimas podjął na nowo:

- Myślę, że lubisz uczyć. Ze twój umysł jest równie przenikliwy co spojrzenie i że z radością zajmiesz się, panie, formowaniem nowych generacji, które zaludnią ten świat. Poza tym - dodał - sądzę, że czerpiesz przyjemność nie tylko z nauczania, lecz jesteś ponadto bystrym i ciekawym obserwatorem i że z chęcią poznasz ten świat i sam będziesz korzystał z wiedzy naszych nauczycieli, opanowując umiejętności, o których teraz nawet nie masz pojęcia. Zostań, panie, z nami, wykształć naszych najmłodszych uczniów, a my wykształcimy ciebie.

Dimas celowo przerwał, by przyjrzeć się reakcji swojego rozmówcy.

- Victor powiedział mi, że jesteś sprawnym rycerzem. Czy wiesz, że są wśród nas najlepsi nauczyciele sztuk walki?... Brat José umie walczyć nie tylko mieczem i szablą, jest również mistrzem w zapasach. To tajniki, które, mój drogi Enrique, dane było poznać tylko niektórym wybrańcom Bożym. Możesz stać się jednym z nich... Zgodzisz się uczyć dzieci i będziesz mógł poznać sposoby walki, o których ci się nawet nie śniło.

Enrique de Rascón y Cornejo milczał. Dimas uśmiechnął się, gdyż wiedział, jaka decyzja w nim dojrzewa.

- Po jakimś czasie być może zdecydujesz się zostać z nami na zawsze, któż to wie? Może z czasem wstąpisz do Zakonu Świętej Ceklidy... Tylko Bóg wie, jaki los ci, panie, przygotował, sprawiając, że przybyłeś do tego świata, wcale go nie szukając, niemal przypadkiem.

- To nie był żaden przypadek, ojczu. Jechał za nami - wtrącił Victor. - Ściągał Veridianę de Sanabria aż z Toledo.

- Veridianę? A co cię, panie, z nią łączy? - zapytał podejrzliwie Dimas.

Enrique starannie dobierał słowa.

Nie mógł powiedzieć, że przywiodła go tu miłość, wręcz obsesja, uczucie, jakiego nigdy nie wzbudziła w nim z taką intensywnością żadna kobieta. Dlatego wytrzymał spojrzenie przeora i odpowiedział:

- Wiąże mnie słowo, które dałem jej rodzinie. Jestem człowiekiem honoru i obiecałem im, że ją znajdę.

- Więc już to zrobiłeś, Enrique de Rascón y Cornejo. Już ją, panie, znalazłeś.

- A zatem zarządzałaś, pani, zamkiem? - zapytał z szacunkiem przeor.

Veridiana przytaknęła i dalej wpatrywała się z zainteresowaniem w staruszkę, który jak się zdawało, sprawował władzę nad tym światem. Z błękitnych oczek Dimasa była inteligencja i serdeczność. Jego długie i wiotkie siwe włosy unosiły się wokół głowy

niczym aureola. Veridiana była przekonana, że ten starzec z łatwością zjednywał sobie powszechne uznanie i szacunek. Było w nim coś szczególnego, co sprawiało, że każdy czuł w jego obecności spokój. Miał uśmiech na wargach i w oczach. Mówił pewnie, głębokim, niskim głosem.

- Wyjaśnij mi, pani, dokładnie, czym zajmowałaś się w zamku.

Zaczęła mu zatem opisywać, jak w Tuluzie zarządzała codziennym życiem twierdzy, jak dbała, by nie zabrakło zaopatrzenia nawet na wypadek srogiej zimy i wydawała polecenia służbie, tak żeby wszystko było wykonane jak należy. Opowiedziała mu o warzywniku i sadzie, o leczniczych ziołach i drzewach owocowych, a nawet o kwiatkach, które rosły w wewnętrznych ogrodach zamku. Wyjaśniła mu, jak zbudowali zagrody dla bydła, ile mieli owiec i kóz na mleko, wełnę, jak zabezpieczali skóry, mięso i tłuszcz wystarczające, by się wyżywić i wytworzyć artykuły pierwszej potrzeby. Zwierzyła mu się z kłopotów, jakie mieli, gdy myśleli, że woda w studni na głównym patio uległa zatruciu. Opowiedziała mu o garncarzu, o kuźni, o stajniach i kurnikach... Dodała wreszcie, że kiedy jej mąż wyjeżdżał, ona wydawała rozkazy żołnierzom, którzy pozostali na zamku.

W miarę jak przywoływała te wspomnienia, ta przeszłość, o której sądziła, że na zawsze ją już pogrzebała, wyłaniała się na nowo, jakby poruszyła muł, który pokrywał dno jeziora, a teraz nagle znów wypłynął na powierzchnię, tworząc obrazy wydarzeń

tak bolesnych i bliskich, jakby miały miejsce ledwie kilka dni temu.

Gdy przypominała sobie to wszystko, jakaś część jej umysłu nie mogła przestać myśleć o ogromnym szczęściu, jakie ją spotkało, o tym, że mogła poznać najwyższy autorytet nowego świata. Bowiem gdy dotarła do skrzydła kobiet, młoda nowicjuszka, odziana podobnie jak Victor w biały habit, zapytała ją, co umie robić. Odpowiedziała jej, zaczynając od umiejętności typowych dla płci pięknej: haftowania, szycia, szydełkowania, gotowania... Wzrok siostry spoczął na dłoniach Veridiany i coś musiało przykuć w nich jej uwagę, bo zapytała:

- Umiesz, pani, czytać?

- Oczywiście - odparła wyniośle.

- A pisać?

Skinęła głową bez słowa.

- Liczyć?

- W podstawowym zakresie umożliwiającym prowadzenie gospodarstwa.

Zakonnica znów skierowała swoje bystre spojrzenie na jej zadbane dłonie arystokratki.

- Gospodarstwa... dla ilu osób?

Miała już odpowiedzieć, gdy nagle zrozumiała cel tych pytań. Domyśliła się tego z tą samą niezbitą pewnością, z jaką odbierała wszystkie nowe zapachy, które zaczęły atakować jej umysł, od kiedy przybyła do tego dziwnego miejsca. Ta kobieta chciała się dowiedzieć, do czego może się przydać w Świecie!

Po drodze do klasztoru zauważyła kuźnię pracującą całą parą, mężczyzn orzących pola, praczki nad brzegiem rzeki... Nie chciała skończyć jak oni. Nie mogła! Była przecież potomkinią najstarszych i najdostojniejszych chrześcijańskich rodów Kastylii i Le-onu. Utrzymywanie się z pracy rąk to rzecz plebsu, służby! Jej nie mogli przeznaczyć do tego typu prac.

- Jestem Veridiana de Sanabria, z rodziny Sanabria z Leonu - powiedziała, uprzedzając dalsze pytania i podnosząc dumnie brodę. - Jestem panią Tuluzy, baronową de Fleurilles. - Kiedy wymieniła ten tytuł, którym nie posługiwała się od wielu lat, załapała ją fala dumy, jakiej od dawna już nie czuła. - Byłam panią na zamku w Fleurilles. Podlegał mi cały. Byłam na nim panią - powtórzyła.

Po tej odpowiedzi zakonnica zaprzestała dalszych pytań, poprosiła tylko, by Veridiana poszła z nią. Zaprowadziła ją do jakiejś sali i tam pozostawiła na dłużej.

Veridiana mogła stamtąd obserwować prace przy budowie kościoła. Przywykła do sylwetki katedry w Toledo, która też nie była ukończona, ale to, co tu zobaczyła, nie przypominało żadnego znanego jej kościoła.

Setki robotników trudziło się przy budowie. Podzielono ich na grupy, z których każda miała przydzielone inne zadanie. Dachy nie położono jeszcze do końca i część jego drewnianego szkieletu sterczała niczym wystające żebra, które czekały na pokrycie płatami ołowianej blachy.

Kilku murarzy wspinało się po rusztowaniach, które oplatały mury. Na jednym z nich obracało się drewniane koło, a system bloków wciągał do góry wielkie bryły kamienia. Inni robotnicy dźwigali po drabinach wiadra z piaskiem, wodą i wapnem, a jeszcze inni pokrywali ściany cienkim tynkiem.

Veridianie wszyscy oni wydali się pracowitymi mrówkami, którym przyświeca jeden tylko cel: wznieść jak najszybciej monumentalną budowlę, której plan zdawał się nakreślony przez najbardziej szalonego z architektów.

Wszystko to, co w Toledo było proste, tu gięło się w kapryśnych łukach. Zamiast gigantycznych bloków, znanych z kastylijskiej katedry tu wznosiły się smukłe wysokie kolumny. Budowla olśniewała smukłą i lekką sylwetką osiągniętą za sprawą niezwykłego pomieszczenia stylów, które Bóg jeden wie, jakim sposobem udało się połączyć.

Veridiana oczarowana podziwiała to dzieło, które miało królować nad nowym światem.

Wokół rozciągało się miasteczko pozornie przypominające wiele innych, choć przy uważniejszej obserwacji rzucały się w oczy pewne znamienne szczegóły. Falujące w dziwaczny sposób dachówki, zaskakująco podobne domy, obfitość krętych form, przemyślany układ symetrycznych ulic... Nawet tutejsi ludzie wydawali się jacyś inni, odziani w stroje o niezwykłych kolorach, białych i gładkich albo właśnie jaskrawo zielonych lub pomarańczowych... Wszyscy wyglądali na zamożnych kupców. Nie zobaczyła ani jednego

biedaka czy żebraka. Nie było też chorych. Zastanawiała się właśnie, gdzie ich ukryto, gdy wróciła zakonnica.

Przyszła w towarzystwie starca, który przedstawił się jako Dimas, nauczyciel i przeor w Świętej Ceklinie. Zaskoczyła ją prostota jego ubioru. Niczym się nie różnił od innych, których widziała, a jednak to ten człowiek był przecież przełożonym wspólnoty zakonnej.

W miarę jak mu wyjaśniała, na czym polegały jej obowiązki w zamku, potakiwał z łagodnym uśmiechem na twarzy. Dobrze się czuła w jego towarzystwie. Kilka razy przerwał jej, by zapytać o jakiś szczegół zarządzania.

Dopiero gdy Veridiana nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć, Dimas przejął inicjatywę.

- Bardzo ciekawe, tak, tak, Veridiano de Sanabria. Podoba mi się sposób, w jaki opowiedziałaś mi, pani, o swoich obowiązkach. Jakież logiczny tok myślenia. Zdyscyplinowany umysł... A to bardzo cenię.

Veridiana skromnie spuściła wzrok.

- Powiedziano mi, że przybyłaś tu, pani, z Bernardem i bratem Victorem - ciągnął, jakby postanowił zmienić temat. - Obaj należą do moich najbardziej zaufanych ludzi. Im właśnie powierzam sprawy najwyższej wagi. Mój drogi Bernardo musiał natychmiast wrócić do Toledo. Mamy problem..., hm...
- zawahał się chwilę nad doborem odpowiedniego słowa - z pewnym tłumaczeniem problemu, którego nie zdołaliśmy dotychczas rozwiązać. Tam u was czas biegnie

zbyt szybko - zauważył, że odbiega od tematu i powiedział:
- Victor jest moją prawą ręką, moim zastępcą, ale pracuje też nad tym tłumaczeniem i dlatego nie może teraz zajmować się wszystkimi sprawami, które normalnie do niego należą. Nasz świat rozwija się bardzo szybko, a sama widzisz, że ja mam już swoje lata. Tak... - Dimas wbił wzrok swoich jasnych oczu w Veridianę - zastanawiasz się, pani, pewnie, dlaczego o tym wszystkim mówię. A zatem, moja droga Veridiano, potrzebuję kogoś, kto zastąpi Victora w niektórych obowiązkach. Kogoś, kto miałby doświadczenie w zarządzaniu wieloma ludźmi.

Veridiana ugryzła się w język, by nie krzyknąć, że jest gotowa się tym zająć.

- Jesteś pani kobietą, ale to wcale mi nie przeszkadza, a nawet mnie cieszy. Wiem z doświadczenia, że kobiety mają lepiej rozwinięty zmysł praktyczny, a właśnie tego tu potrzeba najbardziej.

Dimas uśmiechnął się.

- Oto moja propozycja; przekonamy się, czy cię to pani zainteresuje. Będziesz mi towarzyszyć we wszystkich zajęciach przez kilka najbliższych dni. Będziesz mi towarzyszyć, posłuchasz, pouczysz się, powiesz, co o tym wszystkim myślisz. Ja trochę lepiej poznam cię, a ty, pani, mnie i Świat. Jeśli uznam, że jesteś zaradna, a tak właśnie wnioskuję z tego, co usłyszałem w naszej rozmowie, mogłabyś przejąć dużą część zarządzania. Co o tym myślisz?

Veridiana odważyła się popatrzeć mu w oczy, a widząc jego czyste i dobre spojrzenie, zrozumiała, że może mu zaufać. Nie wiedzieć skąd poczuła pewność, że właśnie przeżywa kluczowy moment swojego życia. Jakby wszystko to, co wydarzyło się wcześniej, było nieistotną zabawą, trwonieniem czasu, snem, który przygotowywał ją na tę właśnie chwilę, w której mogła przejrzeć się w oczach Dimasa.

Wiedziała, że właśnie nadchodzi najlepsza część, coś, czego jeszcze nigdy nie przeżyła, i że jej miejsce na ziemi już na nią czeka. Spróbowała zapanować nad emocjami, które wybuchły w niej z całą gwałtownością, i ukryć ogarniające ją podniecenie. Szepnęła nieśmiało:

- Jestem do twojej dyspozycji, ojcie. To zaszczyt, że rozważasz powierzenie mi tak wielkiej odpowiedzialności.

- Udowodnij mi, pani, że się nie mylę, pokaż ile jesteś warta, a służąc temu światu, będziesz służyć Bogu.

- Postaram się, obiecuję - szepnęła i ucałowała jego dłoń.

Enrique zaczął się powoli przyzwyczajać do tego niezwykłego świata, a zwłaszcza do dziwacznych stworzeń, które nie wszyscy mogli zobaczyć.

Bracia Świętej Cekliny mówili, że ci, którzy je widzą, są obdarzeni przez Boga szczególną łaską. Jednak on sam nie czuł się lepszy z tego powodu.

Przeciwnie, za każdym razem, gdy się na nie natykał, ogarniało go zdumienie przemieszane z lękiem.

Jeśli miał szczęście i akurat znajdował się w towarzystwie kogoś, kto również je widział, wypytywał o ich naturę i zwyczaje. Wyjaśniali mu wtedy, jak się nazywają i czym żywią.

A były niezwykle, żywiły się bowiem ludzkimi emocjami.

Z przerażeniem obserwował *osty*, przyciągane przez strach i obawy, podobne ślimakom zwierzęta, które pełzając zostawiały za sobą smugę śluzu, choć w odróżnieniu od prawdziwych ślimaków przemieszczały się z zawrotną szybkością. Te odrażające istoty były najpowszechniejsze lub też, jak mu się czasem zdawało, szczególnie go sobie upodobały, gdyż jego najczęstszymi emocjami były lęk, zdziwienie, podniecenie...

Czuł się nieswojo na myśl, że te tłuste stwory żywią się jego najskrytszymi obsesjami. Kiedy patrzył na lepkie resztki, jakie za sobą zostawiały, przychodziło mu na myśl, że były zbiorniczkami strachu w czystej postaci.

Dużo lepiej się prezentowały *dylagi*, które często krążyły wokół Victora. Zmieniały kolory tak szybko, że czasem aż trudno mu było je rozpoznać. Purpurowe *brumy* pojawiały się, gdy ogarniał go smutek. Były jeszcze *ody*, rodzaj owadów o błyszczących skrzydłach, które latały wokół dzieci i młodzieży, przyciągane ich nieokiełznaną energią.

Stopniowo Enrique przyzwyczajał się do istnienia tych stworzeń i do zapachów, które z początku

przyprawiały go o zawrót głowy. Nauczył się określać, skąd pochodzą - czy z drzew łudzaco podobnych do korkodębów, czy z żółtych gwiazdzistych kwiatków, czy też z soczystych czerwonych owoców, zwieszających się z pni. Podczas swych spacerów nauczył się rozpoznawać woń górskiej wody, która docierała w dolinę przesycona zapachem napotkanych na drodze skał, roślin i zwierząt.

I choć jego umysł opierał się przed tym, musiał wreszcie przyjąć do wiadomości, że znajduje się w innym świecie. Ze w jakiś sposób przeniesiono go do nowej rzeczywistości, która dostarczała mu zupełnie nieznanymi wcześniej doznań, zanurzając w nieokiełznanej energii życiowej, którą nie całkiem rozumiał, ale która czyniła go lekkim, dodawała sił i napełniała przekonaniem, że dokona wszystkiego, czegokolwiek zapragnie.

Wreszcie pogodził się z tym, że jest więźniem tego świata i że chwilowo nie może go opuścić. Wszyscy tłumaczyli mu, że oba światy komunikują się za pomocą czegoś w rodzaju ruchomych wrót. Jedne z nich dopiero co przeszły. Następne pojawią się w Świętej Ceklinie dopiero za jakiś czas i dopiero wtedy będzie musiał zdecydować, czy zostaje tutaj, czy wraca do Toledo.

W tej sytuacji Enrique dał się pochłonać codziennymi zajęciami i modlitwie, w której znajdował pociechę, gdy ogarniała go tęsknota i wątpliwości, a wokół krążyły pragnące się pożywić jego strapieniem *brumy*.

Umieszczono go w miejscu przeznaczonym dla osób będących w tym świecie jedynie przejazdem. Na razie był tam jedynym gościem.

Dom prowadziło starsze bezdzietne małżeństwo. Oboje byli milczący i niekiedy znikali na długie godziny. Enrique nie miał pojęcia, co wtedy robili.

Codziennie rano uczestniczył we mszy w małym kościółku przy klasztorze. Zawsze z nadzieją, że wreszcie spotka Veridianę. Wiedział, że mieszka z zakonnkami w żeńskim skrzydle, w drugiej części miasteczka.

W świątyni czuł jej subtelną obecność. Był pewien, że słucha mszy wraz z innymi kobietami, zza zasłony na chórze. Jednak nigdy nie zdołał jej dojrzeć. Czasem zastanawiał się, czy ona czuje jego obecność tak samo jak on jej i czy próbuje go czasem odszukać wzrokiem wśród tłumu wiernych. Kiedy indziej uważał za pewne, że Veridiana nie żywi względem niego żadnych szczególnych emocji, a jego niepokoje są śmieszne... Ot, typowe rozterki zakochanego.

Zawsze po mszy szedł do „szkoły”. Był to skromny budynek, pod którego dachem położono na ziemi kilka pni, i to na nich dzieci siadały niczym na ławkach. Najmłodsze nie miały nawet czterech lat, najstarsze były już w stanie zarobić na utrzymanie.

Dzieci zaopatrzone w woskowane tabliczki do pisania. Zaczynał kurs od nauki liter. Gdy widział, że uczniowie są już zmęczeni, zarządzał lekcję śpiewu.

Dimas go przejrzał. Enrique rzeczywiście bardzo lubił uczyć dzieci. Nieraz czas umykał mu jak z bicza

strzelił i nagle okazało się, że nie wiedzieć kiedy nadeszła pora obiadu.

Popołudnia były zupełnie inne niż spokojne poranki. Enrique szedł wtedy do klasztoru i przyłączał się do braci, którzy ćwiczyli sztuki walki wywodzące się, jak mu wyjaśnili, ze Wschodu.

Nigdy jeszcze nie widział, by ktoś walczył tak jak mnisi ze Świętej Cekliny. Wojownicza część natury Enrique cieszyła się, gdy poznawał te nowe techniki w tak odmienny sposób pozwalające stawić czoła napastnikowi.

Jego preceptor 1, brat José, wyglądał niczym posąg wyrzeźbiony w drewnie. Szczupły i śniady, gdy podkasywał habit, ukazywał mięśnie jak z żelaza. Enrique nie potrafiłby określić jego wieku, równie dobrze mógłby mieć trzydzieści, co pięćdziesiąt lat.

Enrique odkrył, że walki te pomagają mu zapanować nad energią, której miał w nadmiarze. Przepelnione siłą ciało i duch odnajdywały równowagę i spokój w wyczerpujących ćwiczeniach, które modelowały jego mięśnie.

- Ej, Enrique - prowokował go José - pokaż mi, że twoja ręka udźwignie coś więcej niż rylec do pisania i woskowaną tabliczkę.

I czekał spokojny, nie spuszczać z niego wzroku, niczym sokół obserwujący upatrzoną ofiarę. Wtedy Enrique nacierał, a José obracał siłę tego ataku przeciwko niemu.

- Jedynym sposobem, by zwyciężyć, Enrique, jest nie atakować. Ale jeśli już mnie atakujesz... to chociaż mnie muśnij! - drwił sobie wesoło.

Enrique bezskutecznie ponawiał jedną próbę po drugiej.

Musiał długo przyglądać się, jak walczą bracia, i powtórzyć tysiące razy ich ruchy, nim zdołał opanować niektóre z nich.

- Bardzo dobrze, Enrique. Dojrzewasz jak wino w beczce. Potem się okaże, czy stałeś się kwaśnym octem, czy wytrawnym trunkiem... Jeśli uda ci się mnie pokonać, nauczę cię takich sztuczek, o jakich nawet ci się nie śniło - podjudzał go José.

- Wiem, że daje brat lekcje wieczorem w innej grupie - wysapał któregoś dnia Enrique, wyczerpany serią ćwiczeń. - Chciałbym się do was przyłączyć.

- Nie każdego tam przyjmuję, Enrique. To prawda, że masz dar od Boga, dzięki czemu zdołasz rozwinać moce, których na razie nawet nie możesz sobie wyobrazić... Ale, żeby awansować do tamtej grupy, musisz mnie pokonać.

Na twarzy brata José odmalował się szeroki uśmiech, który Enrique wydał się niemal szatański. Owszem, mógł sobie wyobrazić te moce. Widział przecież, co Bernardo zrobił w zaułku.

- Nic nie mów, Enrique - spojrzał mu prosto w oczy. - A może się boisz?

- Oczywiście, że nie - odparł dumnie.

Mały *ret* nadbiegł nie wiadomo skąd, by nacieszyć się tym uczuciem.

José udał, że wybucha śmiechem.

- W takim razie nie jesteś jeszcze gotowy. Gdy zaczniesz się bać... Wtedy co innego.

Enrique ciarki przeszły po plecach. Czy w ogóle chciał dysponować takimi mocami, jakie miał Bernardo? Przyjrzał się Josému. Wydawał się miły i serdeczny. Czy on też potrafił robić takie rzeczy? Ten śniady, szybki i nieludzko zręczny mężczyzna mógł mieć nadzwyczajne moce? Czy naprawdę on sam jest w stanie dokonywać podobnych sztuk jak te, które widział w Toledo?

Enrique zacisnął pięści do bólu. Czuł, że dzięki sile, która przepelniała go, od kiedy przybył do tego świata, będzie w stanie osiągnąć wszystko, czego zapagnie.

Strach? Nie czuł strachu. Raczej niecierpliwość. Nie mógł się doczekać, kiedy się dowie, do czego jest zdolny, a zwłaszcza jak owe zdolności wykorzystać. Nie mógł się doczekać, kiedy pokona Joségo i pozna te wszystkie tajniki.

Jego obsesja na punkcie Veridiany została nieco przytłumiona codziennymi czynnościami, które zajmowały mu czas i myśli. Lecz pewnego ranka, gdy wracał do miasteczka, poczuł, że kobieta jest gdzieś blisko. Tak jakby z dala doleciał go jej zapach.

Poszedł za nim, niczym pies gończy, aż zobaczył ją koło budowy kościoła wraz z Dimasem i Victorem.

Suwie, te włochate robaki, natychmiast pojawiły się w pobliżu, wyczuwając jego ekscytację. Wiedział, że Victor ich nie widzi, ale nie miał pojęcia, jak to jest z Dimasem i czy na ich podstawie zorientuje się w jego uczuciach.

Enrique podszedł do niej pospiesznie, z pełnym szacunku lękiem, którego nie potrafił ukryć. Nim zdążył ich przywitać, Dimas odwrócił się, jakby doskonale wiedział o jego obecności.

- Dobry wieczór, Enrique de Rascón y Cornejo. Veridiana obejrzała się na dźwięk tego imienia. Bardzo się zmieniła. Nie przypominała już tamtej

kruchej kobiety, która mdlała mu prosto w ramiona przed katedrą w Toledo. Nie wiedział czemu, ale wydała mu się teraz bardziej energiczna i pewna siebie. Być może wrażenie to wywołała jej dumna postawa lub spojrzenie błyszczących oczu, od którego coś ścisnęło mu się w żołądku.

Uklonił się przed nią z tym samym szacunkiem co w owym dniu, gdy przyniósł ją na rękach do domu.

- Veridiano... Jakże się cieszę, że mogę cię widzieć całą i zdrową. Twoja rodzina bardzo się o ciebie martwi, pani.

Słyszając, że mówi o ukochanych osobach, które zostały tak daleko, nie potrafiła powstrzymać się od pytania:

- Co u nich?

- Gdy widziałem ich ostatnio, wszyscy mieli się dobrze. Twoje, pani, zniknięcie było jedynym cieniem na ich szczęściu.

Victor i Dimas przysłuchiwali się w milczeniu.

- Dlaczego nie wróciłaś do domu? - spojrzał na Victora, jakby się wahał, czy wypowiedzieć na głos dręczące go wątpliwości, które dotychczas zachowywał dla siebie. - Czy może ktoś ci to, pani, utrudnił, po owym napadzie w zaułku?

Veridiana uśmiechnęła się.

- Och nie, nic podobnego. Victor i Bernardo opiekowali się mną, póki nie wróciłam do zdrowia. - Gdy wypowiadała te słowa wydawało jej się, że od tamtych zdarzeń upłynęły całe wieki. - Było ze mną bardzo źle, jak sądzę.

- Dzięki Bogu wszystko dobrze się skończyło - powiedział Victor ostrożnie.

- Dzięki Bogu i opiece Bernarda - uzupełniła. Na wzmiankę o czarowniku Enrique zamarł. Myśl,

że tamten jej dotykał i wypróbowywał na niej swoje magiczne sztuczki, zmroziła go. Na chwilę błękitne oczy Veridiany zaszyły mgłą. Enrique był niemal pewny, że niewyraźne purpurowe *brumy* zaczęły kręcić się w pobliżu.

- Enrique, jak się mają moi bratankowie? Kiedy widziałeś ich po raz ostatni? - zapytała niecierpliwie.

- Rosną zdrowo. Miałem okazję bliżej ich poznać po twoim, pani, zniknięciu. Chcę przez to powiedzieć... Tęsknią za tobą... - zakończył.

Spuściła wzrok.

- Ja też za nimi tęsknię. Choć przyjechałam tu z własnej woli, bardzo za nimi tęsknię! Ale nie

mogłam zostać dłużej w Toledo, to było zbyt niebezpieczne dla mojej rodziny...

- Czasem trzeba coś poświęcić, żeby zyskać coś innego. Każdy wybór oznacza rezygnację z czegoś - wtrącił Dimas.

- Możemy tylko prosić Boga, by dał nam wystarczającą jasność umysłu do rozpoznania właściwej drogi - dodał Victor.

Veridiana zaczerpnęła tchu.

- Choć tęsknię za nimi, jestem pewna, że dobrze wybrałam - wyznała. - Nie żałuję, że tu przybyłam. Tu jest wszystko, czego potrzebuję.

Jej wzrok zatrzymał się przez chwilę na Victorze i Enrique odniósł wrażenie, że słyszy, jak jej serce mocniej uderzyło.

Zwrócił wtedy uwagę na oczy Veridiany, równie czyste, co u mnicha, a widząc blask, który rozbliły na moment w jej źrenicach, nabrał przekonania, że to: „wszystko, czego potrzebowała” odnosiło się tylko i wyłącznie do Victora. Jakieś owady o świetlistych skrzydełkach bzyczały jej nad głową.

Enrique usiłował nie pokazać po sobie, że coś zauważył.

- Kiedy widziałeś ich, panie, po raz ostatni? - powtórzyła Veridiana.

Starął się odzyskać panowanie nad sobą i wrócić do przerwanej rozmowy, jak gdyby nic nie dostrzegł. Zastanawiał się, czy ktoś poza nim widzi fruującego przy nim *grecka*, ewidentny dowód zazdrości, jaką poczuł.

Zanim odpowiedział Veridianie, uświadomił sobie, że ten ostatni raz, o który go pytała, miał miejsce w dniu, gdy zobaczył ją podpatrującą swoich bratanków przez bramę. Zrozumiał, że to było jej pożegnanie i że owo wspomnienie wciąż jeszcze ją boli.

- Na świętego Marka - skłamał. - Twoi bratankowie mają się doskonale.

- Wszyscy z czegoś rezygnujemy i zostawiamy coś za sobą - powiedział Dimas, widząc zamglone spojrzenie Veridiany. - My, którzy idziemy drogami Pana, dobrze o tym wiemy. Może dla ciebie, pani, to jeszcze trudniejsze. Ale obiecuję, że zrobimy wszystko, byś uznała to miejsce za swój prawdziwy dom.

Dimas przez chwilę patrzył na Veridianę, a potem odwrócił się do Enrique.

- Dom dla wszystkich. Bo mam nadzieję, że ty, panie, również odnajdziesz tu swoje miejsce.

- Dziękuję, ojcie. Wszyscy są dla mnie bardzo mili

- Enrique nie umiał dłużej znieść wzroku Veridiany.

- Zawsze jestem do twych usług, pani - zakończył, zwracając się do niej.

- Niech Bóg ma cię w opiece.

Pożegnał się lekkim ukłonem, odwrócił i ruszył przed siebie.

Gdy się oddalał, usłyszał, jak podejmują przerwana wcześniej rozmowę, która ku jego zaskoczeniu dotyczyła olbrzymich ilości wody, piasku i wapna.

Gdy dotarł na lekcję u Joségo, krew jeszcze w nim wrzała.

- Twój duch jest bardziej bojowy niż zwykle! - powiedział mu mistrz, gdy zaczęli walkę.

Enrique z impetem wymierzył mu kopniaka, którego tamten zdołał uniknąć tylko z najwyższym trudem.

- Tym razem byłeś blisko, jednak jeszcze mnie nie dotknąłeś.

José posłał mu jeden ze swoich ironicznych uśmiezków.

Stał naprzeciw Enrique, z zakasanyimi rękawami, ukazując swe muskularne, jakby wytoczone z ciemnego drewna ramiona. Nosił taki sam biały habit jak Victor. Jego uśmiech, który nigdy nie przeszkadzał adeptowi, dziś wyjątkowo go drażnił.

Enrique poczuł, że teraz najchętniej rozszarpałby każdego, kto nosi taki habit, i spróbował założyć swojemu mistrzowi obezwładniający chwyt. José złapał go za rękę i powstrzymał. Enrique poczuł przy tym ruchu, że powietrze stało się cięższe i gęstsze.

José trzymał go mocno, ale młodzieniec czuł między nimi bardzo małą przestrzeń wypełnioną tym gęstym powietrzem. Użył tej bariery jako dźwigni i przerzucił Joségo do przodu.

Ku własnemu zdumieniu mistrz wyleciał do góry z dużo większą siłą, niż mógł się spodziewać, i grzmotnął w ziemię kilka metrów dalej. Przerzut zaskoczył mnicha, który nawet nie zdążył krzyknąć, nim poszybował w powietrze.

Enrique podbiegł do niego, by pomóc mu wstać.

- Przepraszam! Przepraszam! Nie chciałem... José najwyraźniej uderzył się w podbródek, na którym szybko pojawiła się plama brunatnej krwi.

- Enrique - wymamrotał, wstając z pomocą swojego przeciwnika - wreszcie ci się udało! Pokonałeś mnie.

- Nie chciałem... Nie sądziłem, że...

José przycisnął do skaleczenia rękaw habitu.

- Nic takiego. Muszę się z czymś takim liczyć... Zresztą zagoi się. Skąd wzięłeś tyle siły, Enrique?

Mistrz przyjrzał się błyszczącym oczom młodzieńca i ciemnym płaskim robakom, które przez cały wieczór trzymały się koło niego.

- Skąd ta wściekłość? - uściślił.

- Przykro mi - powtórzył młodzieniec. - Nie powinienem wyładowywać w ten sposób moich rozczarowań.

- To prawda... Ale spójrz tylko, co osiągnąłeś, Enrique! Twoja siła kryła się w gniewie. Posłuchaj mnie dobrze - wyglądało na to, że upadek wprowadził Joségo w euforię. - Oddychaj głęboko, oddychaj i wchłaniaj tę wściekłość. Zaczepnij z niej siłę i poczuj ją. Oddychaj głęboko!

Enrique domyślił się, że José mówił do niego o tym gęstym powietrzu, które poczuł chwilę wcześniej. Nappełnił płuca. Nagle przebiegł go dreszcz, bo doznał wrażenia, że wciąga w siebie coś gęstego i ciastowatego niczym błoto. Jakaś lepkość wchodziła w niego, zalewała go, dusiła!

José złapał go za ramię.

- Nie bój się! Nie próbuj tego wyksztusić. Oddychaj tą siłą, Enrique. To jest twoja własna esencja.

Panika, która teraz ogarnęła młodzieńca, była niemal tak samo namacalna jak tamta ciężka, ciemna substancja. Oddychał ciężko, łapiąc powietrze otwartymi ustami. Miał wrażenie, że zaraz się udusi.

- Poczuj moc i zatrzymaj ją. Spokojnie. Powolutku, o właśnie... Widzisz? Nic złego się nie dzieje...

Enrique nieco się uspokoił. Czuł podtrzymującą go rękę Josého i to nappełniło go otuchą.

- Teraz, gdy odkryłeś, skąd pochodzi twoja siła, szkolenie jest zakończone. Dopiero od tego momentu zaczniesz walczyć naprawdę, bracie. Jeśli zechcesz, oczywiście. Chcesz wiedzieć, co w tobie jest, Enrique?

We wszystkich członkach czuł tę gęstą moc, czuł, że całe ciało mu drży i aż pali się z niecierpliwości, by użyć nowej siły.

- Chcę, oczywiście, że chcę - mruknął.

- W takim razie chodź ze mną. Właśnie zaczął się nowy etap twojej formacji.

O naturalnym porządku rzeczy
i nowych towarzyszach Veridiany

Chce ojciec powiedzieć, że nie ma nikogo nad sobą?

- Martwi cię to, pani?

Veridiana zawahała się, nim odpowiedziała. Nagle jej najgłębsze przekonania zachwiały się.

- Ale czyż naturalny porządek rzeczy nie jest taki, że władza spoczywa w ręku króla?

Dimas skinął głową, ale nic nie odpowiedział. Czekał chwilę ciekaw, co jeszcze powie Veridiana. Ona jednak zachowała milczenie.

- Powiedz mi, droga Veridiano, czyż królowie nie muszą także podporządkować się prawom boskim?

- Oczywiście... Ale naturalny porządek świata jest taki, że Bóg jest ponad wszystkim i wszystkimi, potem papież, władcy, niżej arystokracja i na koniec zwykli śmiertelnicy...

- Posłuchaj mnie uważnie, droga Veridiano. Masz rację. Taki jest porządek rzeczy i zawsze tak było. I bardzo możliwe, niemal pewne, że gdybyśmy rozmawiali na ten temat parę lat temu, powiedziałbym co innego niż powiem ci teraz. Widzisz... Pierwszymi mieszkańcami tego świata byliśmy my - zakonnicy ze Świętej Cekliny i siostry z Las Inviernas. Życie w nowym świecie zorganizowaliśmy więc na wzór klasztornego.

Dimas usiadł na przydrożnym kamieniu. Wyglądał na bardziej zmęczonego niż zwykle.

- Przeor i mistrz Zakonu to najwyższe stanowisko w naszej hierarchii. Gdy Bóg powierzył mi to zadanie, nie sądziłem, że przyjmując je, biorę na swe barki również odpowiedzialność za życie tylu ludzi...

- A później? Co się stało, gdy świat zasiedlili kolejni mieszkańcy?

- Słuchają oni przede wszystkim praw boskich, a w następnej kolejności praw Zakonu. Cały czas próbujemy też tworzyć prawa miejskie, podobne do tych, które obowiązują w tamtym świecie. Zatwierdzi je rada. Rada złożona jest z najbardziej doświadczonych członków Zakonu i przedstawicieli ludu. Poznam cię, pani, ze wszystkimi. Jaki może być przywilej większy niż nasza wolność? Ale, powiedz mi, Veridiano, czemu interesują cię kwestie, powiedzmy, polityczne? Umysł kobiecy rzadko zajmuje się tymi sprawami.

Veridiana skromnie spuściła wzrok.

- Dziś rano zastanawiałam się nad tymi sprawami. I nagle przyszło mi do głowy: „A król? Kto jest królem tego świata?”.

- Och, Veridiano! Przez jakiś czas wahałem się, przyznaję, czy nie powinniśmy zawiadomić króla i Ojca Świętego o naszym odkryciu. - Dimas westchnął, jakby mówienie o tym sprawiało mu ból. - Ale wiesz co? Królowie i papieże to tylko ludzie, tacy sami jak ja, skromny przeor, który został mistrzem Zakonu, nie szukając tego zaszczytu... A my ludzie, Veridiano, jesteśmy niedoskonali. Czasem zaślepia nas pycha, ambicja, nienawiść, zawiść... Ludzka natura od wieków nosi w sobie te ułomności i grzechy, a jednak na tym, zapewniam cię, opiera się nasza wielkość, bowiem jesteśmy ich świadomi i możemy z nimi walczyć.

Dimas pogładził ręką chropawą powierzchnię kamienia, jakby dotykał własnej niedoskonałej duszy.

- Poznać własne słabości to pierwszy i konieczny krok, by nad nimi zapanować. My, bracia i rycerze Świętej Cekliny, w pokorze pracujemy nad tym co dzień modlitwą i uczynkami, w nadziei, że w ten sposób zbliżamy się coraz bardziej do Naszego Pana i jego doskonałości; staramy się przewyciężyć nasze wady i odeprzeć pokusy, jakie szatan nam podsuwa.

Błękitne oczka Dimasa szukały zrozumienia u Veridiano.

- Zakon Świętej Cekliny szuka prawdy i niestety właśnie z tego względu musieliśmy stawić czoła możnym, królom, a nawet samemu Ojcu Świętemu. Wszyscy oni są tylko ludźmi nękanymi przez ambicję i chciwość. Musieliśmy uciec przed nimi i ich władzą. Niech Bóg mi to wybaczy! I niech mi też wybaczy,

bo uważam, że póki nie mamy przywódcy, który zasługiwałby na tę rolę, póty lepiej, byśmy żyli na uboczu, w naszej małej społeczności, kierującej się prostymi prawami Bożych sług... Dimas poklepał kamień.

- Usiądź tu...

Posłuchała go i usiadła posłusznie.

- Doszło mych uszu, że od dawna się, pani, nie spowiadasz... Jaki grzech cię gnębi?

Popatrzyła na rozciągającą się przed nimi łąkę i trawy pochylane przez wiatr. Nie miała odwagi spojrzeć przeorowi w oczy.

Przez wszystkie te dni, które spędzili wspólnie, nabrała do niego zaufania. Podziwiała jego prawy charakter i szczere zainteresowanie losem innych. Chwilami wydawało się jej, że czyta w cudzych duszach niczym w otwartej księdze.

- Jestem najbardziej niedoskonała ze wszystkich... Ja... ja...

Przygryzła sobie wargę. Nie potrafiła wyznać mu, że od kiedy przybyła do Świata, przepęlnia ją jakaś nieokiełznana moc i czasami ma wrażenie, że za chwilę wybuchnie i rozpadnie się na tysiąc kawałków niczym gliniany dzban, który upadł na ziemię. Ze nęka ją miłość do Victora, podsycana jego bliskością, która w połączeniu z tą energią wprawia ją w stan jakiegoś zmysłowego podrażnienia.

Starła się to ukryć, ale Dimas był mądrym człowiekiem i znał dobrze ludzką naturę.

Veridiana westchnęła.

- To... to pycha - skłamała, mając nadzieję, że jej uwierzy. - Od kiedy tu przybyłam... Ojciec dobrze wie, że jestem szlachetnie urodzona, w mojej rodzinie nigdy nie było krwi żydowskiej ani muzułmańskiej. Byłam... Jestem baronową de Fleurilles i czuję się lepsza od innych, od prostego chłopstwa i mieszczan. Coraz bardziej...

- Jesteś, pani, dumna i ambitna.

Skinęła głową, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy.

- Poza tym ojciec wyznaczył mnie do pomocy, a to sprawia, że czuję się zadowolona z siebie... To też pycha, ojcze.

- Pamiętasz pani świętego Franciszka? Był synem dobrej, zamożnej rodziny i zrezygnował z tego wszystkiego, by stać się najskromniejszym z ludzi i służyć Bogu.

- On był świętym! A ja jestem tylko słabą kobietą.

- Kobietą o bystrym umyśle. Bóg obdarzył cię, pani, żywą inteligencją, którą musimy dobrze spożytkować. Chcę ci coś zaproponować...

Dopiero wtedy nieśmiało podniosła na niego wzrok.

- Kiedy te uczucia... Kiedy pycha napływa, módl się, pani, i szyj. Bezczyne kobiece ręce są źródłem grzechu. Jestem pewien, że lubisz typowo kobiece zajęcia?

- To prawda.

- Wiem, gdzie spotykają się najzręczniejsze krawcowe i hafciarki. To skromne kobiety, a cóż może być lepszego dla ciebie niż uczyć się od nich skromności

i jednocześnie zająć ręce. Szycie doskonali charakter kobiety. Będiesz, pani, szyła z nimi.

Veridiana przypomniała sobie Isabel i Marię, ich spokojne popołudnia nad tamborkiem, na chłodnym toledańskim patio. Nagle zdało jej się, że znów czuje zapach drewna, woń domu sąsiadki. Niemal usłyszała okrzyki bawiących się bratanków. Wrażenie było tak intensywne i namacalne, że gdy otworzyła oczy, rozejrzała się, szukając ich wzrokiem w pobliżu. Samotna łza spłynęła jej po policzku.

- Dziękuję, ojcze. Dziękuję ci z całego serca.

Jej skromna cela zaopatrzona była w małe okienko, przez które wpadała z rana jedynie wąska smużka światła.

Od kiedy Veridiana tu przybyła i roztoczył się przed nią wachlarz nowych doznań, z większą niż kiedykolwiek ochotą bawiła się drobinkami kurzu. Stało się to równie silną potrzebą, jak oddychanie i jedzenie. Jeśli tego nie robiła, uczucie, że w każdej chwili może eksplodować i rozpaść się na tysiąc kawałków, potęgowało się i rozpierało ją jak mydlaną bańkę.

Przez całe życie utrzymywała w tajemnicy swoją zdolność do poruszania drobin kurzu samą tylko siłą woli. Ich ruchy zawsze były wolne, leniwe, niczym ludzie podczas sjęsty w skwarne letnie popołudnie. Ale od kiedy przebywała w Świecie, pyłki poruszały się z szybkością, którą kontrolowała z najwyższym

trudem. Tworzone przez nią wiry kręciły się w zawrotnym tempie. Dawna zabawa przypominała teraz raczej gwałtowny i niemożliwy do opanowania taniec.

Z drobinami kurzu stało się to samo co z nią. Wymknęły się spod kontroli.

Intensywność, z jaką doznawała każdego koloru, zapachu, uczucia, zwielokrotniła się tysiąckrotnie.' Coraz trudniej było jej panować nad sobą. Trochę pomagała jej w tym modlitwa, powolne, głębokie oddychanie, a przede wszystkim szycie.

Gdy zaczęła haftować z kobietami wskazanymi jej przez Dimasa, zauważyła, że jej niepokój nieco zelżał. Palce wykonywały precyzyjnie dobrze znane, powtarzane po tysiąckroć ruchy, co, nie wiedzieć czemu, chroniło ją przed tą nieokiełznaną siłą, która się w niej zagnieździła.

Nie mogła się doczekać wieczora, kiedy zajmowała się tymi pracami. Dimas uprzedził ją, że jej towarzyszki są prostymi kobietami. Za pierwszym razem, gdy je zobaczyła, zaskoczyło ją, że jak wszyscy tutaj, ubierały się jak żony bogatych kupców. A jednak bardzo się różniły od jej dawnej sąsiadki Isabel.

Była to niejednolita grupa, w której spotkała Juanę, żonę majstra Vicentego; z racji funkcji męża czuła się ona ważniejsza i narzucała tematy rozmów. Z drugiej strony poznała też żonę stolarza, powroźnika, a nawet trzy ubogie chłopki, których specyficzną gwarę początkowo z trudem rozumiała.

Veridiana czuła, jak bardzo się od nich różni. Juana wydawała się mieć nieco więcej oglądy, ale pozo-

stałe... Pochodziły z zupełnie innej warstwy. Były grubiańskie i prymitywne, mówiły z dziwnym akcentem, co sprawiało wrażenie, że nie wymawiają wyrazów do końca. Nie miały pojęcia o zachowaniu w towarzystwie, ich maniery były proste i nieokrzesane.

Veridiana wiedziała, że Dimas chciał, by poskromiła swoją dumę, przebywając z nimi. Dlatego starała się stanowić część grupy. Jednak jej wypowiedzi i dobre wychowanie wyróżniały się niczym perła w ziarnach piasku.

Ponieważ szycie sprawiało jej przyjemność, skupiała się na pracy i w milczeniu słuchała rozmów tych kobiet, które, jak się zdawało, były ze sobą bardzo zżyte.

Mówiły swobodnie i bez ogródek o swoich sprawach rodzinnych i codziennych, które jej zdaniem nie nadawały się do komentowania w większym gronie lub, najzwyczajniej w świecie, były po prostu nudne.

Pierwszego dnia zasypały ją pytaniami i uczyniły to bez najmniejszych oporów. Przedstawiła się jako Veridiana z Toledo. Natychmiast zapytały ją o męża.

- Jestem wdową - odparła spuszczać wzrok.

- Co za nieszczęście!

- Aj tam, zara nieszczęście! Zależy kiego chłopca miała! Veridiana, źle ci to bez niego?

Nie tylko mówiły do niej na ty, ale jeszcze zadawały pytania, jakich ona sama nigdy nie odważyłaby się zadać nawet osobie, z którą byłaby w największej zażyłości!

Veridiana chwilę się zastanowiła, nim odpowiedziała z wahaniem.

- Straciłam męża... Jego pozycja... Byłam panią na... - i nim zaczęła wyjaśniać tę zawiłą historię, zdecydowała się powiedzieć tylko najważniejsze.

- Zresztą na jedno wychodzi! Kiedy on umarł, straciłam moją pozycję.

- Aleś go kochała? - dociekały niezrażone.

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedź przyszła dużo szybciej, niżby sobie tego życzyła.

- Przeca to żadna strata - ciągnęła chłopka. - Ktoś ta was pewno przygarnął, jaki wuj czy ciotka? Abo brat?

- Brat...

- A dziecki?

- Nie mam dzieci...

Kobiety zamilkły wobec tej nowiny.

- Bóg nie dał nam dzieci - dodała Veridiana, chcąc wypełnić słowami nagle zapadłą niewygodną ciszę.

- Ale mam bratanków. Dwoje. W Toledo. Bardzo za nimi tęsknię! - wyznała.

Mimo woli oczy zaszły jej łzami.

- Trudno jest zostawić swoich. Bardzo tęsknię za moim rodzeństwem i siostrzeńcami... Za całą rodziną. Co dzień o nich myślę. Co dzień... - powiedziała żona majstra Vicentego Juana, biorąc ją za rękę w geście współczucia i pocieszenia, którego Veridiana zupełnie się nie spodziewała.

- Opowiedz nam o nich - zachęciła żona stolarza.

- Jacy są? Ile mają lat?

Veridiana opowiedziała im o Clarze i Rodrigu, i tak jak ostatnio często się zdarzało, miała wrażenie, że są tuż obok. Zdawało się jej, że lada chwila wyłonią się zza krzaków pochłonięci zabawą w rycerzy i księżniczki. Kiedy opowiedziała im kilka co zabawniejszych anegdot o dzieciach, które tak bardzo kochała, poczuła, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem przed tymi obcymi kobietami. Wtedy umilkła.

Jedna z chłopek, chuda jak kij od szczotki, zauważyła jej zakłopotanie i pokazała swoją robótkę żonie majstra Vicentego.

- Patrzaj ino. Prawie że supłów ni mo - celowo zmieniła temat. - O, patrzaj, tera żem zaczęła nową nitką. Picznie, co nie?

- To wspaniały knot - oceniła wesoło Juana.

Wieśniaczka pokazała jej język jak mała dziewczynka i Veridiana zrozumiała, że był to jakiś ich żart. Chłopka tkąła dalej na prymitywnych malutkich krosnach, które sprawnie trzymała między nogami.

- A jak tobie idzie? - zapytała Juana najmłodszą chłopkę, dziewczynę, która miała najwyżej piętnaście lat. Jej ozdobą była piękna, czarna niczym heban fryzura.

- W ogóle mi nie idzie.

- Bo Carmen potajemnie ślepią wypatruje za takim jednym - dorzuciła inna.

- A ty nie gadaj tyła!

- Straciła głowę dla jednego murarza. To młody kawaler, co to...

- Nie jest taki zły - uznała Juana.

- Nie jest zły?! - obruszyła się czarnowłosa dziewczyna. -
Toć on urodny, jakich mało!

Veridiana przerwała pracę pod wrażeniem sposobu, w jaki mówiły o mężczyznach.

- Ujdzie...

- Ujdzie? Dobrze sobie! - mknęła dziewczyna. - Sama byś chciała, co by twój chłop był chocia z jednej strony tako urodny jako mój Gabriel.

- Twój Gabriel... Złap go dobrze, moja droga, zanim powiesz, że on twój.

- Już my ci pomożemy, co by cię nie przeoczył. Tak więc Veridiana zaczęła spędzać popołudnia w towarzystwie kobiet, które budziły w niej zarazem sympatię i niechęć. Z jednej strony lubiła siadać z nimi i słuchać ich rozmów, z drugiej zaś wychowano ją przecież w przekonaniu, że są sprawy, o których się nie mówi. A one mówiły. I to jeszcze jak! Ani na chwilę nie przestawały.

Veridiana słuchała uważnie, ale sama rzadko się odzywała; tym sposobem z miejsca zyskała sobie opinię nieśmiałej i odrobinę zarozumiałej.

Jej towarzyszki nie zdawały sobie sprawy, jak bardzo cieszyła się, że znów może często szyc i że czynność ta w niezrównany sposób pomaga jej się wyciszyć i uspokoić.

Pewnego wieczora, gdy Veridiana wracała do swojej celi po południu spędzonym przy szyciu, poczuła

dziwne mrowienie w brzuchu. Nie wiedziała czemu, ale skojarzyła je z Victorem.

Stała wpół kroku i rozejrzała się za nim. Nigdzie nie było go widać. Zobaczyła tylko w oddali grupę zakonników, którzy grali w coś koło warzywnika.

Skierowała się ku nim, zastanawiając się, co też powie Victorowi, kiedy go spotka. Szła zamyślona do tego stopnia, że dopiero gdy dotarła do mnichów, odkryła, że jego tam nie ma. Rozejrzała się zmieszana.

Dojrzała wtedy Enrique, który wraz z kilkunastoma młodymi braćmi wsłuchiwał się w słowa jednego z zakonników. Mówiący wydawał się wykuty z jednej bryły kamienia i stał przed pozostałymi, wpatrując się w drewnianą kulę.

Kula potoczyła się ku niemu kilka centymetrów, a potem nagle zatrzymała się. Potem zaczęła się toczyć w przeciwnym kierunku, aż znów zastygła w bezruchu.

Wszyscy patrzyli w skupieniu. Czekali na coś. Wpatrywali się w kulę, jakby lada chwila miała zniknąć.

Pomyślała, że chodzi o jakąś nieznaną jej grę i że za chwilę któryś z nich podniesie kulę. Ale nie. Wszyscy uparcie wpatrywali się w nią w kompletnym milczeniu, a ona toczyła się to w jednym, to w drugim kierunku.

Veridiana spojrzała na Enrique i zdawało się jej, że zobaczyła smugę światła, która wychodziła z jego czoła i ciągnęła się aż do kuli, pieszcząc ją i delikatnie popychając. Promień miał zatarte kontury i był bardzo

delikatny. Przywodził jej na myśl zabawę z drobinami kurzu, którą uprawiała od lat. To, co robili mnisi, wydawało się jedynie nieco bardziej uporządkowane.

Wyrwał jej się okrzyk zdumienia i nagle wszyscy mnisi, którzy dotychczas wpatrywali się w kulę, zauważyli obecność kobiety.

Enrique uśmiechnął się i podszedł do niej. Spojrzał na nią i coś w jej twarzy musiało go zaniepokoić, bo zapytał:

- Dobrze się czujesz, pani? Odzyskała panowanie nad sobą.

- Doskonale... - odparła i spojrzała mu w oczy. Wydało jej się, że słyszy bicie serc ich obojga.

Wtedy zorientowała się, że właśnie to dziwne wrażenie kazało jej tu podejść i sprawiło, że spodziewała się tu zastać Victora.

Chciała już wymamrotać jakąś głupią wymówkę i przemilczeć to, co zobaczyła, ale nagły impuls kazał jej powiedzieć:

- Popychaliście kulę samą siłą woli. Natychmiast pożałowała tych słów. Ale nie mogła się już wycofać.

- Tylko próbowałem - przyznał Enrique. Zamilkli oboje.

Pomyślała, że powinna była udawać, że niczego nie spostrzegła. Enrique właśnie przyznał się do uprawiania czarnej magii. A jednak... jednak Veridiana zobaczyła coś nowego w jego niebieskich, przepastnych oczach.

Nagle poczuła, że ma dość ciągłego ukrywania swoich zdolności, ciągłych sekretów, uciekania przed

pytaniami, których coraz więcej gromadziło się w jej sercu, samotnego zmagania z tym światem, który przepelniał ją nowymi doznaniem, wywołując wrażenie, że za chwilę wybuchnie.

Jeśli przybędzie jej choć jedna tajemnica więcej, wtedy już na pewno nie uniesie ich wszystkich.

- Ja też mogę to zrobić - mruknęła, spuszczać wzrok.

Nieoczekiwanie Enrique uśmiechnął się półgębkiem i odrzekł:

- Byłem tego pewien. Spróbuj, pani, zatem. Wskazał jej drewnianą kulę leżącą nieruchomo na ziemi.

Wszyscy mnisi patrzyli na nich, ale nie miało to dla niej znaczenia. Skupiła się na kuli tak samo jak na drobinach kurzu i spróbowała ją poruszyć.

O odkryciu mocy Veridiany i jej potajemnych spotkaniach z Enrique

Zapadał już zmrok, gdy nadszedł Dimas. Towarzyszyli mu Victor i José. Veridiana czekała na nich, siedząc na kamieniu obok Enrique. Już z daleka zobaczyła, jak nadchodzą w swych białych habitach niczym trzy fantastyczne postacie, sunące po ścieżce niemal całkowicie skrytej w ciemności.

Josému zajęło dłuższą chwilę odnalezienie przeora. Czekając na niego, Veridiana rozmawiała z Enrique. Wyjaśniła mu, że od dziecka potrafi robić takie rzeczy, ale wcześniej używała w tym celu obiektów tak drobnych jak pyłki kurzu. Po przybyciu do Świata wszystko się zmieniło. Dziwne siły wymknęły jej się spod kontroli.

Kiedy wreszcie nadszedł Dimas, popatrzył na nich bez słowa, a potem rozejrzał się wokół, szukając śladów tego, o czym opowiedział mu José. Wreszcie zobaczył na ziemi szczątki rozbitej w drzazgi kuli.

Nauczyciel sztuk walki pokazał mu ślad na murze.

- Doleciała aż tam - uniósł rękę w górę. Dimas podszedł do Veridiana.

- Jak tego dokonałaś, pani? - zapytał z niezmaconym spokojem.

- Staralam się poruszyć kulę tak jak oni...

- A kula wystrzeliła do góry! - wtrącił José. - Aż tam - raz jeszcze wskazał na odprysk w murze.

- Nam udało się ją poruszyć ledwie o kilka centymetrów - wyjaśnił Enrique - a ona cisnęła nią wprost w ścianę, i to z taką szybkością, że...

- Dimasie, na Boga! Jeszcze nikomu się to nie udało! I to bez ćwiczeń!

- Uspokój się, José. Yebra i Bernardo też to potrafią...

- No tak. Oni. Pierwsi, którzy tu dotarli... Ale od kiedy ja zajmuję się nauczaniem, moim podopiecznym, w najlepszym razie, udaje się uzyskać powolne niepewne poruszenia. Może powinna ją trenować jakaś kobieta, na przykład Yebra...

- Yebra i Bernardo są teraz daleko; pracują z tłumaczami w Toledo i Burgos nad inwersją.

Veridiana już nie raz słyszała, jak mówili o tej „inwersji”. Ale tym razem, gdy Dimas wypowiedział to słowo, poczuła dziwny skurcz w żołądku. Zrozumiała, że mówią o czymś wyjątkowej wagi, od czego zależy życie wszystkich.

- Tak, są daleko. Ale ona powinna zostać przeszkolona. Choć z drugiej strony, kobiety przecież nie walczą... - zastanawiał się na głos José.

- Tutaj kobiety uczą się czytać i pisać; studiują jak mężczyźni. Dlaczego nie miałyby walczyć? - wtrącił milczący dotąd Victor.

Veridiana patrzyła na niego z pokornym uwielbieniem, starając się opanować przyspieszone bicie serca, pojawiające się zawsze, gdy był w pobliżu.

Chyba tylko Enrique zauważył blask lśniący w jej oczach, gdy patrzyła na mnicha.

- Natura kobiety jest pokojowa. Kobieta daje życie, a nie zabiera... - sprzeciwił się José. - Nie powinna zatem walczyć.

- Brednie! - odważył się zaprotestować Enrique. Dimas rzucił mu karcące spojrzenie.

- Jeśli Bóg obdarzył ją tą umiejętnością, to znaczy, że powinna ją spożytkować. Yebra przeszkoli ją, po swym powrocie z Burgos - zdecydował przeor.

- To może trochę potrwać... - zauważył Victor.

- Nie ma pośpiechu. Na wszystko jest stosowny czas. Kiedy Bernardo i Yebra wrócą, Yebra zajmie się Veridianą. Wszystko we właściwym czasie.

Obok nich na ziemi leżały drzazgi, niczym niemy dowód tego, co zaszło.

Veridiana nie potrafiła skupić się na rozmowie, która toczyła się obok niej. Łomot serca zakłócał wszystkie inne docierające do niej wrażenia. To, czego dokonała, wytrąciło ją z równowagi. Nie miała odwagi im wyznać, że zobaczyła promień światła, który wychodził z Enrique. Wspomnienie tamtego widoku nie dawało jej spokoju.

I wciąż było jej mało. Nie umiała tego sobie inaczej wytłumaczyć. Jej dusza żądała więcej. Chciała poruszać głazy, kule, powietrze... Musiała na nowo wypróbować tego, co na chwilę wyrwało się spod kontroli. Chciała znów to poczuć.

Musiała powstrzymać się z całej siły. Wolno wciągnęła powietrze i skupiła się na rytmie własnego oddechu; tym sposobem udało jej się nad nim zapanować. W myślach zaczęła zmawiać Modlitwę Pańską.

Enrique patrzył na nią kątem oka. Pomyślała, że tylko on zauważył, że dzieje się z nią coś dziwnego.

Gdy doszła do siebie, warzywnik został daleko z tyłu. Dimas, José i Victor podążali przodem, wymieniając ciche uwagi, które ledwo słyszała. Enrique szedł obok niej.

- Chcesz się, pani, nauczyć walki, prawda? Chcesz się szkolić? - szepnął jej na ucho.

Podniosła na niego swoje czyste, błękitne oczy.

- Tak - szepnęła - Skąd wiesz?

- Nauczę cię, pani... Wszystko, co José mi pokaże, ja zademonstruję potem tobie.

- Naprawdę?

Enrique uśmiechnął się. Veridiane zaskoczyła pewnością i szczerością, z jaką jej odpowiedział.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Była pewna, że serce Enrique bije tym samym rytmem, co jej własne. Zaniepokoiło ją to, bo nie wiedzieć czemu przywiodło jej na myśl Victora. Ale najważniejsze, że Enrique będzie ją uczył. Pokaże jej,

jak kontrolować i wykorzystać tę nieokiełznaną siłę. Będzie miała nauczyciela.

- Dziękuję. Jestem ci, panie, naprawdę bardzo wdzięczna.

- A ja żem słyszała, że cię widzieli wczora w nocy, zara po jutrzni, na klepisku - najmłodsza chłopka patrzyła zadziornie na Veridianeę.

Ta starała się zachować spokój. Przyzwyczaiała się już do kobiecych plotek. Podczas szycia zwyczajem było komentowanie życia znajomych i nieznajomych. Dotychczas udało jej się nie być tematem rozmów. Spróbowała puścić uwagę mimo uszu.

- Gadaj o tyż, żeś tam była z jednym urodnym takim. Z chłopem. Chocia mroczno było, przeca cię ludzie widziały.

Veridiana podniosła wzrok znad swojej robótki i napotkała pięć par oczu wpatrzonych w siebie.

- To nie byłam ja. Musieli kogoś innego wziąć za mnie - odparła spokojnie.

- A kto by ta cię pomylił z jaką inną! Veridiana westchnęła.

- Niech każdy zajmie się swoimi sprawami, zamiast tyle plotkować.

Juana spojrzała na nią zaskoczona.

- A zatem to prawda, że spotykasz się z mężczyzną! - zawołała wesoło.

- Kto to jest? Powiedz nam! - odezwała się żona powroźnika.

- Z nikim się nie spotykam. Żaden mi się nie podoba - skłamała nie odrywając wzroku od płótna i igły.

- Jesteś wdową! Nie masz dzieci, twoim obyczajom nie sposób czegokolwiek zarzucić. Nikt ci tego nie będzie miał za złe.

- Kto niby miałby mi się podobać! W moim wieku! Te rzeczy już nie dla mnie.

Natychmiast przypomniał jej się Victor i poczuła, że oblewa ją rumieniec. Starła się skierować swoje myśli na inny tor. Mężczyzna, który naprawdę ją oczarował, był mnichem. Ale jego w kobietach interesować mogła jedynie nieśmiertelna dusza.

Widywała Victora niemal codziennie, zwykle razem z Dimasem. Rozmawiali na tysiące tematów, o tak. Ale wszystkie one dotyczyły praktycznych aspektów życia codziennego. Wiedziała, że Victor ceni jej inteligencję. Odnosił się do niej z szacunkiem, ale i dystansem.

Nigdy więcej nie okazała przy nim słabości. Tylko wtedy, w domu Jacoba, kiedy rozplakała się w kuchni, a on musiał ją pocieszać, tuląc w ramionach. Za każdym razem, kiedy to wspominała, przebiegał ją dreszcz.

Poza tym zawsze jednak kontrolowała w jego obecności swoje uczucia. Czasem przychodziło jej to z najwyższym trudem, zwłaszcza wtedy, gdy wiatr przynosił jego zapach. Rozpoznawała osobistą woń Victora, mimo aromatu wosku i wilgoci, którymi przesiąknięty był zawsze jego habit. A kiedy

jej nozdrza napełniły się zapachem mężczyzny, pragnęła z całej duszy oddychać nim do końca życia...

Oblała ją fala gorąca idąca gdzieś z głębi trzewi. Zacisnęła pięści z całej siły i starym sposobem odetchnęła głęboko, nim odpowiedziała:

- Nie ma nikogo, zapewniam was... Choć przyznaję, że czasem chciałabym, aby był - odważyła się wyznać.

- Chwała Bogu, Veridiano! - zawołała Juana. - Wreszcie pokazałaś nam swoją ludzką twarz. Dobrze jest mieć chłopca! Samotność ciąży kobiecie jak wielki głaz. Mężczyzna ją chroni, rozgrzewa w zimie... Czym by była kobieta bez mężczyzny?

Bez mężczyzny? Veridiana pomyślała o Guyu, swoim starym mężu. Nie tęskniła za nim. Wcale. Brakowało jej tylko poczucia bezpieczeństwa i pozycji, które straciła wraz z jego śmiercią. Ale samego Guya nie brakowało jej. Wręcz przeciwnie. Pozbyła się wraz z nim pewnego ciężaru.

- Abo to mało chłopów, co za tobą ślipia wypatrują? Byś ino chciała, to przeca zara se najdziesz jakiego krzepkiego, co by cie pod opiekę wzion!

- Marnujesz się, kobieto! - zaśmiała się żona stolarza.

Veridiana wspomniała z tęsknotą swoją bratową, która też miała w zwyczaju mówić jej takie rzeczy. Ale ona sama wcale nie chciała szukać sobie krzepkiego chłopca. Chciała tylko oddychać zapachem Yictora. Nie potrzebowała, by ktoś ją chronił. Lubiła

natomiast uczyć się od Dimasa i Victora wszystkiego, co miało związek z życiem w tym nowym świecie. I ćwiczyć nocami walkę z Enrique.

Młodzieniec miło ją zaskoczył. Odkryła w nim stanowczość, której wcześniej się po nim nie spodziewała. Okazał się dobrym nauczycielem. Wykładał jej bardzo przystępnie wszystko to, czego sam nauczył się od Joségo. Cierpliwie obserwował jej postępy, natychmiast zauważał błędy, a przede wszystkim był wystarczająco pomysłowy, by co chwila wymyślać jej nowe ćwiczenia, pozwalające coraz lepiej opanować tę dziwną siłę, której Veridiana nocą dawała upust.

W nocy bowiem czuła się naprawdę wolna. Gdy ćwiczyła, poruszając przedmiotami po krętych labiryntach, które przygotowywał dla niej Enrique, czuła, że jej duch jest wolny i unosi się wysoko, wypuszczony z długotrwałego zamknięcia. Były to jedyne chwile dnia, kiedy, niespętana niczym, czuła się naprawdę sobą. Jedyne chwile, kiedy nie musiała się pilnować i powstrzymywać.

W nocy była sobą.

Któregoś razu w mlecznym, rozproszonym świetle nieznanych gwiazd Świata Veridiana spotkała się z Enrique.

- Musimy znaleźć inne miejsce na ćwiczenia. Ktoś nas widział. Myślą, że my... Że mam tu schadzki z mężczyzną.

Było ciemno, ale i tak wiedziała, że Enrique zaczerwienił się po czubki uszu. Nie przejęła się tym zupełnie.

- Musimy się umawiać za miastem. Może w lesie...

- To niebezpieczne. Nie powinniśmy się tak oddalać, Veridiano.

- Ja się nie boję. Enrique westchnął.

- Poszukajmy więc odpowiedniego miejsca. Enrique wziął sznur, który przyniósł na dzisiejsze ćwiczenia, i ruszyli w kierunku lasu.

Oboje uznali, że lepiej nie zapuszczać się za bardo w zarośla i zatrzymali się na pierwszej polanie, jaką napotkali. Las nie był tu jeszcze gęsty.

Enrique rzucił sznur na ziemię i ułożył z niego kapryśny powyginany kształt. Następnie wyjął z kieszeni drewnianą kulę i ułokował ją przy końcu sznura.

- Spróbuj poprowadzić ją wzdłuż liny - powiedział. Veridiana pozwoliła ujść sile, która gromadziła się

w niej przez cały dzień. Kula potoczyła się wolno, najpierw zbacząc nieco z drogi, potem coraz pewniej. Kreśliła te same zawiłe wzory co sznur.

- Tam, gdzie lina skręca pod kątem prostym, kula zbacza z drogi - zauważył jej nauczyciel. - Tam musisz bardziej się skupić.

Ruszyła w stronę kuli, by z powrotem położyć ją na początku trasy.

- Chwileczkę! - powstrzymał ją Enrique. - Zostaw ją na ziemi i spraw, by przyleciała z powrotem.

Veridiana spojrzała na niego uważnie. Stał schwyciwszy się pod boki i zdawało się, że rzuca jej nowe wyzwanie. Czemu by nie spróbować?

Skupiła się na kuli i starała się unieść ją delikatnie w powietrze. Wyobraziła sobie jej ciężar, wyobraziła też sobie, że podnosi ją ręką... Kula zaczęła się trząść, aż wreszcie wzleciała na trzy palce, zawisła w powietrzu... i spadła.

- Och! - Enrique wyglądał na rozczarowanego.

- Mogę to zrobić - oświadczyła Veridiana z przekonaniem. - Chodzi o to, że...

- Ze co?

- Że ona chce wystrzelić do góry! Muszę ją cały czas powstrzymywać. Najtrudniejsze jest ją zatrzymać, a nie ruszyć. Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

Enrique obrzucił kulę spojrzeniem, a Veridianie wydawało się, że w jego oczach błysnęła zawiść.

- Teraz ty - powiedziała do niego. - Nigdy nie widziałam, jak to robisz.

- Ledwo ją mogę ruszyć.

- Chcę to zobaczyć. Nie umiał jej odmówić.

Kula ruszyła powoli, lecz pewnie. Jakby nie miała wątpliwości co do właściwego kierunku.

- Enrique?! - krzyknęła przestraszona. - Co to jest? Zdekoncentrował się i kula zatrzymała się w miejscu.

- Co? - rozejrzał się niespokojnie wokół.

- Nie! Tutaj!

Wyciągnęła rękę w jego kierunku.

- Nic nie widzę, Veridiano. Tu nic nie ma. Podeszła do niego, ciężko dysząc.

- Już wcześniej wydawało mi się, że to widzę... - stanęła przed nim. - Zrób to jeszcze raz. Pchnij tę kulę.

- Ale co zobaczyłaś? - zapytał przestraszony.

- Zrób to - rozkazała łagodnie, lecz stanowczo. Enrique spróbował znów się skupić. Veridiana zbliżyła wtedy dłoń do jego czoła.

- Widzę - szepnęła - widzę promień, który...

Veridiana dotknęła czoła Enrique i w tym momencie spod jej palców wydobył się dym. Miał wrażenie, że z jego głowy wyrosło coś w rodzaju białawego czułka, niemal przezroczystego, niczym pęcherzyk wypełniony mgłą.

Gdy to zobaczył, przeraził się. Wtedy zjawisko zniknęło.

Obydwoje stali w milczeniu nie wiedząc, co powiedzieć. Nie musieli zresztą nic mówić. Wiedzieli, że myślą to samo: trzeba spróbować jeszcze raz. Enrique ponownie się skupił i wypustka pojawiła się powtórnie, najpierw nieśmiało, potem coraz wyraźniej. Jej koniec skierował się do kuli i popchnął ją łagodnie.

- Mogę widzieć, co robię - powiedział Enrique ledwie słyszalnym głosem. - Tak jest łatwiej...

Veridiana nie mogła oderwać wzroku od tego promienia mocy, który teraz widziała dokładnie.

- Czekaj - szepnęła. - Nie przerywaj... Zaraz coś zobaczysz...

Ona również skupiła się na kuli, która toczyła się równomiernie po ziemi. Spróbowała unieść ją do góry i niemal natychmiast z jej czoła wystrzelił taki sam promień, tyle że większy i bardziej lśniący. Zbliżył się do kuli, po czym uniósł ją delikatnie, niczym ręką.

Wypustki otarły się końcami, spod których błysnęły niebieskie iskry.

Nawet nie mieli czasu się zdziwić. Oba promienie splotły się, a wtedy kula wystrzeliła w kierunku lasu z niesamowitym impetem.

- Na Boga!

Odgłosy, które do nich dotarły, pozwalały się domyślać, że obita się o kilka drzew, a wreszcie uderzyła w coś mocno i rozpadła w drzazgi.

Popatrzyli po sobie oniemiaли. Szukali na swoich czołach śladu owych promieni, te jednak już zniknęły.

- Widziałaś?

- Jak mogłam nie widzieć! Czuleś to, Enrique? Czuleś, jaką to ma moc?

- Oczywiście...

Nie musiał wyjaśniać, co chce zrobić. Spróbował skupić się na dowolnym przedmiocie. Wybrał sznur, który przyniósł ze sobą. Wbił weń wzrok, starając się go poruszyć. Veridiana poszła w jego ślady.

Promienie wytrysnęły jeszcze bardziej połyskliwe, połączyły się i skrzyły w jedną nić mocy, która uniosła sznur i zmusiła go do tańca w powietrzu.

Enrique wybuchnął śmiechem, widząc ten szaleńczy płas sznura. Nie pozostało jej nic innego jak przyłączyć się do niego.

Sprawili, że lina zacisnęła się wokół pnia, a potem się z niego zsunęła. Próbowali wiązać węzły. Niczym wężowi kazali jej czołgać się po ziemi i wspinać na drzewa. Strzelali z niej jak z bata. Wyrzucali ją wysoko w górę, pozwalali opadać swobodnie i łapali w locie, nim dotknęła ziemi... Opamiętali się dopiero na dźwięk dzwonów wzywających na poranną modlitwę. Spędzili w lesie dwie godziny i nawet nie zauważyli, że zaczęło się już rozwidniać.

Veridiana spojrzała na zarumienione policzki swojego towarzysza, na jego błyszczące oczy. Emanowało z niego wrażenie absolutnego szczęścia. Pomyślała wtedy, że sama musi wyglądać podobnie. Euforia wprost ją unosiła.

- Nie wiem, co to jest, na Boga, ale uwielbiam to! Veridianie spodobało się to szczere wyznanie.

- Musimy wrócić do miasta...

- Dziś w nocy też się spotkamy? Potwierdziła bez wahania.

Poczekala, aż Enrique zbierze sznur i ruszyli z powrotem ścieżką. Poczuli przenikliwy chłód, który przychodzi nad ranem.

- Nie mogę się doczekać, kiedy znów to zrobimy.

- Ja też, Enrique, ja też. Veridiana przyjrzała mu się.

- Nie rozumiem, dlaczego widzę to tylko u ciebie... Tamtego dnia, gdy przyglądałam się, jak ćwiczyłeś z mnichami... widziałam tylko... tylko twój promień.

Enrique zatrzymał się wpół kroku.

- Możesz to widzieć, bo jesteśmy tacy sami, Veridiano. - Jego twarz nagle spoważniała. - Bo ja, tak jak ty, zawsze miałem przeczucia, bo ten świat tylko wprowadził w ruch coś, co już nosiliśmy w sobie...

Wpatrywała się w niego z niemym pytaniem zawieszonym na wargach. Skąd on mógł wiedzieć, że ona też miała przeczucia?

Odpowiedział jej, nim zdążyła wypowiedzieć pytanie na głos.

- Powiedziała mi o tym twoja bratanica, Clara... Mnie też zdarzały się podobne historie.

Nie wiedziała czemu, ale po plecach przeszły jej ciarki.

Może to poranny chłodny powiew przyprawił ją o gęsią skórę, a może nagła świadomość, że ten człowiek wiedział o niej dużo więcej, niż się spodziewała. A może to niesprecyzowane uczucie, że jakaś część niej została w nim, a ona z kolei miała teraz w sobie coś, co należało do niego, jakby nie tylko ich moce, ale i całe dusze połączyły się, tworząc jedność.

- Wiesz, Enrique - krzyknął José - gdybym miał wskazać dwa przełomowe momenty w twoim rozwoju, to pierwszy był wtedy, gdy pokonałeś mnie w walce wręcz. Później robiłeś postępy stopniowo. Ale dziś... Święci Pańscy, co się dziś z tobą stało?

Młodzieniec uśmiechnął się półgębkiem.

- Doznałem niezwykłego olśnienia.

Nie mógł powiedzieć mu, że Veridiana napełniła go nową energią. Ze choć bez niej nie potrafił zobaczyć promienia mocy, teraz wiedział, że on tam jest i łatwo mógł go sobie wyobrazić, jak popycha, podtrzymuje różne przedmioty, jak owija się wokół rozmówcy.

Nie dał Josému najmniejszej szansy. Pokonywał go raz za razem, zarówno w walce wręcz, jak i w pojedynkach na siłę woli.

- No cóż, winszuję, Enrique de Rascón y Cornejo. Nadszedł dzień, w którym uczeń przerósł mistrza. Ja nie mogę cię niczego więcej nauczyć. Teraz to ty możesz uczyć mnie...

José wyciągnął do niego dłoń i Enrique uścisnął ją mocno.

- Jesteś najbardziej obiecującym z moich uczniów. Bardzo się cieszę, że mogłem cię uczyć. Jednak nie należysz do Zakonu. Dlatego proszę cię, byś mądrze używał tego daru, który dostałeś od Boga. Tak, bym był z ciebie dumny.

- Może brat być o to spokojny. José uśmiechnął się.

- Dobrze, w takim razie, została nam tylko jedna sprawa do załatwienia. Powtórz, proszę, ten ostatni chwyt... Muszę się go nauczyć.

- Do usług, mistrzu.

Tamtej nocy gwiazdy Świata, w którym nie było księżycy, przesłaniała jakaś dziwna poświata,

jakby wilgoć wisząca w powietrzu przyćmiewała ich blask.

- Jestem wyczerpana - powiedziała - ale nie chciałam cię zawieść.

- Ja też jestem zmęczony, Veridiano - uśmiechnął się półgębkiem; nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi na ten jego zwyczaj. - Dziś pokonałem Joségo. Mówi, że nie może mnie już nauczyć niczego więcej, a w związku z tym... ja ciebie też.

- A jednak - zaczęła nieśmiało - może mógłbyś nauczyć mnie walki wręcz, takiej bez użycia siły woli...

- Jesteś kobietą.

Nic na to nie odpowiedziała, zmarszczyła jedynie brwi. Jej mina mówiła więcej niż jakiegokolwiek słowa.

- Ciekawi cię walka? Nigdy bym się tego nie spodziewał!

- A jednak... Widziałam czasami, jak ćwiczycie, i pomyślałam sobie, że mogłabym wykorzystać te... te promienie - pokazała na czoło - również w takiej walce, bardziej bezpośredniej, fizycznej.

- Chcesz wypróbować to przeciwko mnie?

W odpowiedzi tylko spojrzała na niego. Enrique de Rascón y Cornejo w końcu uśmiechnął się.

- Ustaw się tutaj, bokiem. Tak jak ja... Dobrze. Podnieś rękę. Bardziej. Oto postawa wyjściowa.

Stanął przed nią pełen wątpliwości.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy. Przewrócę cię tylko na ziemię.

- O ile zdołasz! Nie myśl, że tak łatwo ci pójdzie! - zaśmiała się, by go sprowokować.

- Będę ostrożny.
- Nie ma potrzeby.

Jej fanfaronada dodała mu sił. Enrique rzucił się na nią, zamierzał podciąć jej nogę i przewrócić ją na ziemię. Lecz ona, najzwyczajniej w świecie, odsunęła się na bok.

Rozpęd, który wziął, obrócił się przeciw niemu tak, że młodzieniec upadł.

- Wiedziałam, że zaatakujesz w ten sposób. Nie wiem skąd... - wyjaśniła ze spokojem.

Enrique wstał, otrzepując piach z nogawic.

- Dobrze. Zobaczymy teraz...

Zamarkował cios i zwiódł ją tym. Złapał ją za ramię i chciał przerzucić przez plecy. Obroniła się jednak. Wierzgnęła nogami w powietrzu, po czym Enrique poczuł, że wyslizguje mu się z rąk. Zdażył jeszcze zauważyć rozwiewający się promień.

- Użyłaś tego. Tak nie wolno. To nie jest czysta walka.

- Dlaczego nie? Właśnie o to chodzi.

Enrique przyjrzał jej się uważnie. Zaczynał już odczuwać zmęczenie.

- Dobrze.

Znów natarł. Zamarkował atak i postarał się, by tym razem nie zaskoczyła go tak jak poprzednio. Poczuł, jak jej moc rośnie.

Skupił się i z czoła, na spotkanie tamtego, wyszedł jego własny promień. Gdy oba promienie się zetknęły, sypnęły się z nich niebieskawe iskry.

Enrique zablokował promień Veridiany i zdołał założyć jej chwyt, którym powalił ją na ziemię.

- Nic ci nie jest? - pochylił się nad nią, by pomóc jej wstać. -
Przepraszam, nie chciałem zrobić ci krzywdy.

Wyglądała na poirytowaną.

- Jeśli nie mogę użyć mojej siły, jeśli ją w ten sposób
zahamujesz, zawsze mnie pokonasz. Fizycznie jesteś
silniejszy...

- W takim razie spróbuj powstrzymać mnie wcześniej. Nie
pozwól, bym cię złapał. Walczymy dalej?

Skinęła głową.

- Uważaj!

- Sam uważaj! - prychnęła.

Wkrótce oboje byli cali uwalani ziemią. Wypróbowali różne
techniki ataku i obrony. Kilka razy Enrique nie zdołał
zatrzymać Veridiany. Starła się naśladować jego sposoby
walki.

Jednak najczęściej to on wychodził z tych starć zwycięsko.

Czas mijał im błyskawicznie. Wreszcie przerwali zmęczeniu
i spoceni, ale pełni tej samej euforii, co poprzedniej nocy.

- Powinniśmy odpocząć.

- Masz rację, pora wracać.

Veridiana odgarnęła z czoła spocony kosmyk włosów i
otrzepała ziemię ze spódnicy.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście. A ty? Skinęła głową.

- Idziemy?

Ruszyli ścieżką. Byli zupełnie wyczerpani, ale szczęśliwi. Nie odezwali się do siebie ani słowem aż do pożegnania w mieście.

Po kilku nocach postanowili poświęcać mniej czasu na ćwiczenia. Byli potem zbyt zmęczeni, by stawić czoła codziennym obowiązkom. Veridiana nieustannie ziewała, niezależnie od tego jak ciekawe były wykłady Dimasa. A jeśli siadała na chwilę, natychmiast zasypiała.

Zdawała sobie sprawę, że umykają jej niektóre uwagi Victora lub przeora, a i oni z pewnością musieli zauważyć jej stan.

- Dobrze się czujesz, Veridiano? - pytali ją. W milczeniu kiwała głową.

- Ostatnio wyglądasz, pani, na zmęczoną, a do tego te podkrążone oczy...

- Och, nie, to nic takiego. Ostatnio gorzej sypiam. Wkrótce mi przejdzie.

A wokół niej kłębiły się mieniające się w słońcu metalicznie i niebieskawo *krisy*, przyciągnięte jej kłamstwami.

Z kolei Enrique, o ile tylko uczniowie mu na to pozwalali, ucinał sobie drzemki w czasie lekcji. Musiał poprosić Joségo by ćwiczyli tylko pięć razy w tygodniu. Dzięki temu wieczorami wracał do siebie przespać się trochę i odzyskać nieco sił tak potrzebnych na nocny pojedynek z Veridianą.

Bo noce należały do nich. Nadal ćwiczyli w tajemnicy. Nieraz poranny chłód zaskakiwał ich na kolejnych ćwiczeniach.

Walczyli na wszystkie sposoby, jakie tylko przyszły im do głowy, i doskonalili umiejętność przemieszczania przedmiotów siłą woli. Szczególnie bawiło ich poruszanie rzeczy giętkich, takich jak sznury czy tkaniny, gdyż stwarzały im większe możliwości ćwiczenia coraz bardziej precyzyjnych ruchów.

Za każdym razem po skończonych ćwiczeniach ogarniało ich to samo uczucie pełni i zupełnego szczęścia.

- Idzie nam coraz lepiej - ośmielił się zauważyć Enrique którejś nocy, gdy wracali do miasta.

Veridiana nie umiała mu opisać, do jakiego stopnia uszczęśliwiały ją te potajemne spotkania. Gdy wracała do swojej sypialni, czuła się pełna mocy, niemal upojona nią. I choć doskwierało jej zmęczenie, często nie mogła zasnąć.

Ta noc była ciemna jak dusza skazańca. Najwyraźniej do świtu pozostało jeszcze kilka godzin.

- Veridiano - zaczął Enrique, nie wiedząc, jak wyrazić to, co chciał powiedzieć - zastanawiałaś się kiedyś, czemu tylko my możemy widzieć... te promienie?

- Nie wiem, Enrique. Nie wiem - zawahała się. - Ale jestem przekonana, że inni też je mają. Tylko że nie możemy ich zobaczyć. Widzimy tylko nasze. Może z tego samego powodu, dla którego nie wszyscy mogą dostrzec te dziwne stworzenia.

Enrique nabrał powietrza, by wyznać jej, co sam myśli na ten temat.

- Ja chyba wiem, czemu widzimy nasze promienie mocy. Bo jesteśmy tacy sami, Veridiano. Nie, poczekaj, nic nie mów i nie patrz tak na mnie.

Nie po raz pierwszy Enrique mówił jej, że są do siebie podobni. Nie chciała tego słuchać, tym bardziej w ciemności, gdy byli sam na sam w lesie, a ją przepełniało uczucie pełni, jakie zostawało jej po nocnych ćwiczeniach.

- Posłuchaj, mówiłem ci już, że w Toledo Clara opowiedziała mi o twoich przeczuciach, o twojej niezawodnej intuicji. Ja także tego doświadczałem, od kiedy pamiętam. Ja... ja też zawsze widziałem cienie w mroku, cienie, które w dzieciństwie mnie przerażały. Teraz wiem, że to były stwory z tego świata i wiem, jestem pewien, Veridiano, że ty również musiałaś je widzieć.

Stali oboje obok ścieżki, ale z jakiegoś powodu nie ruszali nią.

- Ja... wiedziałem o tym od pierwszego razu, gdy cię zobaczyłem. Od pierwszej chwili wiedziałem, że jesteś wyjątkowa - Enrique mówił coraz szybciej, jak gdyby ćwiczył tę mowę wiele razy i recytował teraz starannie dobrane słowa. - Gdy cię zobaczyłem, wiedziałem, że nasze dusze są dla siebie stworzone i że ty jesteś kobietą, którą los mi przeznaczył.

Veridiana chciała mu przerwać, ale gestem dał jej do zrozumienia, by milczała.

- Kocham cię, Veridiano, od chwili, gdy cię ujrzałem. Nic nie zauważyłaś? Kiedy spotykamy się tu nocą, nie czujesz tej szczególnej siły, z którą obcujemy? Nie czujesz jak ja, że serce omal nie wyskoczy ci z piersi, że dusza chce poszybować w powietrze? Nie czujesz, jak twój i mój duch spotykają się co noc?

- Enrique! Przestań, proszę cię, panie. Ja nie... - nie umknęło mu, że znów zaczęła mówić do niego per „pan”.

- Kocham cię, Veridiano - przerwał jej - jak nigdy nikogo nie kochałem.

Starła się zobaczyć jego twarz w ciemnościach nocy. Jednak mogła tylko sobie wyobrazić smutek, który zasnuwał mu oczy.

- Proszę, Enrique, proszę cię. Nie opowiadaj głupstw. Jesteś, panie, młody, ja jestem dojrzałą kobietą. Ile masz lat? Pewnie nawet nie skończyłeś dwudziestu... To nonsens!

- Miłość nie pyta o wiek. Czy nie było nonsensem twoje małżeństwo? Ile on miał wtedy lat? A ile ty, Veridiano?

Przez moment wyobraziła sobie siebie w wieku ledwie skończonych dwunastu lat. Guy miał ponad pięćdziesiąt.

- To było co innego.

- To samo, Veridiano, dokładnie to samo. Próbowала coś wymyślić. Nie wiedziała, jak się zachować w tej sytuacji.

- Nie tylko o lata chodzi. To także... doświadczenia. Ja już za dużo przeżyłam. A ty, panie, tyle co nic!

- Nie osądzaj mnie, pani, tak szybko. Co ty wiesz o moim życiu i moich doświadczeniach?

Enrique nieraz zaskoczył Veridianę swoją dojrzałością, ale oczywiście teraz nie była najwłaściwsza pora, by to przyznawać.

- Nasza miłość jest niemożliwa, Enrique. Proszę, nie nalegaj, panie.

Teraz wzrok już jej przywykł do ciemności i dojrzała niebieskie oczy młodzieńca. Nigdy nie wydały jej się tak ciemne. I tak piękne.

- Jesteś, panie, moim wielkim przyjacielem i wspaniałym nauczycielem. Mimo młodości zdobyłeś mój szacunek i przyjaźń. Ale...

- Jest ktoś inny, prawda? - przerwał jej. - Twoje serce, pani, należy do innego. To jest prawdziwy powód. Prawda?

Veridiana spuściła wzrok. W tym momencie wolałaby, żeby ziemia ją pochłonęła.

- Nie ma nikogo, Enrique. Nikogo - skłamała.

- Moja droga Veridiano, w nocy niektóre zwierzęta śpią, podobnie jak ludzie. Gdyby nie to, *krisy* latałyby wokół ciebie całymi stadami i pożywiały się twymi kłamstwami, pani, miałyby prawdziwą ucztę. Bo możesz to ukryć przed wszystkimi, ale nie przede mną. Nasze dusze są połączone, choćby ci się to wcale nie podobało, i mogę czytać w tobie, pani, jak nikt inny.

Veridiana pełna złości odwróciła się od niego i ruszyła w kierunku miasta. Serce waliło jej jak oszalałe. Bała się, że on pójdzie za nią, a zarazem miała nadzieję, że to uczyni.

Jednak nie usłyszała za sobą żadnych kroków.

Gdy dotarła do swojej celi i położyła się na sienniku, zupełnie nie mogła zasnąć. Wciąż widziała w myślach ciemne oczy Enrique i inne, jaśniejsze, znacznie bardziej podobne do jej własnych.

Nawet się nie domyślała, że tej nocy po raz ostatni zobaczyła Enrique. I że wspomnienie ich potajemnych spotkań i tęsknota za nimi będą jej towarzyszyć do końca życia.

O dwomym wyznaniu miłości
uczynionym przez rycerza,
który na nic nie liczy

Wydarzyło się to następnego dnia. Zielone lśniące łąki zaczynały się już złocić. Fioletowe i czerwone plamy drobnego kwiecica pobladyły, co było niechybnym znakiem, że jeśli wkrótce nie spadnie deszcz, rośliny uschną, a potem nadejdą letnie upały.

Enrique zostawił za sobą klasztor i szedł do miasta, gdy nagle, sam nie wiedząc czemu, postanowił przejść na przełaj przez pola, minąć warzywniki oraz spichlerze i wejść do lasu.

Nim ich zobaczył, wiedział już, że tam są.

Schował się za drzewem w obawie, że go odkryją. Oni jednak zbyt byli pochłonięci rozmową, by zważać na to, co działo się wokół. Wychylił się zatem zza drzewa i przyglądał całej scenie.

Ona siedziała na pniu drzewa zwalonego przez burzę. Miała spuszczonego wzrok i nerwowo splatała ręce na podołku. On klęczał przed nią. Wyglądało na to, że o coś ją błaga, ale do miejsca, gdzie stał Enrique, nie docierały żadne słowa.

Obserwując ich, przycisnął rękę do piersi, chcąc stłumić łomot serca, niosący się, jak mu się zdawało, echem po lesie. Ze zdumieniem zrozumiał, że tamci dwoje byli zbyt pogrążeni w rozmowie, by zauważyć całe gromady *grebów*, *ostów* i *suwii*, które zleciały przyciągnięte wrzącymi w nim gwałtownymi emocjami i nieokiełznaną ciekawością.

Spojrzał znowu, dyskretnie wychylając się zza pnia. Jego pragnienie zobaczenia wszystkiego było niemal tak wielkie jak strach przed tym, co już zobaczył.

Mężczyzna nadal przed nią klęczał, ale już nic nie mówił.

Nagle Veridiana uniosła głowę i w nieoczekiwanym geście wzięła jego twarz w dłonie, przyciągnęła ku sobie i złożyła na jego ustach długi, niespieszny pocałunek.

Enrique nie mógł uwierzyć w to, co widział.

Victor był członkiem Zakonu, mnichem. Złożył śluby posłuszeństwa, ubóstwa i czystości. A ona go całowała! Złamanie przysięgi to zdrada i niegodziwość, których się po nim nie spodziewał.

Dusza Enrique osunęła się w ciemną otchłań, niemal fizycznie czuł, jak spada. Nie potrafił od nich oderwać wzroku, choć widok ten sprawiał mu nieznośny ból. Gorzka fala żółci napłynęła mu

do ust. Miał ochotę zwymiotować, krzyczeć, uderzyć z całej siły w pień drzewa. Z największym wysiłkiem powstrzymał się od tego.

Veridiana wciąż całowała Victora. Mnich podniósł dłoń i powoli, zmysłowo pogładził jej bok.

Wreszcie Enrique zebrał dość sił, by odwrócić wzrok. Znów schował się za drzewem. W duszy poczuł przeraźliwą, bezdenną pustkę. Choćby rozerwał sobie rękami ciało, nie znalazłby w piersi serca, bo serce spadło w otchłań i roztrzaskało się na drobne kawałeczki. Czuł się pusty. Gorycz ścisnęła mu gardło niczym kleszczami.

Nie oglądając się za siebie, opuścił ten las, w którym właśnie wydarto mu duszę.

Nie zobaczył już, jak chwilę później Victor wziął twarz Veridiany w dłonie i delikatnie ją odsunął.

- Nie, Veridiano. Twoja miłość, pani, jest zupełnie inna od tej, którą ja czuję. Czym są przyjemności cielesne wobec rozkoszy wiary? Jak można poświęcić prawdziwe szczęście kilku chwilom zapomnienia, po których nieuchronnie nadejdą głębokie wyrzuty sumienia i gorzkie rozterki!

- Ale powiedziałaś, że też mnie kochasz.

- Ale nie tak jak myślisz. Moja miłość jest czysta i dworna. Jestem i zawsze będę twoim sługą. Jesteś pani wzorem cnót i szczytem moich pragnień. Wszystko, co robię, ma i będzie miało ciebie na względzie, ale...

Veridiana oszołomiona słuchała tego wyznania. Słowa, które usłyszała, były zupełnie inne niż te, o których od dawna śniła.

- Nie oczekuję niczego w zamian, będę szczęśliwy, jeśli uznasz, pani, że jestem ciębie godny. Jesteś pani moim ideałem...

- Ależ, Victorze!

Odważył się musnąć palcami jej wargi, nakazując jej tym gestem milczenie.

- Jestem mnichem w Zakonie Świętej Ceklidy i człowiekiem honoru. Złożyłem śluby i będę służył Bogu i Zakonowi póki życia. Miłość, którą czuję do ciebie, pani, to narzędzie samodoskonalenia się w mojej osobistej drodze, która wiedzie do Boga... Nie jestem taki jak ty, pani. Ja służę Bogu, najlepiej jak umiem, służę też Zakonowi. To oznacza życie w posłuszeństwie, rezygnację z własnej wolnej woli. Nie ruszyłem tą drogą z konieczności, lecz z miłości. Nie ma większego szczęścia ponad odnalezienie pokoju ducha w pokornej służbie innym i wyrzeczeniu się własnych potrzeb.

Veridiana próbowała powstrzymać łzy cisnące się jej do oczu; wargi jej drżały, gdy odpowiedziała:

- Kiedy przed chwilą cię pocałowałam, czułam, że drżysz. Nie możesz wyprzeć się tego, co poczułeś... Jesteś mężczyzną i jako mężczyzna...

- Jako mężczyzna - znów jej przerwał - jestem niedoskonały. Nikt nie może uniknąć pokus. Ale jeśli im ulegamy, niszczą nas, podczas gdy ich pokonanie

uczy nas kroczyć prostą ścieżką, umacnia i oczyszcza. Przyjmuję twój pocałunek, pani, jako znak miłości. Zachowam go w sercu na zawsze.

Odważyła się wyznaczyć mu spotkanie w lesie. Przyszedł we wskazane miejsce i to podsyciło jej nadzieję. Veridiana wyznała mu, co do niego czuje, a Victor również otworzył przed nią serce. Jednak miłość, którą jej ofiarował, nie była tą, której ona szukała. Zawiodła się.

Victor podniósł rękę do piersi i chwycił rzemień, który miał zawieszony na szyi. Wyciągnął swój medalion ze znakiem Zakonu. Widać na nim było surową spiralę wyrytą na drewnie tak ciemnym, wypolerowanym i twardym, że przypominało kamień.

- Weź to, pani. Niech to będzie dowodem mojej miłości. To symbol tego, co najbardziej kocham. Chcę, byś za każdym razem, kiedy poczujesz go, pani, obok swego serca, wspominała moją miłość, to uczucie czyste, doskonałe, bez żadnej skazy. Będę walczył! za ciebie, tak jak do tej pory walczyłem za Świętą Cerkiew. Będę walczył za mój ideał.

Znów ukląkł znów przed nią i wyciągnął ku niej znak swej miłości.

- Moja pani...

Nie przestając patrzeć mu w oczy, Veridiana kurczowo schwyciła medalion, jakby brała do rąk swoją ostatnią szansę.

- Kocham cię, Victorze. Od kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam.

- Wiem o tym - odważył się spojrzeć jej w oczy. -Ja też cię, pani, kocham, ale inną miłością niż twoja. Zrozum to, Veridiano.

Victor uśmiechnął się do niej przepraszająco. Doskonały uśmiech doskonałego rycerza Boga.

Podał jej rękę, by wstała. Nie przyjęła jej. Wolała zostać jakiś czas sama w lesie.

Patrzyła, jak Victor wraca do miasta, i dopiero wtedy, gdy upewniła się, że nikt tego nie zobaczy, odważyła się dać upust wszystkim swoim skrywanym emocjom.

Myślała, że wybuchnie szlochem, jednak ani jedna łza nie spłynęła jej po policzku.

Została w lesie. Nie potrafiłaby powiedzieć, ile czasu tam spędziła. Wstała dopiero, gdy poczuła, że pień, na którym siedzi, boleśnie wrzyna jej się w skórę. Jej dusza była pusta jak to drzewo zwalone przez piorun i wydrążone w środku.

Tamtej nocy czekała na Enrique z duszą rozdieraną sprzecznymi uczuciami. Pragnęła wraz z nim dać upust tej mocy, która sprawiała, że czuła się szczęśliwa i wolna. Musiała znów to poczuć, by zapomnieć o Victorze. Zarazem jednak bała się spotkania z młodzieńcem, któremu dała kosza. Domyślała się, że jest nie mniej smutny i zgnębiony niż ona. Nie bardzo wiedziała, jak się wobec niego zachowywać. Nie uważała się przecież za tak doskonałą jak Victor.

Noc była chłodna, wiatr ciągnący od gór przynosił nieznane zapachy, które tej nocy nieoczekiwanie

potęgowały jej osamotnienie. Czas mijał, a Enrique nie nadchodził. Czekala, jak tyle już razy wcześniej, ale jego wciąż nie było.

Poczuła rozczarowanie, jednak nie tęskniła za nim za bardzo. Zresztą poprzedniej nocy odrzuciła jego oświadczenia i zapewne dlatego teraz wołała jej unikać.

Po powrocie do miasta pomyślała, że kiedy go spotka, musi mu powiedzieć, że ich uczucia nie powinny zakłócać ćwiczeń, że jej na nich zależy. Zastanawiała się, jak mu to powiedzieć, nie sprawiając bólu. Jak odzyskać przyjaźń, na której naprawdę jej zależy. Dobierała w myślach każde słowo, które mu powie. Z drugiej strony nie martwiła się o niego.

Jednak następnego dnia, kiedy nie dojrzała jego głowy w tłumie wiernych, przybyłych na mszę, kiedy szukała go bezskutecznie po mieście, zaczęła się niepokoić.

Nigdy nie bała się samotności. Kiedy jednak zaczęła przeczuwać, że nigdy więcej nie zazna emocji, które przeżywała z nim każdej błogosławionej nocy, zaczęła tęsknić za tą specyficzną więzią, z której istnienia dotychczas nie zdawała sobie w pełni sprawy.

Bowiem Enrique de Rascón y Cornejo nie pojawił się tamtej nocy. Ani następnej. Ani żadnej innej.

Po prostu zniknął ze Świata.

Wydawało się, że jedynie Dimas ubolewa nad tym zniknięciem. Pozostali, nawet jeśli je zauważyli, nie dali tego po sobie poznać.

- Gdzie jest Enrique, Veridiano?

Pytanie zaskoczyło ją. Właśnie przeprowadziła z przeorem obliczenia, ilu krów będą potrzebowali, by uzyskać dwieście serów. Rozmawiali o najlepszych metodach wytwarzania i przechowywania nabiału, a potem ona z całą delikatnością dała mu do zrozumienia, że jej zdaniem powinni poświęcić więcej środków na badanie Świata. Jeszcze rozważała w myślach wagę odkrycia ewentualnych nowych gatunków zwierząt i minerałów, gdy przeor zaskoczył ją pytaniem o Enrique.

- Skąd mam wiedzieć? - odparła, starając się zachować spokój.

- Myślałem, że mi to powiesz, pani. Jesteś bowiem jedyną osobą, która może to wiedzieć... Wszyscy mamy oczy i uszy, Veridiano, ale ja widzę i słyszę więcej niż inni. Nie chodzi wcale o to, że dowiaduję się czegoś w konfesjonale. Nie, moja córko, po prostu umiem obserwować.

Veridiana opadła na stołek.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem, co się z nim stało. To znaczy... Wiem, że jest daleko, bo nie wyczuwam go w pobliżu. Przez jakiś czas mieliśmy dużą łączność duchową i teraz... on jest daleko. Bardzo daleko.

Dimas przysunął drugą ławę. Jej nóżki zarysowały drewnianą podłogę. Usiadł koło niej.

- Jestem bardzo zmęczony... W takich sytuacjach lata ciężą mi coraz bardziej. - Veridiana nie spodziewała się, że rozmowa przybierze taki obrót. - Od lat

już nie trafił mi się tu tak obiecujący młodzieniec. Nie pozwoliłbym mu odejść. Nie chciałem, by trwonił swoje zdolności na bezużyteczne ćwiczenia...

Spojrzała na niego poruszona, omal nie krzyknęła, że to wcale nie były bezużyteczne ćwiczenia.

- Ciebie, Veridiano, powinna uczyć Yebra. Kobieta taka jak ty. Nie rozumiesz tego, pani, ale... dusze nauczyciela i ucznia splatają się na zawsze. Łatwo pomylić te uczucia z miłością.

Veridiana nie odpowiedziała. Ogarnęły ją wątpliwości. Kto był mistrzem, a kto uczniem? Dimas zdawał się uważać za oczywiste, że Enrique uczył ją. Ona jednak wiedziała, że ta granica między nimi nigdy nie wydawała się zbyt jasna. A „miłość”? Czy było miłością to poczucie pełni, którego doznała u boku Enrique? Nie. Na pewno nie. Za to jej uczucia względem Victora bardzo miłość przypominały.

- Yebra jest daleko - mruknęła w końcu.

- Tak, ale sądzę, że wkrótce wróci. Z każdym dniem ubywa mi sił, a czas mija tu zbyt wolno... Z pewnością przyjadą niebawem.

Veridiana nie potrafiła zrozumieć pokrętej logiki wypowiedzi przeora.

- Nim będzie zbyt późno, trzeba wyjaśnić kwestię inwersji.

Inwersja. Veridiana wiedziała, że to było ważne, pamiętała, że już w domu Jacoba wszyscy się tym bardzo przejmowali, jednak nie udało jej się dowiedzieć niczego więcej na ten temat.

- Ojcie Dimasie, co to takiego ta inwersja? Dlaczego jest tak istotna?

W odpowiedzi Dimas obrzucił ją jeszcze bardziej znużonym niż przed chwilą spojrzeniem.

- Drogie dziecko - nigdy wcześniej tak jej nie nazywał - to po prostu kłopot z tłumaczeniem. Odczytaliśmy prawie w całości księgę *Porta Coeli*, która pozwoliła nam dotrzeć do tego świata. No właśnie: „prawie”. Na tym polega problem. Trudno to pojąć... - zawahał się na chwilę. - Kiedyś ci to wyjaśnię. Wcześniej czy później i tak musisz się o tym dowiedzieć...

Dimas wstał, jakby uznał rozmowę za skończoną.

- Jestem zmęczony... - mruknął.

- Niech ojciec odpocznie.

- Tak, zrobię to. Na pewno. Ale jest tyle do zrobienia i tak mało czasu - wydawało się, że znów gubi się w swoich pogmatwanych rozmyślaniach. - Dziękuję Bogu, że mam ciebie.

Minęło ciepłe lato, po którym nastąpiła łagodna, krótka jesień. Któregoś dnia Veridiana uświadomiła sobie, że już od kilku dni musi przed wyjściem zarzucać płaszcz. Tym sposobem zrozumiała, że zbliża się zima.

Enrique stał się wspomnieniem, które nawiedzało ją co noc. Co wieczór wspominała młodzieńca, który zniknął z jej życia. Czasem, gdy wiedziała, że nikt jej nie widzi, ćwiczyła, poruszając tkaniny i sznury, tak

jak robili to wspólnie. Ale to już nie było to samo. Wprawdzie udało jej się udoskonalić ewolucje wykonywane przez przedmioty, ale uczucia, które towarzyszyły tym ćwiczeniom, były zgoła inne niż dawniej. Nie widziała już wydobywającego się z jej ciała promienia energii. Czegoś jej brakowało, zupełnie jak gdyby ich ćwiczenia były jedynie przejawem czegoś znacznie ważniejszego, co jednak na dobre zniknęło z jej życia.

Veridiana myślała też o owej Yebrze, o której tyle jej opowiadano. Jeśli któregoś dnia wróci do Świata, czy i z nią zdoła osiągnąć podobną siłę doznań co z Enrique?

Victora widywała teraz rzadziej. Skoro Veridiana mogła przejąć jego obowiązki, zajął się innymi pracami, których nie wykonywali wspólnie.

Gdy go spotykała, mogła się przekonać, że w jego oczach wciąż płonie ten sam ogień, który fascynował ją i przyciągał niczym płomień świecy ćmę. Wiedziała, że darzy ją uczuciem, ale miała świadomość, że stanowi dla mnicha jedynie narzędzie, dzięki któremu łatwiej mógł zjednoczyć się z Bogiem.

Rankami Veridiana nadal zabawiała się pyłkami kurzu i prądami powietrza. Było to znacznie subtelniejsze niż w przypadku większych przedmiotów. Układała z pyłków zawile rysunki, które niekiedy przywodziły jej na myśl wzory, haftowane wraz z innymi kobietami.

Szyła z nimi niemal co dzień. „Krawiectwo doskonali charakter kobiety”, powiedział jej Dimas. Uważa-

ła, że miał rację. Doskonale wypoczywała, zajmując umysł mechanicznymi ruchami igły, które stopniowo nabierały sensu, by wreszcie stworzyć kompletny wzór. Była dumna ze swoich prac. Zgodnie z tym, czego ją nauczono, zawsze miała w swoim koszyczku na przybory do szycia idealny porządek. Jej hafty też z każdym dniem stawały się doskonalsze.

Po zniknięciu Enrique z jej życia oraz oddaleniu się Victora czas jakby zwolnił, a życie Veridiany upływało w ciszy i samotności. Obowiązki, powierzone jej przez Dimasa i codzienne szycie stały się dla niej jedynymi rozrywkami. Kobiety, z którymi tkala, często czyniły jej zarzuty że jest małomówna.

- A wasza wysokość nic nie powie? - kpiła sobie żona majstra Vicentego, tytułując ją tak z wyraźną ironią.

- Wystarczy mi, gdy słucham - odpowiadała, nie zwracając uwagi na te drobne złośliwości. - W milczeniu można się lepiej skupić na pracy i każde wklucie ładnie wychodzi. Spójrzcie same...

Właśnie skończyła haftować białego jednoroźca pędzącego przez błękitne pole przypominającej jedwab tkaniny.

- Cudny - przyznała Magdalena, chłopka, która w swym chudym i zasuszonym ciele skrywała złote serce.

- Mówią, że kiedyś w tym świecie były jednoroźce - dorzuciła żona powroźnika. - Ale wszystkie przeszły do tamtego pierwszego. A tam zdychają.

- Mówią też, że zwierzęta z obu światów krzyżują się ze sobą... I że rodzi się nowe pokolenie potworów, które zaludniają oba światy.

- Święci pańscy, Juana! Aże mnie strach bierze

- zawołała Carmen. - Nigdy nie widziała żadnego z tych stworów.

- Mnie ta się czasem zwidzi jaka stwora abo cosik... szczególniej nocą... - odezwała się bardzo poważnie Magdalena.

- Tutaj jedyną, która je widzi, jest Veridiana. Veridiano, widziałaś kiedyś jednorożca?

Pokręciła głową. Jednak po krótkiej przerwie zawahała się i zdecydowała się powiedzieć coś jeszcze:

- Myślę, że widziałam jednego, bardzo dawno temu. Byłam jeszcze dziewczynką... To nie było takie piękne zwierzę jak ten - gestem wskazała swój haft.

- To prawda, opowiadają, że były wielkie i grube

- ciągnęła żona powroźnika - a jednak... wyjątkowe...

- Pono jeno młode dziewczki mogą ich dosieść

- dorzuciła Elena, najmłodsza chłopka. Veridiana pomyślała, że powinna bardziej stanowczo namawiać Dimasa do dokładniejszego zbadania Świata. Nie wydawał się tym szczególnie zainteresowany, lecz jej zdaniem odkrycie bogactw naturalnych i handel ze starym światem mogły okazać się kamieniami milowymi w drodze ku przyszłości.

- Powim wam cosik! - przerwała jej rozmyślenia Carmen. - Gabriel mi się oświadczył!

- I nic nie mówisz! - Juana aż podskoczyła z wrażenia.

- Jo jużem wiedziała - śmiejąc się pokazała jej język Magdalena.

- Poprosi ojca o moją rękę, a potem weźmiemy ślub.

- Trzeba nam było wcześniej powiedzieć! Uszyłybyśmy ci wyprawę.

- Jużem prawie wszystko uszyła.

- Ile masz lat Carmen? - zapytała Veridiana.

- Szesnaście.

- Doskonały wiek na zamążpójście. Zdążysz urodzić swojemu Gabrielowi dobrą dwunastkę dzieci.

Dziewczyna zaczerwieniła się.

- Bedo wszystkie tako śliczniutkie jak on.

- Poczekajta z tym do ślubu, co? Już ja ich znam... a Jaime, brat Gabriela... Szkoda gadać... Isabelita wyszła za mąż z brzuchem... - żona powroźnika miała brzydki zwyczaj urywania zdań w połowie.

Juana przeżegnała się.

- Uważaj, mała. Poczekaj, aż Bóg pobłogosławi wasz związek.

Wszystkie w milczeniu pokiwały głowami. Carmen przygryzła wargę, jakby chciała zachować milczenie, w końcu jednak nie wytrzymała:

- Czemu to tak słodko grzeszyć?

Veridiana podniosła wzrok i z dezaprobatą popatrzyła na dziewczynę.

- Nieee, nie... Ja przeca poczkam do ślubu, to się wi. Chocia, jak un mnie tyka, to...

Veridiana nie mogła już skupić się na robótce.

Wiele razy o tym słyszała. Rozkosze miłości. Sama poznała tylko Guya. Amory z nim były raczej odpychające. Spocone ciężkie ciało, które ją przygniatało i w kilka chwil osiągało ekstazę, której ona sama nie czuła. Podczas miłosnej pasji jej głównym zmartwieniem było nie zostać zmiażdżoną i uniknąć uduszenia.

Za to Victor... Victor pięknie pachniał. Jego wargi były tak delikatne. Wrażliwe. Ich jedyny pocałunek więcej był wart niż wszystkie uniesienia Guya.

Zastanawiała się, czy one czerpią aż taką przyjemność z pocałunków. Czy ich mężowie są czuli jak Victor, czy brutalni jak Guy. Bowiem nim Veridiana poznała te kobiety, myślała, że wszyscy mężczyźni są jak zwierzęta, jak króliki, które po pokryciu swych samic padają obok wyczerpane... Jak Guy, który po wszystkim, padał obok niej na łożo i wypełniał ciemności donośnym chrapaniem.

Veridiana, myślami bardzo daleko od grupy hafciarek, zastanawiała się, jak mogą wyglądać te rozkosze miłości, o których tyle się mówi. Nie wiedziała, kiedy jej rozważania poszybowały ku Victorowi. I wtedy odkryła ze zdziwieniem, że Juana mówi właśnie o nim.

- ... wyjeżdża.

- Jak to wyjeżdża? - Veridiana aż podskoczyła i dopiero kiedy zdała sobie sprawę ze swojej przesadnej reakcji, poprawiła się i zapytała z udawanym spokojem. - A dokąd?

- Podobno wyjeżdża właśnie przez ciebie - ciągnęła Juana. - Znaczy się skoro ty pomagasz Dimasowi, przeor już go tu nie potrzebuje i dlatego rusza do Toledo. W sprawie ksiąg i mędrców. Przyznam się wam, że czasem chętnie bym stąd wyjechała jak on. Tak bardzo tęsknię za moimi braćmi, siostrzeńcami...

Żona powroźnika ostatecznie odłożyła swoją robótkę na bok.

- To podobno niebezpieczne. Ciągłe przechodzenie przez Wrota w tę i z powrotem może nawet zabić. Ja na pewno tego nie powtórzę. To było straszne.

- Ja żem nic nie czuła. Ino żem omdlała - powiedziała spokojnie Magdalena.

Veridianie przemknęło przez głowę pytanie, czy rzeczywiście zemdląca, czy też uderzono ją, podobnie jak to miało miejsce w przypadku Enrique.

- Tak, to niebezpieczne i można zginąć - kontynuowała Juana. - Mówią też, że ci, którzy często przechodzą przez Wrota, w końcu tracą rozum.

- Dlatego tylko niektórym na to pozwalają. Poszukującym ludzi, których warto sprowadzić tutaj - dodała żona powroźnika.

Veridiana pomyślała przez chwilę o Enrique. Czyżby znalazł Wrota i wrócił do Toledo, czy też umarł lub utknął w strefie między dwoma światami?

- Victor od dawna już nie jeździł... - zauważyła Juana. - To on sprowadził tu mnie i Vicente. Dzielny człowiek!

„Doskonały rycerz Boży”, pomyślała Veridiana.

- To prawa ręka przeora. Na pewno go zastąpi

- stwierdziła żona powroźnika.

- Jeśli ktoś na to zasługuje, to właśnie on...

- A urodny taki, że insze lepi by się pochowały

- powiedziała młoda chłopka Elena, a rumieniec oblał jej policzki.

- To prawda - zaśmiała się Juana, inne zaś pokiwały głowami. - Takie marnotrawienie chłopca!

- Bóg wybiera sobie najlepszych - zażartowała żona powroźnika.

- Poza tym - ciągnęła Juana - on jest Bożym sługą z powołania, a nie jak niektórzy mnisi, co to za dnia wznoszą modły, a nocą... Jak przechodzisz wedle takiego, to ino się gapi, mało mu gały nie wyleżą...

Veridianie igła wysunęła się z palców. Victor wyjeżdżał. Smutek szary jak zimowe niebo zmroził jej duszę.

- Cieszę się, że cię widzę, Veridiano. Podejź tu. Czekala na niego w spichrzu, gdzie gromadzono

ziarno i niektóre podstawowe produkty żywnościowe. Wiedziała, że przeor zwykł był zaglądać tam, wracając z mszy, żeby upewnić się, czy wszystko idzie jak należy.

Tego ranka szron jeszcze pokrywał pola. Trzymał się źdźbeł trawy i kamieni z uporem skazanego na śmierć, który wie, że zostało mu ledwie kilka godzin życia. Gdy tylko żółtawe słońce dotknie łąk, szron będzie musiał zniknąć.

- Pomóż mi wstać, Veridiano. Te moje kolana z każdym dniem bardziej szwankują.

Podeszła i podała mu ramię. Musiała go podtrzymać, by zdołał wstać. Weszli z magazynu i ruszyli w stronę klasztoru.

- Słyszałam, że Victor wyjeżdża - rzuciła Veridiana, jakby to nic dla niej nie znaczyło.

- Źle cię poinformowano... - Poczwała, że w jej duszy zapalił się radosny promyk. - Nie wyjeżdża, tylko już wyjechał.

W jednej chwili świat jej się zawalił. Natychmiast nadleciała *bruma* żadna pożywić się jej rozpaczą.

- Nic mi nie powiedział - wyrwało się jej. Dimas zatrzymał się.

- A dlaczego miałby coś mówić, Veridiano? Victor zdaje sprawę tylko przed Bogiem i Zakonem - głos przeora zabrzmiał wyjątkowo poważnie. - Och, Veridiano, dziecko moje! Nie rozumiesz? Mogę czytać w twoich myślach jak w otwartej księdze. Ja też widzę stwory... Oczy Dimasa błysnęły zawadiacko.

- To cię dziwi? Nie wiedziałaś, prawda?... Veridiano, widziałem *dielagi*, które Victor przyciąga do siebie, gdy tylko jesteś w pobliżu. Widziałem *ody* krążące wokół was, gdy rozmawiacie. Nawet teraz, te *brumy* koło ciebie... Zresztą, pal licho stwory! - zaklął ku zdumieniu Veridiany. - Nawet i bez nich... Wystarczy, że cię znam, wystarczy, że widzę, jak ci błyszczą oczy, kiedy on pojawi się na horyzoncie. Veridiano, jesteś doświadczoną kobietą i powinnaś wiedzieć, że Victor to sługa Boży i mnich.

Spojrzała w błękitne oczka przeora i napotkała jego czyste, łagodne spojrzenie. Pozwoliła, by ją otuliło.

- Wiem, ojciec. Doskonale o tym wiem.

- W takim razie po prostu o nim zapomnij. Nie ma nic lepszego niż oddalenie, by pogrzebać to uczucie, które was niepokoi. Victor pojechał do Toledo i tak jest najlepiej dla was obojga.

„Dla was obojga”? Dimas powiedział to tak, jakby oddalenie było konieczne nie tylko dla niej, ale i dla Victora. Czyżby wiedział również o jego uczuciach? Veridiana przygryzła wargi. Na pewno wiedział. Miał bystry umysł, a ponadto wysłuchiwał w konfesjonale sekretów niemal wszystkich mieszkańców Świata. Musiał znać Victora jak własnego syna. Jego dusza z pewnością nie miała przed nim tajemnic.

- Teraz, kiedy znasz sposób zarządzania Światem równie dobrze jak on, mógł wrócić do Toledo

- ciągnął przeor. - Pozostaje mi tylko przedstawić cię członkom Rady. Może pójdziesz dziś ze mną po raz pierwszy? Co ty na to? Niektórych już znasz, ale chciałbym, aby się z tobą oswajali. Żeby nabrali do ciebie takiego zaufania jak do Victora.

Dimas znów ruszył przed siebie.

- To będzie prawdziwe wyzwanie dla ciebie, Veridiano - zdawało się, że przeor rozmawia sam ze sobą

- Jesteś kobietą i będziesz musiała zdobyć sobie ich poważanie. Ale jestem pewien, że to cię nie przeraża, wręcz przeciwnie, pobudzi cię to do intensywniejszej

pracy dla Świata i Zakonu. I jestem przekonany, że zjednasz sobie Radę, tak jak zjednałaś mnie.

Veridiana uśmiechnęła się do niego. Doszli już niemal do klasztoru. Szron topił się i łąki lśniły w blasku porannego słońca tysiącem maleńkich kropelek.

Rada, której przewodniczył przeor Dimas, składała się z ośmiu członków. Czterej z nich należeli do Zakonu, a pozostali byli przedstawicielami ludu i miasta. Nikt nie reprezentował szlachty, bo taka klasa społeczna jeszcze się w Świecie nie pojawiła.

Victor był zastępcą Dimasa i również wchodził w skład Rady, która zbierała się raz w tygodniu. Posiedzenia odbywały się w kapitularku, gdzie podejmowali wszystkie decyzje.

Gdy Veridiana z Dimasem weszli do sali, pięciu radnych już na nich czekało. Jeśli zaskoczyła ich jej obecność, nie dali tego po sobie poznać.

Podprowadziła Dimasa do jego miejsca i w milczeniu stanęła obok. Czekwała, aż jej powiedzą, co ma robić. Obrzuciła niepewnym spojrzeniem wszystkich radnych i kiedy jej wzrok natknął się na puste miejsce po Victorze, *bruma*, która wciąż za nią leciała, nabrzmiała i zabarwiła jeszcze intensywniejszą purpurą.

Niemal wszystkich członków Rady znała z widzenia. Jako przedstawiciele Zakonu, oprócz Dimasa i Victora, występowali Bias i Anselmo. Anselmo był mni-

chem w podeszłym wieku, bardzo już schorowanym, którego widziała ledwie kilka razy. Zajmował się kwestiami militarnymi, choć na co dzień na ogół wyřęczał go w tym Jos , nauczyciel sztuk walki. Brat Blas odpowiadał za prawo i bibliotekę.

Wśród przedstawicieli ludu znajdował się Lorenzo L pez, któremu powierzono sprawy związane z handlem i produkcją. Veridiana zdążyła już poznać jego zmysł praktyczny i bystrą inteligencję. Znała teŹ Gila de Beltr n, księgowego i skarbnika, oraz Pabla Za-more, skrybę i notariusza. Vicente, majster murarski, był majordomusem i przedstawicielem coraz liczniejszych w Świecie cechów rzemieślniczych.

Veridiana widziała go tylko raz, i to przelotnie. Teraz wreszcie mogła go bliŹej poznać. Trudno jej było uwierzyć, Źe ten niewysoki i pulchny męczyzna to człowiek, o którym tyle rozmyślała w Toledo, gdy sądziła, Źe zaginał.

Wszyscy wstali i Dimas powitał ich głębokim, mocnym głosem, który zaskoczył Veridianę. Następnie otworzył sesję Rady.

- Witajcie, panowie. Niech Bóg ma was w opiece. Jak wiecie, nie ma dziś z nami Victora. Wrócił do Toledo. Tłumaczenie *Porta Coeli* nadal jest dla naszego Świata sprawą podstawową. I jak się wydaje, postępuje ono do przodu w sposób zadowalający. Myślę, Źe już wkrótce rozwiąŹemy ten problem. Jacob postanowił skontaktować się z Juanem z Cremony i z właścicielami pozostałości po arabskich bibliotekach. Chyba wystarczyło mu na to czasu.

Mam nadzieję, że Victor wróci z pełnym przekładem w rękę.

Dimas przerwał na chwilę, jakby musiał zebrać siły po tym krótkim wstępie. Następnie przeszedł do innych tematów.

- Dziś, jak widzicie, towarzyszy mi Veridiana. Veridiana de Sanabria - baronowa de Fleurilles, pani na zamku w Tuluzie... Jak już wspominałem na poprzednim zebraniu, proponuję ją na członka Rady...

Veridiana spojrzała na niego zdumiona. O niczym jej nie uprzedził. Napotkała figlarny uśmiezek Dimasa.

- Po pierwsze, pod nieobecność Victora będzie moją zastępczynią. Po drugie, jest przedstawicielką kastylijskiej arystokracji, córką Sancha de Sanabria, z rodziny Sanabriów z León. To nie byłoby jakiś ród. Ponadto, po mężu jest panią de Fleurilles i Tuluzy. Dlatego postuluję włączenie jej do Rady. Na razie jako zastępczynię Victora, a jeśli Rada dostrzeże w niej te same przymioty co ja, proponuję, by po jego powrocie została pełnoprawnym członkiem Rady.

Veridiana nie wiedziała, jak się zachować. Nie uprzedzić jej o niczym... Właściwie takiej niespodzianki mogła się po Dimasie spodziewać... Zawstydzona spuściła wzrok. W czasie, gdy przeor przedstawiał jej zalety i zasługi, przyjrzała się dokładnie posadzce kapitułarza, składającej się z prostych drewnianych klepek.

- Wielu z was wie już, jak Veridiana pracuje, a tych, którzy nie wiedzą, mogę zapewnić, że wierzę

w rozsądek tej kobiety jak w swój własny i dlatego proszę, byście traktowali jej słowa tak jak moje lub Victora. Mam absolutne zaufanie do tej damy, która dziś tu ze mną przybyła, i jestem pewien, że z czasem cała Rada będzie podzielać moje zdanie na jej temat...

Dimas mówił dalej; Veridiana dopiero po chwili poczuła się na tyle pewnie, by podnieść głowę i spojrzeć po kolei w twarz każdemu z radnych.

Potem przedstawiono ją każdemu z osobna i na koniec usiadła na miejscu Victora.

Gdy uczestniczyła stamtąd w obradach, zastanawiała się, czy któryś z tych mężczyzn, pomijając Dimasa, jest w stanie zobaczyć to, co ona. Bowiem dziesiątki *reitów* kłębiły się u jej stóp, pożywiając się jej dumą, kręciło się też kilka *od*, trzepoczących swymi połyskliwymi skrzydełkami, a *suwie* czołgały się ku niej, zostawiając za sobą poświatę w żywych kolorach.

Brumy znikły zupełnie. Ból po stracie Victora ulotnił się, gdy zobaczyła, że siedzi jako jeden z członków Rady. Ona, zwykła kobieta.

Nieoczekiwanie poczuła, że tu, wśród ludzi rządzących Światem, znajduje się wreszcie na swoim miejscu, miejscu, które od dawna na nią czekało. Przez chwilę jej radość i satysfakcja były tak wielkie, że omal nie zemdląła, poddając się euforii.

Z najwyższym wysiłkiem skupiła się jednak na sprawach, o których była mowa. Musiała słuchać uważnie. Chciała wszystkiego się nauczyć, zgodnie ze

swoją skłonnością do perfekcji i zdobyć sobie zaufanie oraz szacunek Rady, tak jak zdobyła je sobie w oczach Dimasa.

Zgodnie z przewidywaniami przeora było to tylko kwestią czasu.

Nigdy jeszcze wiosna nie wydała jej się tak świetlista. Żółtawe światło było bardziej żółte niż zwykle, a wieczory trwały i trwały, dzięki czemu mogła wydłużyć czas, który poświęcała na swoje liczne obowiązki. Łąki wybuchły miriadami barw, a las był tak intensywnie zielony, że chwilami lśnił niczym szmaragd.

Co dzień do zmierzchu chodziła z Lorenzem Lópezem i dostawcami, sprawdzając rachunki ze skarbnikiem Gilem de Beltran. Z Lorenzem nieraz dyskutowała o towarach najbardziej zdalnych do handlu. On skłaniał się ku suszonym owocom i niektórym nasionom podobnym do znanych w ich pierwszym świecie, lecz Veridiana sądziła, że większą korzyść odniosą, sprzedając produkty już przetworzone, takie jak podobne do jedwabiu tkaniny, które w końcu udało im się wytworzyć. Mogła teraz zastosować w praktyce to wszystko, czego nauczyła się od swojego brata Juana o handlu sukniem. Wiedzę na temat zarządzania gospodarstwem wyniosła jeszcze z zamku w Tuluzie. Miała wrażenie, że Bóg poprowadził ją długą, krętą ścieżką, tak by po drodze zdążyła się nauczyć wszystkich potrzebnych rzeczy, a teraz wresz-

cie nadszedł moment, kiedy mogła wykorzystać zebrane wcześniej umiejętności, dotarłszy do celu, który był jej pisany: do Świata.

Brakowało jej czasu na zajmowanie się wszystkim, czego chciałyby dopilnować, dlatego postanowiła porzucić popołudniowe szycie, a wraz z nim Juanę, Magdalene, Carmen, Elenę... Dimas jednak nie pozwolił jej na to.

- Moja droga Veridiano, szycie koi i oczyszcza kobiecą duszę, a szczególnie taką jak twoja. Twym grzechem jest pycha i dlatego powinnaś przestawać z prostymi ludźmi i uczestniczyć w ich codziennych troskach. Zwłaszcza teraz, kiedy jesteś w Radzie.

- Ale, ojczy - ośmieliła się zaprotestować - ja uwielbiam szycie! Uważam po prostu, że bardziej jestem potrzebna Światu, Bogu i Zakonowi gdzie indziej i że powinnam...

- Nie ma mowy - przerwał jej. - Wiem, czego ci potrzeba: nauki pokory...

- Ja jestem pokorna... - szepnęła.

Dimas wybuchnął śmiechem, który po chwili przerodził się w atak suchego kaszlu.

- Wystarczy na ciebie spojrzeć, drogie dziecko. Co dzień kobieca pokora walczy w twojej duszy z próżnością i ambicją. Można by powiedzieć, że sama siebie nie znasz. Dziękuj Bogu, że nie wyznaczyłem cię do pielęgnowania chorych...

Spuściła wzrok.

- Zupełnie się nie nadaję do opatrywania ran. Bóg nie dał mi takich zdolności...

- Wiem, wiem, moje dziecko. Dlatego igła krawiecka jest twoją najlepszą bronią. Potrzeba ci panowania nad sobą i ostrożności. Szycie porządkuje i oczyszcza duszę, hamuje zachcianki i żądze.

Veridiana westchnęła. Nadal sądziła, że jedynie traci czas przy tych zajęciach. Ponadto, dla tamtych kobiet wciąż była wyniosłą damą, a teraz w dodatku członkinią Rady. Nie, nie należała do nich i dobrze o tym wiedziała.

Największą sympatię czuła do Carmen. Wyszła za Gabriela i natychmiast zaszła w ciążę. Veridianie zdawała się miłą dziewczyną, którą łatwo mogła sobie wyobrazić z dorodnym bobasem w ramionach. Gdy myślała o dziecku, przypominali się jej bratankowie. Zastanawiała się, czy dobrze się czują i czy pięknie rosną. Zawsze wyobrażała ich sobie, jak bawią się na patio w domu brata, tak jak wtedy, gdy widziała ich ostatni raz przed wyjazdem z Toledo.

Co noc modliła się za nich. Lubiała wspominać ich głosy, słodki zapach biszkopta, który czuła, targając im włosy, pulchną rączkę Clarity. Modliła się też za swojego brata i jego żonę. I za Victora. Zeby szybko wrócił do Świata.

Właśnie jednej z takich nocy, gdy po skończonej modlitwie zaczęła już ulegać owemu światu nierzeczywistych cieni, nawiedził ją ten sen.

Nagle ciemności w celi Veridiany zlały się z jakimś innym mrokiem, w którym usłyszała odległe jęki. W jej głowie dudnił przyspieszony oddech. Po omacku szukała, do kogo należy. I napotkała Victora.

Cierpiał. Krwawił jak Chrystus na krzyżu.

Veridiana z całą wyrazistością zobaczyła krople krwi ściekające po jego czole niczym strużki potu, zobaczyła, jak zaciska zęby, by zdusić krzyk. Wreszcie ból okazał się silniejszy i z ust mnicha wyrwał się piskliwy jęk, niemal gwizd.

„Victor!”, pomyślała z przerażeniem.

- Veridiana! - twarz w jej sennej wizji otworzyła oczy, jakby Victor usłyszał ten okrzyk.

Obudziła się.

Co za koszmar! W jej skromnym pokoiku, znajdującym się w części zarezerwowanej dla zakonnicy i innych kobiet, panowały absolutne ciemności. Serce waliło jej jak oszalałe. Starła się uspokoić, ale wciąż miała przed oczami straszliwą wizję.

Zamknęła powieki i znów zobaczyła Victora. Teraz modlił się. Miał zaciśnięte zęby i twarz zbryzganą krwią.

Veridiana przeraziła się i otworzyła oczy. Wciąż jednak widziała przed sobą twarz modlącego się Victora.

Jego jasne włosy zmieniły się w kleiste strąki pozle-piane krwią i potem. Wizja była tak rzeczywista, jakby naprawdę stał tuż przed nią. Czuła nawet jego zapach.

Veridiana leżała z otwartymi oczyma, a naprzeciw znajdował się Victor.

Zamknęła oczy. Mimo to widziała jego obraz odcisnięty na siatkówce.

Bez względu na to, czy opuszczała czy podnosiła powieki, on wił się przed nią w mękach.

- Victor! - krzyknęła rozpaczliwie w ciemności.

- Veridiano - wyszeptała jej wizja łamiącym się głosem. -
Umieram szczęśliwy, bo jesteś przy mnie.

Veridiana gwałtownie usiadła na sienniku.

Ciemności zniknęły. Victor stał przed nią przywiązany do jakiegoś słupa, niczym święty Bartłomiej w godzinie swej męczeńskiej śmierci.

- Nie! - krzyknęła tak stanowczo, że zabrzmiało to jak rozkaz. - Nie umieraj. Wytrzymaj, Victorze! Gdzie jesteś?

Obraz Victora nic jej nie odpowiedział, mężczyzna zamknął tylko oczy, jakby ogarnęło go nieprzeparte znużenie, jakby omdlał. Wtedy jej celę na powrót ogarnął mrok. Jednak wcześniej zdołała jeszcze usłyszeć dzwony kościoła San Roman. Dźwięk, który towarzyszył jej przez wszystkie lata spędzone w Toledo. Wtedy zrozumiała bez cienia wątpliwości, że Victor jest w Toledo i umiera.

Ogarnął ją przepastny mrok. Serce łomotało, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Victor nie mógł umrzeć, nie tak.

Ona do tego nie dopuści.

Obudzono go w środku nocy; młody brat Isidoro ściągnął go z siennika. W drzwiach stała już Veridiana. Było zimno, więc owinęła się szeroką peleryną. W rękę trzymała świecę.

- Dobry Boże, Veridiano! Cóż takiego się stało, że nie może poczekać do rana?

Gestem odprawiła brata, którego zmusiła do obudzenia przeora. Odszedł, a kobiecie wydawało się, że połknęła go ciemność korytarza.

- Victor jest umierający.

- Co?

- Victor umiera. Torturują go w Toledo... Resztki snu ostatecznie opuściły przeora.

- Co ty mówisz?

- Miałam wizję. To nie był senny koszmar, jestem pewna. Wiem, jak wyglądają sny, a jak rzeczywistość. Jakimś sposobem zobaczyłam go. Chcą go zamordować - wyjaśniła pospiesznie.

Dimas gestem wskazał Veridianie korytarz. Musiał ją stąd wyprowadzić - żadna kobieta nie mogła przebywać w tej części klasztoru.

- Chodźmy do refektarza...

- To nie ma teraz znaczenia, musi ojciec wysłać kogoś natychmiast. Victor umiera...

Dimas westchnął.

- Po kolei. Dlaczego myślisz, że on umiera?

- Ja to wiem. Bez cienia wątpliwości. Gdybym nie była całkowicie przekonana, że to, co ujrzałam naprawdę się dzieje, nie odważyłabym się tu przychodzić i budzić ojca. Ojcie Dimasie, musimy natychmiast go ratować - zakończyła szybko. - O Boże!

- Co dokładnie widziałaś? - dociekał przeor, wciąż pełen wątpliwości.

- Cierpiał... Krwawił... Był w Toledo, zamknięty w jakiejś ciemnej i wilgotnej celi. Przywiązali go do jakiegoś słupa...

Dimas potknął się, próbując wyminąć *osta*, który czepiał się jego nóg.

- Dawniej zastanawiałbym się nad wiarygodnością tej... wizji. Ale obecnie już w to nie wątpię. Widziałem niewiarygodne rzeczy i przeżyłem wystarczająco dużo, by wiedzieć, że ten Świat odmienia swoich mieszkańców. Udowodniłaś, że masz moce, których inni nigdy nie posiadają, a ta wizja... Być może to kolejny krok w twoim rozwoju. Widziałem już takie przypadki, tak...

Weszli do refektarza. Veridiana zapaliła lampy umieszczone po obu stronach drzwi. Drżący blask płomieni rozświetlił pomieszczenie.

Dimas z trudem podszedł do ławy pod ścianą i opadł na nią. Nowe cienie wychynęły z mroku. *Pergi* dołączyły do *ostów* krążących wokół przeora.

- Nie mogę nikogo wysłać. Podróżowanie między oboma światami nie jest takie proste, Veridiano - wymamrotał z rozpaczą. - Przeszkoliliśmy niewielką grupę poszukiwaczy, a w tym momencie nie mam akurat nikogo do dyspozycji.

- W takim razie ja pójdę.

- I co zrobisz?

- Nie wiem, ojcze, nie wiem. Wszystko, co będzie w mojej mocy. Nie mogę stać z założonymi rękami, wiedząc, że Victor umiera, rozumie ojciec?

- Wszyscy umrzemy pewnego dnia, a jeśli taka jest wola Boża... Nie możemy się jej sprzeciwić.

- W takim razie dlaczego Bóg zesłał mi tę wizję? Żeby mogła przyjść mu z pomocą i uratować go!

- Nikt nie może przeniknąć zamysłów Pana względem nas śmiertelnych. Poza tym trudno wyobrazić sobie gorszy moment na twój wyjazd. Bez ciebie, bez Victora Rada utraci swoich najcenniejszych członków.

Veridiana oniemiała. Jak mógł w takiej chwili przejmować się Radą? Liczyło się tylko życie Victora!

- Jeśli żadne z was nie wróci, co będzie z Radą?

- Kogo obchodzi Rada! - rzuciła z wściekłością.

- Mnie, Veridiano. Mnie. Ponieważ Rada kieruje Światem, a bez Victora, bez ciebie... Muszę ci to powiedzieć, Veridiano - zaczerpnął powietrza - Victor to mój następca. Wiesz o tym, czyż nie? Wprawdzie Rada nie wypowiedziała się jeszcze w tej sprawie oficjalnie, ale wszyscy uważają to za oczywiste. Zawsze tak sądziliśmy i rzeczywiście nie ma nikogo lepszego do pełnienia tej funkcji... Z wyjątkiem ciebie, oczywiście. Ale ty jesteś kobietą. Możesz zajmować się wszystkimi sprawami związanymi z zarządzaniem, organizacją, ale sprawami duchowymi? Kto jest predestynowany, by doglądać dusz mieszkańców tego świata?... Nigdy nie będziesz mogła zostać przeorem Zakonu - nawet w tym ciężkim momencie potrafił zdobyć się na uśmiech. - Możesz go jedynie zastępować. Udowodniłaś to z nawiązką... Ale gdybym ja też...

- Ojciec jest tutaj... Dimas westchnął ciężko.

- Nie rozumiesz. Tak, jestem tutaj, ale już nie na długo, Veridiano, nie na długo. Mój czas się kończy.

Zużywam się, wiedz. Lata ciążą mi niczym kajdany i śmierć wkrótce mnie dosięgnie. Jestem silny, zawsze taki byłem i właśnie dlatego zdaję sobie sprawę, że z każdym dniem trudniej mi pokonać choćby kilka stopni - gestem wskazał korytarz za swoimi plecami.

- Zdaję sobie sprawę, że czasami zapominam o rzeczach, o których nie powinienem był zapomnieć. Ze nocą nawet oddychanie przychodzi mi z trudem... Kości mi trzeszczą, Veridiano. Wiem, że pewnego dnia zasnę i więcej się nie obudzę, a dzień ten jest już bardzo bliski. Nie martwię się tym. Taki jest porządek rzeczy... Ale chciałbym zostawić tu wszystko w porządku. Niepokoi mnie, że...

- Czy nie ufa ojciec pozostałym członkom Rady?

- przerwała mu. - Majster Vicente, brat Anselmo, Blas... Wszyscy oni są w stanie...

Dimas przerwał jej zdecydowanym gestem.

- Anselmo też już wkrótce umrze. Może nawet szybciej niż ja. Od dawna poważnie choruje. A Blas to mól książkowy. Rada go nie interesuje. Jego głównym zmartwieniem jest odzyskanie wiedzy, którą straciliśmy wraz z dawnym klasztorem Świętej Cek-liny; segregowanie ksiąg, pergaminów i zwojów to jego obsesja. Z kolei Gil, Pablo i Lorenzo bardziej niż na duszach skupiają się na dochodach. Zagraża im zawiść... Dlatego tak ważne jest, by w Radzie był jakiś Boży człowiek, ktoś szanowany, o prawym sumieniu, kto mógłby nimi kierować. Ktoś taki jak Victor...

Nigdy nie myślała o Radzie z tego punktu widzenia.

- W takim razie niech mi ojciec pozwoli iść samej. Obiecuję wrócić, dam na to moje słowo...

- Myślisz, że przejść Wrota to tak jak przekroczyć ten próg - wskazał ręką drzwi oświetlone chybotliwym płomieniem lamp i Veridiana zrozumiała, że mówi to śmiertelnie poważnie. - Nie, kochana Veridiano, nie masz nawet pojęcia, czym jest przejście Wrót.

- Jeśli ma ojciec na myśli ból, zniosę to!

- Nie, nie chodzi mi o ból. Ból to nic takiego! Jak sądzisz, dlaczego tylko nielicznym pozwalamy przekraczać Wrota? Dlaczego wybraliśmy na poszukiwaczy naszych najlepszych ludzi?... Gdyż te Wrota kryją w sobie straszliwy sekret. Chodzi o coś, co sprawia, iż wszyscy, którzy tu przybyli, porzucili swój pierwotny świat na zawsze. Jest jeszcze tyle rzeczy, o których nie wiesz... - zakończył z nutą żalu.

- Wyruszę do Toledo, ojcze. Nieważne, co się stanie. Umieję dochować tajemnicy...

„Całe życie to robię”, pomyślała.

- No tak, widzę już, że tam pójdziesz, niezależnie od tego, co powiem... - Dimas westchnął ze znużeniem. - I że zrobisz wszystko, co się da, by uratować Victora. Dobrze cię znam, Veridiano, może nawet lepiej niż ty sama. Dlatego błagam, wysłuchaj mnie teraz uważnie, bo to, co chcę powiedzieć, jest skomplikowane. Powinnaś to jednak wiedzieć, nim zdecydujesz się popełnić jakieś barbarzyństwo...

Powiew wiatru zakolysał płomieniami lamp. Przez chwilę Veridiana myślała, że zgasną i zapadnie całkowita ciemność.

- Czas płynie tu u nas bardzo wolno. Zauważyłaś, jak długo trwa jedna pora roku, prawda? W tamtym świecie wszystko dzieje się dużo szybciej. Jeden rok tutaj to kilkanaście lat tam.

Veridiana słuchała, nie potrafiąc do końca pojąć znaczenia jego słów.

- Nie rozumiesz? Twój bratanek, którzy tam zostali, już nie są mali. Pewnie już założyli rodziny i mają własne dzieci... Rok tutaj to wiele lat tam.

Z gardła wyrwał się jej okrzyk. Zrozumiała konsekwencje tego, o czym mówił do niej przeor.

- Dlatego zrezygnowaliśmy z podróży pomiędzy światami - ciągnął Dimas - dlatego tylko nieliczni, poszukiwacze, przekraczają Wrota. Oni są w stanie pogodzić się z upływem czasu. Stawić czoła rzeczywistości, która wydawała im się dobrze znana, a tymczasem zupełnie się zmieniła...

Veridiana pomyślała o pulchniutkiej rączce Clary. Jej bratanica nie jest już dziewczynką? Co wyrosło z tej małej, którą tak kochała?

- Powinien był mnie ojciec uprzedzić!

- Dlaczego? Po co? Świadomość, że ludzie, których znasz, starzeją się i umierają, podczas gdy ty żyjesz w czasie, który wolniej upływa... jest bezużyteczna, moja córko. Oznacza tylko dodatkowe cierpienie. Zrezygnowaliśmy z naszego pierwotnego świata. Lepiej nie wiedzieć.

Przeor odetchnął głęboko. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Ale to jeszcze nie wszystko... Słuchaj uważnie, czas to jedna z największych zagadek Świata. Wydaje się bowiem, że Wrota pozwalają też na podróż w przeciwnym kierunku. To znaczy - na inwersję. Tego właśnie dotyczy ów fragment *Porta Coeli*, którego jeszcze nie zdołaliśmy zrozumieć.

- Inwersja?

Czy wreszcie Dimas postanowił wyjaśnić jej to, o czym tyle razy słyszała, zawsze w niedopowiedzeniach, w ukryciu, szeptem, jak gdyby chodziło o jakiś straszliwy sekret, o którym nikt nie ma odwagi mówić pełnym głosem?

- Sądzymy, że Wrota mogą się otwierać niejako w dwóch kierunkach. Teraz przebywamy w czasie mijającym wolniej, a kiedy wracamy do naszego pierwotnego świata, widzimy, że tam czas płynie szybciej. A zatem... Przypuśćmy, że przechodzisz tam teraz i okazuje się, że twoi rodzice są już starcami, a bratankowie dorosłymi ludźmi... Jednak - Dimas podniósł do góry palec, jakby pragnął podkreślić wagę swoich słów - być może istnieje możliwość odwrotna, to znaczy możliwość powrotu do przeszłości...

- Powrotu do przeszłości? - To zdanie wydało jej się pozbawione sensu.

- Tak, wrócić do przeszłości, do czasu kiedy, na przykład, twoi rodzice byli dziećmi... Przekroczyć Wrota, by trafić do minionego momentu, wcześniej-

szego niż ten, kiedy przemieściłaś się tutaj. Wygląda więc na to, że Wrota mogą otworzyć się w innym kierunku: to właśnie inwersja...

Dopiero teraz, dzięki przykładowi, Veridiana zrozumiała, co ma na myśli. Pomysł, by spotkać swoich własnych rodziców jako dzieci, wydał jej się makabryczny. Przenieść się do czasów, w których jeszcze się nie urodziła. Miała wrażenie, że głowa za chwilę jej eksploduje.

- Tak, to zawiła koncepcja, której nasze niedoskonałe umysły nie mogą pojąć - po raz kolejny Dimas zdawał się czytać jej w myślach. - Szczegółowo przestudiowaliśmy fragmenty, które traktują na ten temat. Dotarliśmy do największych mędrców, którzy debatowali o tym problemie między sobą i wreszcie doszli do wniosku, że to rzeczywiście możliwe. Nie wiadomo tylko do końca jak. Trudno wręcz pojąć konsekwencje, jakie niesie za sobą ta koncepcja. - Dimas położył dłoń na piersi, jakby bolało go serce, gdy wyłuszczał te tajemne zawiłości. - Pomyśl tylko: w końcu docierasz do przeszłości. Spotykasz swoich rodziców i, przypuśćmy, zabijasz jedno z nich. W takim wypadku...

Nagle zrozumiała.

- Wówczas nigdy bym się nie urodziła!

- Właśnie - Dimas odetchnął z ulgą. - Ani ty, ani twoje rodzeństwo. A gdybyś się nie urodziła, nie byłoby cię. A w takim wypadku, nie mogłabyś przybyć do Świata ani podróżować w przeszłość. Tak, Veridiano, szczerze mówiąc nie rozumiem tego, ani ja, ani

najwięksi mędrcy, z którymi się naradzaliśmy. Dlatego mówię ci, że inwersja, podróż w przeszłość to temat, którego nasz ludzki ograniczony umysł nie pojmuje.

Przeor zrobił ruch, jakby chciał wstać, jednak najwyraźniej zrezygnował i znów opadł na ławę.

- *Porta Coeli* ostrzega o ogromnych niebezpieczeństwach, które pociąga za sobą, o zagrożeniach znacznie większych niż śmierć podróżnika. Bowiem konsekwencje mogą być straszliwe nie tylko dla tego, kto je przekroczył, ale dla całego naszego Świata... jak również dla tego, z którego pochodzimy! To tak jakby równowaga między światami zachwiała się w chwili, gdy zaistnieje coś wręcz nieprawdopodobnego.

Dimas oparł się plecami o ścianę. Nagle wydał się jej stary, zmęczony, skończony.

- Dlatego musimy to zbadać. Dlatego nasi najlepsi badacze mają za zadanie przetłumaczyć do końca *Porta Coeli*. A jeśli gdzieś kryje się klucz do wyjaśnienia tego wszystkiego, to właśnie w Toledo. Tam trafiły pozostałości wspaniałych bibliotek arabskich, dzieła kultur starszych niż nasza, mądrości Persów. Całe światło wiedzy można tam odnaleźć, Veridiano.

Dimas odetchnął jeszcze raz, zupełnie wyczerpany.

- Ty chcesz uratować życie jednego człowieka... I to w chwili, gdy powinniśmy mieć na względzie dobro całego świata.

- Ten człowiek to sługa Boży. „Najlepszy z ludzi, rycerz doskonały.”

- Bóg wie, że kocham Victora jak własnego syna, Veridiano. Od dziecka wychowywał się z nami w Świętej Ceklinie.

Veridiana spojrzała na niego stanowczo. Determinacja, którą przeor mógł wyczytać w tym spojrzeniu, zaważyła więcej niż wszystkie słowa.

- Jeśli to Bóg zesłał ci tę wizję, przeznaczył ci też zapewne jakieś zadanie. I cokolwiek ci powiem, nie wpłynie to na twoją decyzję, prawda?

Veridiana potwierdziła.

- W takim razie, idź, Veridiano. Jedź do Toledo i postaraj się uratować Victora. Będziesz jednak zdana sama na siebie, a jeśli nie wrócisz... niech Bóg ma nas w opiece.

CZĘŚĆ
III

O powrocie do Toledo i czarnej śmierci

Veridiana czuła się zdezorientowana i przemęczona. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Dimas zaprowadził ją do kuchni i pomógł przygotować tłumoczek z najniezbędniejszymi rzeczami.

- Wrota się przemieszczają, Veridiano. Zawsze znajdują się w pobliżu jakiegoś dawnego miejsca mocy - powiedział, gdy już wszystko było gotowe i czekali na Isidora, który miał im pomóc w odnalezieniu najbliższych Wrót. - Toledo to miejsce bardzo potężnej mocy; od niepamiętnych czasów uważano je za mistyczne centrum. Zawsze w pobliżu Toledo znajdowały się jakieś Wrota... Ale uważaj, Veridiano, nie wiadomo, gdzie wyjdiesz; może to być dowolne miejsce na świecie. Jest tylko jeden znany nam sposób, który może ci zapewnić przejście i powrót w odpowiednie miejsce - musisz myśleć

o kimś lub o czymś, co dobrze znasz. Skoncentruj się na tym, na tej jednej myśli, aby wylądować jak najbliżej. Potrafisz to zrobić, skoro twoja siła woli uniosła kulę. Teraz użyj tej siły, by odnaleźć Toledo.

Dimas i Isidoro odprowadzili ją do najbliższych Wrót. Były to niecałe dwie godziny marszu przez ciemny las, którego nieprzenikniona czerń jeszcze bardziej zaniepokoiła jej znękaną duszę.

- Znalezienie Wrót powrotnych nie powinno być dla ciebie trudne - wyjaśniał dalej przeor podczas drogi przez las. - Jestem o tym przekonany. Byłaś w tym Świecie i dlatego zawsze będziesz z nim czuła łączność. Doświadczysz bliskości Wrót jako lekkiego niepokoju, czegoś trudnego do wyjaśnienia, ale na pewno od razu się zorientujesz.

Pokiwała głową. Na próżno. Dimas raz jeszcze zaczął jej to wyjaśniać na dziesięć różnych sposobów.

- Nie chcę cię stracić. Wróć do nas, Veridiano - powiedział jej na koniec przeor, gdy dotarli do miejsca, w którym wiatr zdawał się wiać jednocześnie we wszystkie strony.

- Nie straci mnie ojciec, daję słowo.

Dimas poszukał czegoś między połami habitu i podał jej sztylet.

- Jeśli Bóg pozwoli, nie będziesz go potrzebować. Ale lepiej się przygotować na najgorsze. Będziesz się mogła obronić, a gdyby zabrakło ci pieniędzy... Ma sporą wartość.

Był to toledański sztylet pięknej roboty. Ozdobna rękojeść zachwycała nie mniej niż pochewka z surowej

skóry. Choć Veridiana nigdy nie czuła pociągu do broni, zważyła sztylet w rękę, tak jak robili to mężczyźni, których zdarzało jej się podpatrywać, i pomyślała, że leży w dłoni jak ulał. Dimas spojrział na nią smutno.

- Oby ci się nie przydał. Z Bogiem.

Wiatr wył już tak mocno, że niemal niczego poza nim nie słyszała, a jeszcze docierał do niej krzyk Dimasa:

- Pomyśl o Toledo, o miejscu, które dobrze znasz! Veridiana zamknęła oczy i próbowała zapomnieć o siłach, które pchały ją w otchłań czarną jak smoła. Pomyślała o patio w domu swojego brata. Przypomniała sobie zapach, który unosił się tam w cieniu osłoniętym przed nieubłaganym tolekańskim słońcem. Wyobraziła sobie, że gładzi palcami wytartą cembrowinę studni, pogładziła miękki skórzany wór, którym nabierali wodę. Przywołała w pamięci płyty posadzki, czerwone i błyszczące, wytarte tysiącami kroków. Wyobraziła sobie, że przemierza patio, wspina się po drewnianych schodkach, których drugi i siódmy stopień skrzypi, potem przechodzi galerią aż do swojego pokoju. Tam, oprócz starego kufra z okuciami i swojego posłania, widzi kołyskę Rodriga i nagle uświadamia sobie, że przecież on nie jest już dzieckiem. Że tamten chłopiec zniknął na zawsze. Że nigdy nie poczuje już jego rączek na swojej szyi, nigdy nie weźmie go w ramiona i nie utuli... Łzy bólu wręcz fizycznego, a może i smutku stanęły jej w oczach; zmusiła się do wyjścia z tego wyobrazonego pokoju

i wróciła do drewnianej barierki. Wychyliła się nad nią, by wyjrzeć na patio! I nagle poczuła zapach drzew, wilgoci... Odkryła, że nie znajduje się wcale w lesie, lecz na wolnej przestrzeni, i oddycha chłodnym nocnym powietrzem.

Otworzyła oczy i napotkała absolutną ciemność.

Nocny powiew bawił się kosmykami jej włosów. Veridiana uniosła wzrok i ujrzała stary, dobry księżyc, księżyc w nowiu, który wydał jej się bardziej lśniący i piękniejszy niż kiedykolwiek.

Znajdowała się w lesie. Była sama. Pachniało dębina i mokrą ziemią - stare, dobrze znane zapachy, jednak dużo intensywniejsze niż kiedyś. Poczła też woń figowców i drzew migdałowych oraz małych zwierząt, które spały w pobliżu, i większych, które skradały się w ciemnościach.

Rozejrzała się wokół i choć zalewały ją tysiące doznań zmysłowych, zobaczyła wokół jedynie cienie.

Postarała się opanować strach. Owinęła się w swoją podróżną pelerynę. Przycisnęła do siebie tobolek, podeszła do drzewa i oparła się o jego pień.

Postanowiła tak czekać brzasku. Zaczęła się modlić. Modliła się, by tamto blade światło, które zdawało się pojawiać na horyzoncie, było błogosławionym świtem.

Gdy słońce pokazało się wreszcie nad łagodnymi wzgórzami, nie wiedziała, dokąd się skierować. Panował ów szczególny, pozbawiony wilgoci chłód, który

wydał jej się znajomy. Ptaki: drozdy, kosy, dzwońce witały nowy dzień porannymi trelami.

W świetle poranka zorientowała się, że jest wiosna. Na tle zieleni pól widniały czerwone plamy maków, fioletowe kępki lawendy i jaskrawa żółć małych kwiatuszków, które z łąk dotarły aż w głąb lasu.

Veridiana pomyślała o Toledo, mieście otoczonym przez zakole Tagu, o majestatycznym profilu katedry górującej nad miastem... Wiatr przyniósł jej z zachodu zapach ludzi. Ruszyła więc w tamtym kierunku, idąc wzdłuż strumieni, w nadziei, że odnajdzie drogę, która zaprowadzi ją do Toledo.

Gospoda wydawała się porzucona od dłuższego czasu.

Veridiana zajrzała do pustych stajni śmierdzących zgniłym sianem. W poidłach stała jeszcze woda, jakby jakieś zwierzę miało pojawić się za chwilę i ją wychłęptać.

Wiatr gwizdał między obluzowanymi deskami ścian, a targane powiewem drzwi skrzypiały smętnie w zawiasach. Ktoś musiał je wyważyć. Veridiana weszła i przez chwilę błąkała się po opuszczonym zajeździe.

Nie zostało tu nic prócz gęstego smrodu śmierci i moczu.

Grube deski wyrwane ze stołów leżały zrzucone na stertę pod ścianą. Na środku sali widać było resztki ogniska, które ktoś tu sobie rozpałił.

Ani żywego ducha. Nie musiała uciekać się do swoich nadzwyczajnych zdolności, by się tego domyślić. Wszystko było tu martwe, porzucone dawno temu.

Wydało jej się, że zna to miejsce. Leżało ledwie kilka mil od Toledo. Przy trakcie do Sonseca.

Ruszyła drogą w kierunku, gdzie, jak sądziła, znajdowało się miasto, zastanawiając się jeszcze, co właściwie skłoniło oberżystów do porzucenia miejsca, które było ich domem i źródłem dochodu.

Zostawiła za sobą pole dojrzałej pszenicy, której nikt nie zebrał. Minęły całe godziny, nim spotkała ludzi na trakcie, który dawniej uważała za ruchliwy.

Ojciec z synem zbliżywszy się, obrzucili ją ponurym spojrzeniem. Chłopiec jechał na zabiedzonych mulicy. Ojciec prowadził ją za uzdę. Zwierzę z najwyższym trudem niosło dziecko i tobołki wypchane po brzegi przedmiotami i niestarannie przykryte brudnymi, podartymi szmatami.

Veridiana poczuła bijące od wędrowców strach i wręcz odruchową podejrzliwość.

Była samotną kobietą, a jednak bali się jej; czuła zapach ich strachu niczym wilczyca. I poza strachem coś jeszcze... odór zgnilizny i śmierci. Odór choroby.

Pochwa sztyletu uciskała ją w pasie.

Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że wypadnie to przekonywająco.

- Bóg z wami - powitała ich.

Mężczyzna spojrział na nią zmęczonym wzrokiem. Miał błyszczące, podkrążone oczy.

- Powiedźcie mi, dobry człowieku, czy dojdę tędy do Toledo?

Przyjrzał się jej zdziwiony i z takimż też wyrazem twarzy odpowiedział:

- To trakt do Toledo... Ale chybaście oszaleli, jeśli chcecie tam iść. To droga na śmierć.

W tych dziwnych słowach prócz strachu wyczuła też szczerłość.

- Dlaczego tak mówicie? - zapytała, nie przestając się uśmiechać.

- Jak to dlaczego? Skąd przychodzisz, kobieto? Te ziemie nawiedziła czarna śmierć. Zagnieździła się tu na dobre. Jedyne ratunek to uciekać z miasta i szukać schronienia na wsi, gdzie zaraza jeszcze nie dotarła. Ale miasta... miasta są siedliskiem śmierci i choroby. Iść do Toledo, to iść na pewną śmierć.

Mężczyzna przeżegnał się i ruszył dalej swoją drogą. Veridiana stanęła oniemiała, starając się zrozumieć to, co właśnie usłyszała.

Czarna śmierć nawiedziła Toledo. Zaraza. Nikt nie może od niej uciec.

Człowiek ten i jego syn byli pierwszymi w długim łańcuchu wędrowców, których minęła na drodze. Wszyscy uciekali z Toledo w pogoni za niepewną nadzieją. Wszyscy trwali w ponurym milczeniu. Wszyscy mieli błyszczące, zapadnięte oczy, jakby straszne

sceny, które zobaczyli w obrębie murów miasta, utrwaliły się im pod powiekami już na zawsze.

Na Veridianie ogromne wrażenie wywarła kobieta dźwigająca w ramionach niespełna roczne niemowlę. Z daleka poczuła odór sączącej się z ran ropy, gorączki i potu. Wrzody pod pachami były tak nabrzmiące, że matka musiała stale trzymać uniesione ramiona, by nie ocierać bolesnych miejsc. Córka przysypiała na jej ramieniu.

Zaraza!

Veridiana zeszła na jeden skraj drogi, a tamta kobieta na drugi. Gdy się mijaly, wstrzymała oddech. Zapach śmierci był tak intensywny, że tamtej pozostało co najwyżej kilka dni.

Wyobrazila sobie matkę, tracącą ostatnie siły i padającą na poboczu drogi. Dziewczynkę skuloną w ramionach trupa. Jej płacz. Czy ktoś ją przygarnie? Będzie płakać aż do śmierci? Czy wcześniej pożrą ją dzikie zwierzęta?

Przygryzła wargi, wbiła wzrok pod nogi i szła dalej. „To nie mój kłopot. Nic nie mogę dla nich zrobić”.

Wszyscy umrą. Taki los przeznaczył nam Bóg. Na każdego czeka śmierć. Jeśli jej życie ma skończyć się w Toledo, pójdzie tam i wypełni swoje przeznaczenie. Ale wcześniej uratuje Victora.

Gdy już dotarła do bram miasta, napotkała widok zupełnie inny od tego, który pielęgnowała we wspomnieniach.

O tej porze zawsze pełno było wchodzących i wychodzących kupców. Wozy, muły i konie gromadziły

się pod murami, a obok nich kręciły się tłumy ludzi, słyhać było gwar.

Teraz napotkała tylko kilka osób, które opuszczały miasto, powłócząc nogami.

Nikt nie próbował wchodzić do środka. Nikt, oprócz niej.

Strażnicy obrzucili ją zdziwionym spojrzeniem, ale o nic nie spytali.

Samo Toledo też bardzo różniło się od miasta, które niegdyś pożegnała. Na ulicach niemal nie było ludzi. Ciemne *pergi* czołgały się po ziemi, usiłując wejść do budynków przez szpary w drzwiach. *Merty* kotłowały się w pobliżu okien, czekając na najmniejszą okazję, by przedostać się do domów opanowanych przez chorobę.

Zasapana szła pod górę, kierując się ku ulicy Ancha.

Zobaczyła porzucone domy, z drzwiami i oknami zabitymi deskami. Przeszła przez plac Zocodover i zobaczyła postument zwieńczony krzyżem, pod którym zbierano pieniądze dla tych wszystkich, którzy nie zdołali opłacić pochówku. Teraz jednak stał zupełnie zapomniany. Veridiana wzdrygnęła się na myśl o tych wszystkich zarażonych, którzy skazą na potępienie swe dusze tylko dlatego, że z braku środków odmówiono im chrześcijańskiego pogrzebu.

Chciało się jej płakać. To było miasto duchów. Plany, które wcześniej snuła, wydały się jej teraz śmieszne i nieistotne. Nie wiedziała, gdzie jest Victor.

Nie sądziła, że to wszystko będzie takie straszne. Przed opuszczeniem Świata zadanie wydawało się jej proste: miała tu przybyć i po prostu uwolnić Victora. A teraz...

Rozbrzmiały dzwony i na chwilę wyrwały ją z ponurych rozważań. Ich powolny, żałobny rytm zawiadamiał o czyjejś śmierci. „Słyszałam dzwony kościoła San Román”, przypomniała sobie. „Victor musi być niedaleko kościoła”.

Nogi odruchowo zaprowadziły ją na ulicę, przy której niegdyś mieszkała. Szła drogą, którą przebyła tyle razy, idąc do San Román. Sama nie wiedziała, jak znalazła się przed domem swojego brata Juana. Drzwi zabite były deskami.

Wszystko tu było inne. Kolor drewna. Brud na ścianach... Przez długą chwilę stała przed drzwiami, nie wiedząc, co począć dalej, aż poczuła, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się i zobaczyła jakiś cień wychylający się z najwyższego okienka domu naprzeciw.

Musiała odkaszlnąć, by wydobyć z siebie wystarczająco donośny głos:

- Szczęść Boże. Przepraszam, szukam Juana, kupca bławatnego.

- Tam już nikogo nie ma - odpowiedział cień.

- Wyjechali?

Na kilka sekund zapadła cisza, nim dobiegł ją skrzekliwy szept:

- Nie. Wszyscy umarli.

Veridiana poczuła ogromny ciężar przytłaczający jej duszę. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i tylko dzięki najwyższemu wysiłkowi woli udało jej się nie zemdleć. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie swoich bratanków bawiących się w

księżniczki i rycerzy na patio, na tym właśnie widmowym patio, które musiało znajdować się za bramą. Śmiech dzieci, ich zapach, ich uściski... zniknęły już na zawsze? A Maria i Juan... Już nigdy nie usłyszysz ich głosów?

Śmierć zabiera wszystkich. Taka jest naturalna kolej rzeczy. Miała jednak nadzieję, że kogoś spotka.

Z trudem wciągnęła powietrze i zaczęła się modlić. Modliła się, by Bóg wziął ich do siebie i zechciał przygotować dla niej miejsce obok nich.

Nie wiedziała, ile czasu spędziła w ten sposób, stojąc niczym słup soli przed opuszczonym domem. Kiedy ponownie odwróciła się za siebie, nie było już żadnego cienia w okienku. Wówczas po raz drugi odezwały się dzwony kościoła San Roman.

Było to dwanaście głębokich, dźwięcznych uderzeń, które odbiły się echem w jej sercu, a za nimi, jedno po drugim, rozdzwoniły się dzwony wszystkich kościołów Toledo.

Veridiana otrząsnęła się z otepienia.

Spojrzała na patio sąsiadki Isabel, z którą tyle razy razem szła. Drzwi tamtego domu również były zamknięte, a sama posiadłość opuszczona jak tyle innych.

Odetchnęła głęboko i ruszyła w kierunku kościoła.

Przypomniała sobie, jak Dimas wielokrotnie powtarzał jej, że wystarczy, by pomyślała o kimś lub

o czymś, co dobrze zna, a odnajdzie odpowiednie Wrota. Zaczęła zatem myśleć o Victorze. Ścisnęła w dłoni medalion wiszący na jej szyi, który dostała od niego w dniu, kiedy pocałował ją w lesie. Pogładziła wyrytą w ciemnym drewnie spiralę.

Obeszła San Román, myśląc o mnichu, o jego świetlistych oczach, tak jasnych jak jej własne. O jego blond włosach. O smaku warg, którego spróbowała tylko raz.

„Victor!”, przyzywała go myślami. „Gdzie jesteś?”.

Jeśli kogokolwiek zdziwił widok tej kobiety o półprzytomnym spojrzeniu, to nie dał tego po sobie poznać. Przyszły ciężkie czasy. Czy był tu ktoś, kto wyglądał zupełnie normalnie? W którym spojrzeniu nie czaiło się szaleństwo i rozpacz?

„Victor, przyszedłam po ciebie! To ja, Veridiana”.

Przeszła ulicę Gordo i nagle stanęła w miejscu. Wydało się jej, że słyszy krzyk. Tak ulotny i cichy jak mrugnięcie powieką.

Skierowała się do budynku, z którego, jak sądziła, dobiegł ją ten dźwięk i zobaczyła, że do środka wchodzi żołnierz. Bil od niego odór krwi, potu i odchodów. Mężczyzna wszedł do środka, a ona zatrzymała się przed budynkiem.

Przy drzwiach stał strażnik. Czowała intensywny zapach ludzi. W całym mieście śmierdziało śmiercią, tu jednak przeważała woń bólu.

Przekroczyła próg i chciała wejść na zamknięty dziedziniec, mijając strażnika, który obserwował ją zdumiony.

- Czego tu szukasz? - zapytał.

Spojrzała na niego, szukając przekonującej odpowiedzi.

- Szukam pewnego więźnia - starała się, by w jej głosie brzmiała pewność, choć w istocie była od niej jak najdalsza.

- Jakiego? Tego więźnia hrabiego? Nikt go nie może zobaczyć.

Veridiana czuła zapach Victora. On tu był. Teraz nie miała już wątpliwości, że go odnalazła. I nie przebywał tu sam. Wraz z nim było wielu innych. Tam, w głębi tego ciemnego korytarza.

- A kto go szuka? - zagroził jej drogę strażnik.

- Veridiana de Sanabria! - krzyknęła, tracąc panowanie nad sobą.

Zauważyła na stole ciężką lampę oliwną, odważyła się na coś, czego nigdy nie zrobiła w obecności innej osoby: uniosła naczynie siłą woli i roztrzaskała je o zbroję strażnika. Męczyzna upadł na ziemię.

Skorzystała z jego konsternacji wyrywając mu miecz, który nosił u pasa.

- Victor! Gdzie jesteś? - krzyknęła.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, pobiegła w głąb mrocznego korytarza. Nagle natknęła się na schody.

- Victor?

Był na dole. Bardzo nisko, w wilgotnych ciemnościach.

Jej zmysły wyczuły wiele poziomów, wiele pięter, na których mieściło się to swoiste więzienie.

Na górze warunki były jeszcze znośne, ale w głębi... Na najniższym poziomie piwnicy urządzono loch głodowy. Ciemna plugawa dziura bez wyjścia, do której po prostu wrzucano więźniów, czekając, aż umrą... i zgniją. Tam skazańcy dzielili mrok swoich ostatnich chwil z kośćmi poprzedników.

Nabrała w płuca zgniłego powietrza tego piekielnego miejsca, szukając Victora i przyzywając go myślami.

Nie znajdował się jeszcze na najniższym poziomie. Na szczęście nie zrzucano go jeszcze do lochu głodowego.

Schodziła coraz niżej. Trudno było iść po tych krętych schodkach z mieczem w dłoni. W pewnym momencie zauważyła, że ktoś idzie za nią. Przyspieszyła kroku.

Nagle na jej drodze pojawił się jakiś cień z obnażonym mieczem. Przeciwnik najwyraźniej zdziwił się, że ma przed sobą kobietę i zawahał się. To wystarczyło, by uniosła lewą dłoń i pchnęła go, nawet nie dotykając.

Szła coraz niżej, w ślad za tym ciałem toczącym się w dół po schodach. Czuła się, jakby ogarnął ją jakiś trans.

W najniższej piwnicy unosił się tłustawy zapach wilgoci. Tej samej wilgoci, którą poczuła w swojej wizji.

- Victor! - krzyknęła.

- Veridiana? - był to szept tak cichy, że nie potrafiłaby powiedzieć, czy usłyszała go naprawdę, czy jedynie w myślach.

Przeskoczyła ponad ciałem strażnika, którego zepchnęła ze schodów, i ruszyła w kierunku, z którego dobiegał głos.

- Victor?

- Veridiana!

Tym razem wydał z siebie prawdziwy krzyk. Krzyk przejmujący, pełen zdumienia.

Zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami. Pchnęła je, lecz nie ustępowały...

Miała już wyważyć je siłą woli, kiedy zawróciła do ciała strażnika. Niemal natychmiast znalazła przy nim kilka wielkich kluczy na metalowym kółku. Drżącymi rękami spróbowała otworzyć zamek. Pierwszy klucz nie pasował, drugi już tak.

Drzwi były niezwykle ciężkie. Skrzypnęły straszliwie, gdy je pchnęła. W twarz buchnął jej smród nagromadzony wewnątrz.

Victor tam był. Dokładnie taki, jak go zobaczyła w wizji. Przywiązany do słupa. Wychudły, wymizerowany, ale żywy. Ledwo żywy.

- Veridiana! - Jego jasne, głęboko zapadnięte oczy błysnęły.

- Przyszłam po ciebie! - zawołała, nie zdając sobie sprawy, że podnosi głos.

Zauważyła, że jest przywiązany sznurem, który rani jego nadgarstki do żywego mięsa. Rany były zainfekowane; wypływała z nich żółtawa ropa.

Sięgnęła po sztylet, który miała u pasa. Od razu zobaczyła, że nie będzie łatwo przeciąć tę linę. Usłyszała za sobą kroki.

- Więzień hrabiego ucieka! - krzyknął ktoś za jej plecami.

„Co za hrabia?“, zdążyła pomyśleć, nim się obróciła i stanęła twarzą w twarz z grubym niczym beczka strażnikiem. Mężczyzna dyszał ciężko. Dotarcie do tej zgniłej dziury kosztowało go wiele wysiłku.

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy! Czyżby to jakaś dawna kochanka chciała cię uwolnić?

Ruszył do niej, lecz nim zdążył zrobić dwa kroki, pchnęła go na ścianę z całą siłą swej woli.

Odwróciła się, by przeciąć sznur do końca. Już ustępował...

Mnich pomógł jej, przerywając ostatnie włókna liny szybkim ruchem. Gdy poczuł wolne ręce, podniósł miecz przyniesiony przez Veridianę, leżący teraz na ziemi. Był bardzo osłabiony, ale wciąż zachował żołnierski instynkt.

W sąsiednich celach krzyczeli jacyś więźniowie. Veridiana pokazała Victorowi ręką schody.

Stał przed pierwszym stopniem jak sparaliżowany- Jego zmaltretowane ciało, które przez tyle czasu stało niemal bez ruchu, odmawiało mu posłuszeństwa.

- Nie dam rady...

Veridiana dostrzegła wtedy jego skrajne wycieńczenie. Muskulary pod habitem właściwie znikły. Poranione do żywego mięsa nadgarstki były niemal tak szczupłe jak jej własne, kobiece. Palce przypominały szpony. Miał długie paznokcie, równie brudne, co jego włosy, które wyglądały jak pełna strupów i krwi skorupa przyklejona do głowy.

- Victorze! - krzyknęła. - Nie po to po ciebie przyszłam, żebyś się teraz poddał!

Nie miał innego wyjścia niż iść za nią w górę po schodach.

Gdy przechodzili ciemnym korytarzem prowadzącym do wyjścia, Veridiana poczuła, że zbliżają się kolejni strażnicy.

- Szybciej, Victorze, szybciej! Musimy stąd wyjść! Mnich, dysząc ciężko, próbował dotrzymać jej kroku. Veridiana usłyszała za plecami szcęknięcie stali. Obróciła się i zobaczyła, że Victor z trudem stawia

czoła strażnikom. Dawniej był świetnym żołnierzem. Bożym rycerzem. Teraz jednak wyczerpanie i rany zrobiły swoje. Nie miał już w sobie nic z wojownika, którego niegdyś poznała. Z trudem podnosił miecz, dzierżąc go dwiema rękami. Bronił się przed ciosami tamtych, nie mając jednak siły, by zaatakować.

Veridiana podniosła ręce i spróbowała pchnąć powietrze i powalić napastników. Gdy zaczęła to robić, usłyszała, że ktoś nowy wszedł na patio. Obróciła się i zobaczyła zgarbionego starca prowadzonego przez dwóch żołnierzy.

- Don Bartolomé! - rozpoznała go po krótkim wahaniu.

Jej dawny spowiednik, proboszcz San Román, wciąż jeszcze nosił swój stary, przetarty habit. Niemal całkiem wyłysiał. Jego spojrzenie nadal było dobrotliwe, a w tym momencie ożywione zaskoczeniem. Bo on też ją rozpoznał. Stała przed nim kobieta, która przeszło dziesięć lat temu zniknęła z Toledo.

- Veridiana de Sanabria! - szepnął.

Spotkanie zdekoncentrowało ją na chwilę. To wystarczyło, by jeden z żołnierzy uderzył ją obuchem. Veridiana zdążyła jeszcze pomyśleć, że popełniła błąd i kiedy upadała, kątem oka zobaczyła, że Victor również został schwytany i powalony.

Potem usłyszała jeszcze zachrypły głos Don Bartolome, który polecił:

- Powiedzcie hrabiemu de Rascón y Cornejo, by przyszedł tu jak najszybciej.

O propozycji, którą Veridiana złożyła hrabiemu de Rascón y Cornejo

Ocknęła się i zobaczyła przed sobą mężczyznę pochylonego nad biurkiem. Przy świetle świecy przeglądał jakieś pergaminy. Miał na sobie jedwabną tunikę przetykaną złotą i srebrną nicią. Szerokie rękawy ozdobione były misternym haftem. Na palcu błyszczał złoty pierścień z wprawionym granatem. Na poręczy krzesła wisiał płaszcz z gronostajów.

Veridiana obróciła się i wówczas zdała sobie sprawę, że położono ją na materacu z pierza. Od wielu lat nie leżała na tak miękkim łożu. Gdy usiadła, na ziemię spadł okład, który miała na głowie.

Mężczyzna podniósł wzrok znad papierów i spojrzał na nią. Znała ten krzywy uśmiech.

Łagodne dawniej rysy jego twarzy zaostrzyły się, a zmarszczki, niegdyś ledwo zaznaczone, teraz głęboko

przeorały jego spaloną słońcem skórę. Ale to wciąż był on.
- Enrique! Podeszedł do niej.

Miał teraz gęstą, ciemną brodę, w której srebrzyły się już pojedyncze białe nitki. Włosy zresztą też zaczynały mu siwieć, na razie miejscami, niczym grad rzucony pomiędzy bruzdy brunatnej ziemi. Ale to jego błyszczące ciemnoniebieskie oczy najbardziej przyciągały uwagę. Były zimne jak lód.

- Teraz jesteś, pani, młodsza ode mnie - odezwał się mrocznym, zachrypłym głosem, wpatrując się w nią uważnie.

Spoglądał w to samo oblicze, przez które wiele lat temu omal nie postradał zmysłów. Niczym we śnie dotknął jej gładkiego policzka. Przypomniała sobie ostatnie słowa, jakie usłyszała, nim straciła przytomność. „Hrabia de Rascón y Cornejo”?

- Zaraza zabiła mojego brata i jego dzieci. Tytuł należy teraz do mnie - odparł, jakby zapytała na głos.

- Myślałem, że już nigdy cię, pani, nie zobaczę

- skłonił się lekko na powitanie i podał jej dłoń pomagając wstać.

Ten Enrique, znany i nieznany zarazem, nie przestawał się uśmiechać.

- Gdzie jest Victor?

Uśmiech zastygł mu na wargach, a oczy znów spojrzały chłodno.

- Tak bardzo cię, pani, niepokoi los twego kochanka? Nie martw się o niego. Jest pod troskliwą opieką.

Veridiana nie od razu odpowiedziała. Głos Enrique był dużo bardziej zachrypły niż ten, który pamiętała, a teraz przybrał ton zgryźliwej ironii.

- To nie jest mój kochanek.

Dopiero wstała i jeszcze trochę kręciło się jej w głowie.

- O! Znudził ci się już, pani? A może to on miał dosyć?

- O czym mówisz, panie? Victor jest duchownym. Nigdy... nigdy nie byliśmy kochankami.

- Bardzo kiepsko kłamiesz, pani. Oboje nie umiecie kłamać.

W duszy Veridiany zrodziło się nagle ponure podejrzenie.

- Ty... pytałeś go o to, panie?... Może to ty, panie, go torturowałeś?

Enrique znów się zaśmiał. Jego niebieskie tęczęwki znów nabrały stalowego połysku.

- Ja nikogo nie torturuję. Tym zajmują się inni. Veridianeę ogarnęło przerażenie.

- Enrique, kim ty się stałeś?!

- Jestem hrabią de Rascón y Cornejo, przedstawicielem Inkwizycji Rzymskiej w Kastylii - skłonił się przed nią w kpiącym pokłonie. - Zwalczam herezję i czary, moja droga Veridiano. Działam w imieniu Jego Świątobliwości - wbił w nią intensywne spojrzenie przy słowie „czary”.

Z mroku wyłonił się *ost* gotowy nasycić się przerażeniem, które zaczęło na dobre wypełniać duszę Veridiany.

- Victor nie zrobił nic złego.
- Należy do wyklętego i zakazanego zakonu, zakonu czarowników, magów i odstępców.
- To tylko mnich, żołnierz Boga... Sługa Boży.
- Nie przestaniesz go, pani, bronić, prawda?
- Nie, bo jest niewinny! I dobrze o tym wiesz, panie.
- Zeznał, że kontaktował się z czarownicami i heretykami.
- A kto by nie zeznał podczas tortur? - Veridiana aż zawrzała z gniewu. - Ponadto nie posiada żadnej mocy. Jeśli już ktoś powinien siedzieć w tym lochu, to ty, panie. Ty rzeczywiście masz wielką moc.
- Albo ty, pani - pozwolił sobie na kolejny uśmiezek. - Być może to ty powinnaś być w tym lochu. Ty, dla której czas się zatrzymał. Czyż potrzeba lepszego dowodu na posługiwanie się czarami?
- uniósł jej podbródek do góry; miała wrażenie, że między nimi posypały się niebieskawe iskry.
- Nie jestem czarownicą w większym stopniu niż ty, panie! Na miłość Boską, Enrique, we mnie nie ma nic demonicznego, a już tym bardziej w Victorze
- rzuciła mu z wściekłością w twarz.
- Hrabia de Rascón y Cornejo uśmiechnął się szeroko. To jeszcze bardziej ją rozwścieczyło.
- To ty, panie, powinieneś siedzieć w lochu! To ty masz moc! Victor jest tylko mnichem, który zawsze słuchał rozkazów. Poleceń sprawiedliwych ludzi. Za to ty...
- Przerwał jej.

- Za to ja, co?

- Ty, panie, masz moc... - powtórzyła, patrząc mu prosto w oczy.

- To tym bardziej predestynuje mnie na stanowisko w Świętym Oficjum.

Chciała krzyknąć mu w twarz, że stał się człowiekiem złym i niesprawiedliwym. Ze w niczym nie przypomina tamtego młodzieńca, którego uważała w drugim świecie za swojego przyjaciela. Ze nie poznaje go... Nie była jednak w stanie. Myśli kłębiły się jej w głowie i nie potrafiła ująć ich w słowa.

- Czyż nie jestem ekspertem w kwestii czarów i praktyk magicznych?

Spojrzał w kierunku biurka i nagle jeden z dokumentów delikatnie wzleciał w powietrze i poszybował do jego wyciągniętej ręki. Mężczyzna chwycił go mocno. Granat w pierścieniu zaśnił niczym świeża krew.

- Nie zaprzestałem ćwiczeń nawet na jeden dzień, Veridiano. Nie tęskniłaś, pani, za mną? - pergamin odleciał z powrotem na biurko. - Bo ja wspominałem cię, pani, co noc. Co noc przez wszystkie te lata. Już nigdy później, po tym jak opuściłem Świat, me poczułem niczego podobnego. Ale wiem doskonale, do czego jestem zdolny. A ty, pani? - syknął przez zaciśnięte zęby. - Czy ty, pani, wiesz na pewno, do czego jesteś zdolna?

Enrique wyciągnął przed siebie ręce. Poczwała nagle siłę, która pchnęła ją do tyłu. Mężczyzna zaśmiał się.

Teraz wytworzył niewidzialny wiatr, który przyciągnął ją z powrotem.

- Zaniebadałaś ćwiczenia po moim wyjeździe, pani?

- powtórzył - Ja robiłem to co noc...

Powietrze zgęstniało i włosy oplótły Veridianie twarz tak że prawie nic nie widziała. Suknia omotała jej nogi.

Naprzeciw niej stał Enrique, niewzruszony, znany i obcy zarazem. Uniósł ręce i wzniecił powiew, który targał nią na wszystkie strony.

Chciała zasłonić się ramieniem.

- Dlaczego mi to robisz, panie? - zapytała urywanym głosem.

Za całą odpowiedź poruszył ręką, a siła wiatru podwoiła się.

Veridiana upadła na podłogę. Odruchowo podniosła ręce i tak jak to robiła tysiące razy z pyłkami kurzu, spróbowała pchnąć powietrze w jego kierunku.

Wówczas jego strumień mocy stał się widoczny i rozbłysł.

Wyrwał mu się okrzyk zdumienia i rozkoszy zarazem. Gdy to zobaczyła, wiedziała już, jak go zatrzymać i podobnie jak niegdyś podjęli walkę. Nie było już nic poza zwodami, groźnymi atakami i unikami. Cała reszta świata przestała się dla nich Uczyć, był tylko ten niebezpieczny taniec ich mocy. Od lat już Enrique nie czuł takiej pełni.

- Jestem silniejszy. Zawsze byłem. Zrobił kolejny unik. Veridiana upadła. Zrozumiała, że ma szansę. Jej promień z największym trudem odpierał ataki przeciwnika.

- Posłuchaj, Victor i ja nigdy nie byliśmy kochankami. Uwierz mi, panie! Przysięgam na wszystkie świętości.

Enrique zbliżył się do niej z niebezpiecznym uśmiechem na wargach.

- Mam propozycję - zaczęła niepewnie Veridiana. - Uwolnij, panie, Victora i wróć ze mną do Świata. Ze mną.

- A cóż tam jest takiego, co mogłoby mnie interesować?

Veridiana spuściła wzrok i Enrique nagle zrozumiał, co miała na myśli.

- Ty? - Powietrze wokół wróciło do swego normalnego stanu. Walka ustała.

W jednej chwili zgasł jego promień mocy.

- Ty? - ciągnął - I to wszystko?

Nie zwróciła uwagi na jego drwiący ton.

- To wcale nie tak mało - wydyszała zmęczona jeszcze walką. - Jestem wszystkim... Jestem kluczem, który otwiera drzwi do rzeczy, o których nawet ci się nie śniło.

Veridiana pomyślała, że ma szansę go przekonać. Ze bystry i ambitny młodzieniec, który wyznał jej kiedyś miłość, wciąż tkwi w tym mężczyźnie stojącym teraz przed nią z wilczym uśmiechem na wargach. Odetchnęła głęboko i spróbowała uporządkować myśli.

- Światem kieruje Dimas jako przeor Zakonu. Ale tam powstaje, Enrique, cały nowy świat. Teraz działa tam coś w rodzaju rządu, na wzór rady, która

zarządzała niegdyś klasztorem, ale... to nie jest rozwiązanie ostateczne - przyglądała mu się z podłogi. - Jest zatem Rada składająca się z przedstawicieli duchowieństwa i mieszczaństwa. Nie ma arystokracji, Enrique. Na tamtym świecie nie ma żadnej arystokracji. Możesz to sobie, panie, wyobrazić?

Hrabia słuchał jej z uwagą. Przynajmniej tyle zdołała uzyskać.

- Nie ma arystokracji... Nikt tam nie panuje. Nikt nie reprezentuje królów. Bo tam w ogóle nie ma królów! - postarała się mówić wolniej, by zdołał uświadomić sobie znaczenie jej słów. - Ja jestem jedyną przedstawicielką arystokracji w Radzie... i w Świecie. Jako pani i baronowa de Fleurilles i zastępczyni Dimasa, mam miejsce w Radzie. Ale Dimas jest chory i wkrótce umrze. Pozostali przedstawiciele kleru są starcami, poza tym mają inne zadania. A inni, świeccy, są... cóż, godzą się na wszystko. Ich poparcie zdobylibyśmy bez najmniejszego trudu, obdarowując ich bogactwami i tytułami, które moglibyśmy im przyznać.

Enrique de Rascón y Cornejo patrzył na nią ze śmiertelną powagą.

- A jeśli czegoś jest w Świecie w nadmiarze, to właśnie bogactw. Zaczęliśmy już handlować niektórymi przyprawami, owocami, tkaninami... Gdyby wykorzystać to w sposób bardziej przemyślany, gdybyśmy poszukali złota, szlachetnych kamieni, nowych przypraw...

Przerwała na chwilę. Właśnie wypowiedziała na głos myśli, które czasami przemykały jej przez głowę,

ale to teraz, w tej właśnie chwili zrozumiała, że kluczem do wszystkiego są oni dwoje. Zrozumiała różnicę między nimi a resztą Rady.

- Ty i ja razem... moglibyśmy osiągnąć, czego tylko byśmy zapragnęli. Ludzie tacy jak my powinni przewodzić pozostałym. Gdy zabraknie Dimasa, będziemy w Świecie jedynymi osobami obdarzonymi mocą. Jesteśmy lepsi. Także przez wzgląd na nasze urodzenie i pozycję: arystokracja zdaje sprawę tylko królowi i Bogu.

Veridiana uniosła głowę charakterystycznym dla niej dumnym ruchem.

- Jesteśmy najlepszymi przywódcami w tym gronie plebejuszy i duchownych. Ty, panie, jesteś hrabią, w twoich żyłach płynie krew królów Aragonu, czyż nie? Ja jestem baronową de Fleurilles, z rodziny Sanabria w León. Jeden z moich przodków był spokrewniony z kastylijską rodziną królewską... Enrique - rzuciła mu w twarz niemal z wściekłością - jest miejsce dla każdego i każdy ma swoje miejsce. Nasze jest tam, na czele Rady. Poza tym masz, panie, doświadczenie i inteligencję wystarczające do władania Światem, ja zresztą też - uniosła dumnie brodę, tym razem nie zdając sobie z tego sprawy. - Enrique... uwolnij Victora i przejdź ze mną do Świata - prosiła go. - Ty, panie, i ja, razem, z naszymi mocami, możemy rządzić całym światem. Nowym światem!

Enrique uśmiechnął się ironicznie.

- Razem... Proponujesz mi, pani, bym objął stanowisko w tej Radzie czy też coś więcej?

Jego oczy patrzyły na nią czule jak dawniej, choć teraz ich spojrzenie było znacznie ostrzejsze i bezpośrednie.

- Ty i ja możemy rządzić Światem - powtórzyła.

- Razem? Skinęła głową.

- Królowie Świata?

Tego nie powiedziała. „Ale właściwie czemu nie”, pomyślała.

- Tak, królowie Świata. Ty i ja razem. Enrique wybuchnął gorzkim śmiechem.

- Ofiarowujesz mi, pani, siebie? W przeszłości odrzuciłaś mnie, a teraz podajesz siebie na tacy niczym dodatek do całego świata?! - zaśmiał się.

- Uwolnij, panie, Victora, a będę kluczem, który otworzy ci drogę do panowania w nowym świecie.

- A zatem ofiarowujesz mi się, pani, czy tak? Wyjdiesz za mnie?... Milcz, pani, już sobie to wyobrażam. Może jeszcze udzieli nam ślubu jeden z tych heretyckich mnichów? Ślub pary czarnoksiężników - omal nie zakrztusił się ze śmiechu. - Szatan miałby wspaniałe widowisko: jakiś przeklęty mnich i potępieniec ogłaszający przed Bogiem małżeństwo dwojga szarlatanów.

Veridiana zrozumiała wtedy, że wyłożyła już wszystkie swoje atuty.

- Nie jesteśmy czarownicami, dobrze o tym wiesz, panie.

- Późno na to wszystko, droga Veridiano - przerwał jej. - Późno się na to zdecydowałaś, moja droga.

- Nie chodzi tylko o mnie - upierała się – lecz o cały Świat! - krzyknęła z desperacją kogoś, kto wie, że przegrał.

Enrique podszedł bliżej i wyciągnął do niej rękę. Nigdy nie miała się dowiedzieć, czy chciał jej pomóc wstać czy ją pogłodzić.

- Niewątpliwie byłoby to kuszące - wykrzywił twarz w grymasie, który miał być uśmiechem - Ale nie poszło mi tu najgorzej, Veridiano. Powiedzmy, że... użyłem mych mocy, by uzyskać wszystko, czego pragnąłem... Należę teraz do zaufanych ludzi Ojca Świętego. Nawet Gil de Albornoz, arcybiskup Toledo szuka mojej aprobaty i towarzystwa.

- Uwolnij przynajmniej Victora! - powtórzyła. - Możesz, panie, zrobić ze mną, co zechcesz, ale on jest niewinny!

Enrique zaśmiał się sarkastycznie.

- Zapomnij o tym, pani. Victor jest tam, gdzie powinien być od dawna, w jaskini Herkulesa, z innymi skazańcami.

Do Veridiano napłynęła fala smrodu, zgnilizny i choroby. Odór śmierci niczym ciężki całun oblepił jej twarz. Z najwyższym trudem powstrzymała wymioty. Cień umierającego Victora odcisnął jej się pod powiekami i zrozumiała, że ta groza to rzeczywistość, i że on czuje to samo, co ona przez chwilę.

- Co to za jaskinia?

- Zaraza zabiła przeszło połowę mieszkańców Toledo; wkrótce zabije wszystkich. Dlatego byliśmy zmuszeni podjąć pewne środki.

- Jakie środki? O jakiej jaskini mówisz, panie?
- rzuciła przez zęby.
- Staramy się odizolować chorych. Ci nieszczęśnicy, którzy się zarazili, przebywają razem. W odosobnieniu.
- Zamknięci? W jaskini? - zapytała z przerażeniem.
- To nie jest zwykła jaskinia. Toledo powstało na wapiennej skale. W podziemiach są tysiące jaskiń, przejść, zbiorników, korytarzy, piwnic, rzymskich wodociągów... To cały podziemny labirynt.

Veridiana przypomniała sobie opowieści Isabel, sąsiadki, która słyszała tajemnicze dźwięki ze swojego składziku.

- Są zamknięci w podziemiach miasta? Hrabia wzruszył ramionami.

- Tak, wiem, to straszne. Doprawdy przerażające
- jednak w twarzy hrabiego próżno było szukać oznak ubolewania. - Postanowiono tak dla dobra całej społeczności. W innych krajach i miastach los chorych był jeszcze gorszy, zamuroywano ich w domach, by uniknąć zarażenia. Poświęcamy kilku dla dobra ogółu. I jak się wydaje, zdołaliśmy powstrzymać postęp zarazy.

Veridanie przypomniała się chora matka uciekająca z Toledo. Efekty były niewątpliwe: chorzy umierali w podziemiach lub uciekali z miasta ze strachu przed pochowaniem za życia w tych jaskiniach.

- I Victor jest zamknięty razem z nimi? Z zarażonymi?
- Twój Victor jest, pani, tam, gdzie zawsze było jego miejsce: wśród potępionych.

- Wyciągnij go stamtąd! - błagała w rozpacz.

- Nikt nie może stamtąd wyjść. Nikt nigdy nie wyszedł z jaskini, żywy... ani martwy. Lepiej zapomnij o nim.

Jego lekceważenie sprawiło, że krew na nowo zawrzała w Veridianie. Gniew szarpnął ją jak wściekłe zwierzę uwięzione w klatce przez zbyt długi czas.

- Wyciągnij go, albo pożałujesz - tym razem nie krzyczała, wyszeptała groźbę ledwie słyszalnym głosem.

Enrique w odpowiedzi wybuchnął śmiechem.

- To ja kazałem go zamknąć, droga Veridiano. Nikt nie może go stamtąd wyciągnąć.

Veridiana nie planowała tego, po prostu z jej czoła nagle wystrzelił strumień mocy, szybki niczym pocisk wystrzelony z katapulty, wprost w hrabiego de Rascón y Cornejo. Prosto w głowę. Zaskoczyło go to i upadł na ziemię.

Enrique próbował się bronić. Jego promień również zapłonął i powstrzymał strumień Veridiany.

- Jestem silniejszy. Lepiej o tym nie zapominaj - warknął.

Jednak ją oślepiały łzy. Oślepiała ją wściekłość, gdy myślała o Victorze zamkniętym w podziemiu i skazanym na śmierć z zarażonymi. Gorzka fala rozpaczyci zalała jej duszę.

- Jestem silniejszy - powtórzył Enrique.

Jego promień oplótł strumień Veridiany, jakby chciał zacisnąć na nim supeł.

Supeł. Splot, który nagle przypomniał jej ściegi, jakie stosowała, szyjąc. Nieraz musiała pruć takie supelki, gdy nici splątały się między sobą.

W myślach pociągnęła te same miejsca, które należałoby złapać, gdyby chciała rozsypać węzeł swoją igłą. Ku jej zaskoczeniu supel rozwiązał się.

Enrique zaprotestował. I znów cisnął w nią swoim strumieniem. Lecz Veridiana zrozumiała, że nie powinna z nim walczyć tak jak dotąd. W ten sposób nigdy go nie zwycięży. On zawsze będzie silniejszy. Rozwiązanie nie opierało się tu na prymitywnej sile.

Zacząła traktować promienie jakby to były nici. Przez całe życie haftowała, szyła, cerowała... Od dziecka uczyła się poruszać niemi, kłębkami, wrzecionami... Potrafiła wyhaftować najbardziej zawile wzory. Umiała po mistrzowsku tkać, tworzyć piękne gobeliny ze zwykłych nici, splatać je i rozplatać, jak zechciała.

Teraz już wiedziała, jak się uwolnić, jak go powstrzymać, jak wykorzystać jego posunięcia dla swoich własnych celów.

Enrique miał siłę. Ona była obdarzona zręcznością. Zacząła traktować jego promień, jakby chodziło o skomplikowany haft.

Enrique nie umiał sobie poradzić z unikami i zwrotami, którymi go zaskakiwała. Nie wiadomo kiedy pogubił się w gmatwaninie, która wydawała mu się pozbawiona jakiegokolwiek porządku.

Veridiana odezwała się dopiero wtedy, gdy zapędziła go w kozi róg.

- Tak - zgodziła się - jesteś silniejszy, panie Enrique de Rascón y Cornejo, ale ja... Ja jestem kobietą i umiem szyć!

Stał przyparty do ściany. Pchnęła go jeszcze, upadł niczym szmaciana lalka.

W zaskoczonym spojrzeniu przeciwnika zobaczyła dziwną mieszankę przerażenia i chyba podziwu.

- Nic nie możesz mi zrobić, Enrique. Poddaj się. Dyszał ciężko z wysiłku. Ona również.

A potem Veridiana czuła, że wypełnia ją moc. Tak samo jak niegdyś, podczas ich wspólnych nocnych ćwiczeń.

- Poddaj się - powtórzyła.

- Nigdy - warknął.

Otoczyła końcem swojego promienia jego szyję. Niemal poczuła jego delikatny zarost, jakby dotknęła go ręką. Ścisnęła najpierw lekko, potem trochę mocniej.

- Poddaj się i uwolnij Victora - powtórzyła tym samym głosem, jakim baronowa de Fleurilles wydawała polecenia służbie na zamku.

Ledwo mógł wydobyć z siebie głos. Musiała nieco poluzować uścisk, by zdołał odpowiedzieć:

- Nikt nie może go stamtąd wyciągnąć. Nikt!

- Ja mogę i zrobię to.

Veridiana rzuciła okiem na biurko i pieczęć w jego pierścieniu.

- Powiedziałeś, panie, że to był twój rozkaz, nieprawdaż? W takim razie napisz następny, nakaz uwolnienia. Natychmiast! I przypieczętuuj go... Już!

Pchnęła go w kierunku biurka. Enrique wpadł na nie i kilka dokumentów zsunęło się na posadzkę, a ich szelest zabrzmiał jej w uszach jak tryumfalna pieśń.

- Nawet jeśli to napiszę - wybełkotał na wpół uduszony - nikt go stamtąd nie wyciągnie. Nikt nie odważy się wejść do jaskini skazańców.

- Pisz, panie, i rozkaż wszystko, co konieczne, bym mogła wyciągnąć go z tej jaskini. Natychmiast! - krzyknęła znów.

- Czy nie rozumiesz, pani? Nikt tam po niego nie zejdzie.

- Pisz, że ja to zrobię. Ze zrobi to kobieta, która przyniosła ze sobą rozkaz.

Enrique wziął gęsie pióro i zaczął nim skrobać po pergaminie.

Veridiana stanęła za jego plecami i czytała, w miarę jak pisał. Kiwała w milczeniu głową, a ciszę przerywało jedynie skrzypienie pióra. Przypominało zgrzyt paznokci drapiących skałę.

Gdy Enrique skończył, posypał świeży atrament drobnym piaskiem. Podgrzał lak i odcisnął swoją pieczęć

- Gdzie jest wejście do jaskini Herkulesa?

- Obok kościoła San Ginés. Znajdziesz je pani bez trudności... Odór czarnej śmierci cię poprowadzi.

Hrabia de Rascón y Cornejo z pogardą podał jej zwój.

Chcicie chwyciła pergamin.

- Powiedz, żeby mi pozwolili stąd wyjść. Wypuść mnie... I zapomnij o mnie na zawsze, Enrique - jej

głos zabrzmiał dużo bardziej miękko i delikatnie, niż chciała, pieścił ucho niczym delikatny jedwab.

- Zapomnieć cię, pani, nigdy! - wybełkotał. Spojrzała mu prosto w oczy. Spod zmarszczonych gęstych brwi błyszczały oczy, po których dawnej łagodności nie zostało śladu. Były niebieskie, ale zarazem metaliczne, lśniły niczym zaostrzony sztylet.

Veridiana ścisnęła w rękę zwój, odwróciła się i nawet nie obejrzała się na głos hrabiego de Rascón y Cornejo:

- Strażnik! Zaprowadź tę kobietę do jaskini Herkulesa. I upewnij się, że pozwolono jej wejść... i wyjść.

O tym, jak Veridiana poznała grozę jaskini skazańców

Odgłos zatraskiwanych drzwi rozszedł się echem w mroku groty i długo brzmiał w uszach Veridiany. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że weszła do własnego grobu. Miejsce to śmierdziało bowiem wilgocią i chorobą, jednak ponad wszystko wybijał się fetor śmierci.

- Teraz wszystko w twoich rękach, pani. Tam w środku nic już nie możemy dla was zrobić - rzucił jej pogardliwie strażnik, który ją odprowadzał.

Stała nieruchomo na szczycie pierwszych stopni ledwie widocznych w nikłym świetle lampki oliwnej. Przyjrzała się schodom, które zagłębiały się w najczarniejszy mrok i, tak jak jej doradzono, czekała.

Wyczuła w pobliżu obecność jakichś stworzeń, które muskały jej twarz. Pomyślała, że to muszą być *merty* i odrażające *osty*, spragnione jej przerażenia.

Na zewnątrz żołnierz uderzył w dzwonek, który zabrzmiał absurdalnie wesoło. Ciemności pochłoneły dźwięk, a Veridiana z całej siły zacisnęła pięści, aż paznokcie wbiły się jej w skórę. Minęło kilka chwil, które wydały się jej wiecznością. Płomień drżał i nawet nie chciała myśleć, co zrobi, kiedy zgaśnie.

W końcu usłyszała pomruk napływający ku niej ze śmierdzącej otchłani. Zbliżał się do niej jakiś złowieszczy cień. Nie tyle go zobaczyła, co poczuła, że nadchodzi.

Gdy stanął obok, zrozumiała, że był to tylko obdarty chłopak, niespełna dziesięcioletni.

- A jedzenie? To nie pora jedzenia? - dopytywał się. - A tłuszcz?

- Nie mam jedzenia, ja tylko...

- Jesteś chora? - chłopak obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Nie. Przyszłam po kogoś - odparła, starając się, by jej głos zabrzmiał pewnie.

Chłopak zaśmiał się piskliwie jak myszka.

- Szukam pewnego mnicha, którego podobno tu wczoraj przyprowadzili - ciągnęła jakby tego nie usłyszała. - Ma biały habit. Jest ranny.

- Chory?

- Ranny, ale nie chory. To nie była zaraza...

- Jeśli nie był chory, to teraz już jest - chłopak znów wydał z siebie ten nikiemny chichot.

- Mam rozkaz, żeby go stąd wyciągnąć.

- Wyciągnąć, tak? - śmiech stał się jeszcze bardziej ochryply, a jego echa zgubiły się w przepastnych ciemnościach.

Początkowo schody były szerokie, jak w zwykłej piwnicy. Z czasem stawały się jednak coraz węższe i bardziej strome.

Zostawili za sobą liczne sale i małe składy, w których widać było drzwi i przejścia zaślepione kamieniami i zaprawą murarską. Ktoś zatkał dziesiątki możliwych korytarzy olbrzymiego labiryntu, tak że mogli tylko iść dalej jedną drogą, jaka im pozostawała.

Wydawało się, że chłopak nie potrzebuje światła ani przewodnika. Znał na pamięć każdy zakręt, stopień i pochylnię. Przemykał między cieniami ze zręcznością fretki. Być może jego oczy przywykły do przepastnych ciemności. Veridiana ze swoją śmieszoną lampką z trudem nadążała za ulotnym cieniem, który ją prowadził.

Minęli zakręt, po czym przejście stało się szersze i kobieta dojrzała kilkadziesiąt metrów dalej jakieś światło. Był to blask bardzo rozproszony, ale w mroku dostrzegła kilka małych płomyków, zawieszonych wzdłuż czegoś, co przypominało rozległy korytarz.

- Już wróciłem! - krzyknął chłopak. - Nie ma żadnego jedzenia ani tłuszczu!

- Ci przekłeci zamorzą nas głodem! Byliby do tego zdolni - dobiegł męski głos z kąta.

Veridiana szła za chłopakiem. Zaczęła przemierzać korytarz, w którym widniały małe wnęki. Na pewno dawniej były tu składy i spiżarnie. Teraz w każdym z małych pomieszczeń siedziały grupy ludzi. Były tu kobiety, małe dzieci... Całe rodziny stłoczone w tej ciasnej przestrzeni! Maluchy chlapały się w nieczys-

tościach. Brud i zgnilizna. W tych labiryntach musiały też gnieździć się tysiące myszy.

Starła się nie rozglądać na boki ani nie patrzeć za siebie, nie zwracać uwagi na odrażające zapachy, jakie do niej dolatywały, tylko iść za swoim przewodnikiem, jednak mimo woli usłyszała czasem jakiś płacz, odgłosy zabawy dzieci... To było całe maleńkie miasteczko. Podziemny kraj, przeklęty i zakazany.

Obok jednej z wydrążonych wnęk ujrzała człowieka, który wyplatał kosz z wikliny. Panowały niemal zupełne ciemności, ale jego palce znały już na pamięć ruchy, powtarzane wcześniej tysiące razy. Życie toczyło się dalej. Skazani zorganizowali się w matą społeczność i zapewne próbowali wykonywać swoje codzienne zajęcia, na ile dało się to robić w tych piekielnych warunkach.

- Jeśli był chory, jest tam - chłopak wskazał jeden z korytarzy. - Zapytaj o Angelę. - I pobiegł gdzieś, zostawiając ją samą w półmroku.

Veridiana ruszyła we wskazanym kierunku ze ściśniętym żołądkiem; słyszała trzepot krążących wokół niej *mertów* i *ostów*. Straszliwy smród, do którego jeszcze nie przywykła, nabierał tu nieco innego charakteru.

Pochyliła się, by wejść do pomieszczenia, które otwierało się przed nią niczym ogromna paszcza, w której zostało jedynie kilka przegniłych zębów.

Wewnątrz chorzy leżeli na ziemi, niektórzy na siennikach, po trzech, czterech na każdym, inni na piasku. Kilku opierało się o ściany. Było tu gorąco

i duszno. Ciepło pochodziło z tych stłoczonych ludzkich ciał przywodzących na myśl bezkształtne tłumoki.

- Victor? - zapytała drżącym głosem. Jakiś cień zbliżył się do niej.

- Oszalałaś? Idź stąd!

- Szukam kogoś...

Veridiana zobaczyła wtedy, że rozmawia z dziewczynką. Małą dziewczynką, która nie sprawiała wrażenia chorej. Wręcz przeciwnie, gdyby nie wyraźna bladość i podkrążone oczy, wyglądałaby wręcz dorodnie.

- Angela?

- Kto cię tu przysłał? Jesteś chora? - zlustrowała ją wzrokiem. - Nie sędzę.

- Szukam Victora, mnicha, który przybył tu wczoraj. Nosi biały habit.

- Jest tam... - wskazała ręką dziewczynka, wciąż patrząc podejrzliwie na swoją rozmówczynię.

Biały klęczący cień odwrócił się, słysząc ich rozmowę.

- Veridiana! Skazali cię!

- Victor! - niemal rzuciła się na niego. Napięcie, które trzymało ją w ryzach, ulotniło się.

Na chwilę zapomniała o wszystkim i utonęła w jego ramionach. Zapach Victora wyparł wszystkie inne. Miała go tuż obok, żywego, mogła go przytulić. To był cud!

- Przyszłam tu z własnej woli - wybełkotała, nie zdając sobie sprawy, że Victor odsuwa ją delikatnie od siebie. - Przyszłam po ciebie. Chodźmy stąd!

- Nikt nie może stąd wyjść.

- Ja mogę, mam przepustkę - ucięła stanowczo.

- Tu żadna przepustka nie pomoże - wtrąciła Angela, w milczeniu przysłuchująca się ich rozmowie.

- Drzwi otwierają się tylko po to, by wpuścić kolejnych chorych. Razem z nimi przekazują nam żywność i inne rzeczy. Nikt jeszcze stąd nie wyszedł - ukucnęła, by znaleźć się na ich wysokości. - Na początku kilku próbowało. Doszło do masakry. Przeszło setka żołnierzy rozprawiła się z tymi, którzy próbowali uciec

- szepnęła. - Później już tylko garstka śmiazków się na to porwała. Ale nikomu się nie udało. Tu można tylko wejść. Nie wychodzi się nigdy.

- Mam przepustkę podpisaną przez hrabiego de Rascón y Cornejo - upierała się.

- Na nic ci się ona nie zda, choćby podpisał ją sam Pan nasz, miłosierny Jezus Chrystus. Oszukano cię, pani. Kto tu wszedł, już nie wyjdzie - powtórzyła.

- Jeszcze zobaczymy! - nie chciała uwierzyć Veridiana - Chodźmy, Victorze! Chodźmy stąd! - pociągnęła go za rękaw habitu.

Każda chwila spędzona w podziemiu zbliżała ich do czarnej śmierci, która osaczała ich swoim zaduchem.

- Nie. Poczekaj. - Gestem wskazał jej jeden z tłumoków, które niespokojnie rzucały się na sienniku.

- Ja ją znam i ty, pani... ty też ją znasz.

Młoda długowłosa dziewczyna bredziła półgłosem.

Być może to znajomy profil tej twarzy sprawił, że Veridiana zatrzymała się i spojrzała z uwagą w ciemne oczy, które nagle odżyły w jej wspomnieniu.

- Clara? - wargi zadrżały jej, gdy wymówiła to imię - Clarka!

Veridiana pochyliła się nad dziewczyną, w której rozpoznała swoją bratanicę. Ciemne oczy dziewczyny spoczęły na niej.

- Ciocia Veridiana... zobaczmy rączkę tego filutka... - majaczyła.

- Jest jeszcze malutka - odpowiedziała Veridiana. Odruchowo złapała tamtą wychudłą i kościstą rękę, która już dawno temu przestała być pulchną rączką małej dziewczynki, a przywodziła raczej na myśl szpon.

- Wiedziałam, że wrócisz... - głos dziewczynki zmienił się w powolny szept.

Veridiana nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Pogładziła więc tylko rozpalone, pokryte potem czoło. Nie wiedziała nawet, czy oczy patrzące na nią w malignie widzą ją naprawdę.

- Kochana Clara, moja maleńka, odpocznij, śpij - wydusiła wreszcie.

Pogładziła ją po włosach, które były już tylko lepkiem kołtunem. Wzrok bratanicy zmętniał.

- Ma zaostrzony nos. Długo nie pożyje - oceniła chłodno Angela. - Dobrze znam się na chorych. Kiedy czarna śmierć po nich przychodzi, zaostrza się im nos.

Veridianie wydawało się, że nos Clary był taki sam jak u wszystkich, którzy tam przebywali, kościsty i wychudły. W tym półmroku nawet Victor miał spiczasty nos.

Szepnął jej na ucho:

- Opiekowałem się twoją bratanicą, jak umiałem. Do wczoraj nie wiedziałem, że tu jest. Wtedy ją znalazłem.

- Musimy coś zrobić!

- Ona umiera, Veridiano... Wszyscy kiedyś umrzemy... Wkrótce uwolni się od ograniczeń ciała, od ziemskich cierpień i trosk i zjednoczy się z Panem.

Veridiano wyrwał się szloch. Nie zdawała sobie sprawy, że wciąż trzyma w rękach dłoń Clary.

Veridiana została z nimi. Nauczyła się pielęgnować chorych, dawać im pić nawet wtedy, gdy nie mogli już przełykać. Nauczyła się zwilżać szmatkę wodą i wkładać im ją między wargi, by nie umarli z pragnienia. Nauczyła się nie zważać na muchy, *merty*, zgniły odór i ropę ciekącą z ran umierających. Z przerażeniem uświadomiła sobie, jak bardzo osłabiony jest Victor i stała się pomocnicą Angeli, która przynosiła wodę ze zbiornika do legowiska chorych.

Dziewczynka opowiedziała jej, jak przeżyła zarazę.

- Myślę, że czarna śmierć już mnie nie chce. Spróbowała mnie i nie zasmakowałam jej... Gdy źle się czułam, zaopiekowała się mną jedna kobieta. Była tu moją jedyną nadzieją - westchnęła, pogryzając rozmoczony chleb. - Ona umarła, za to ja... Czarna śmierć nie chciała mnie zabrać. Dlatego teraz zajmuję się nimi, bo ona umarła, ja wiem, co to znaczy przeżyć piekło. Wiem, co to znaczy, gdy nikogo nie

obchodzi, że masz zaropiałe rany i plujesz krwią. Wiem, co to znaczy być pod opieką kogoś, kto się nie boi, kto pielęgnuje cię z taką samą czułością jak matka czy siostra. Kogoś, kto daje ci pić, gdy twoje ciało płonie. Dlatego jestem z nimi. Bo czarna śmierć nie chciała mnie zabrać, a skoro Bóg pozwolił mi żyć, to po to bym pomagała innym.

Veridiana podziwiała hart ducha dziewczynki. Wydawała się jej prawdziwym aniołem, nie darmo dano jej na imię Angela.

- Tu na dole przeżyje jeden na dziesięciu - wyjaśniła jej. - Zaraza darowuje życie co dziesiątemu.

Veridianę przeszły ciarki, gdy zadała sobie pytanie, ile też osób żyje w tych podziemiach. I ilu z nich ocaleje.

Na dole, w podziemiach, odgłos dzwonów kościelnych z Toledo rozlegał się niczym fantasmagoryczna muzyka. Dzięki niemu wiedzieli o upływie czasu i porze dnia.

Tym sposobem Veridiana zorientowała się, że upłynęły trzy dni.

Clarze coraz trudniej było oddychać. Czasami pluta krwią i zdawało się, że zaraz udusi się własną plwociną. Majaczyła niemal bezustannie, a w tych kilku krótkich chwilach, kiedy odzyskiwała przytomność, Veridiana nie była pewna, czy wie, gdzie się znajduje. Chwilami chora sądziła, że znów jest małą dziewczynką, którą ciocia trzyma za rączkę.

Dla Veridiany zresztą nadal była tamtym ukochanym dzieckiem i kobieta opiekowała się nią z czułością i poświęceniem, nie zważając na własne bezpieczeństwo. Przekroczyła jakąś granicę i już nie bała się zarazy, podobnie jak Angela i Victor, który zadziwiająco szybko dochodził do siebie w tym mrocznym świecie, którym władała śmierć.

W jednej z tych chwil, kiedy Clara zdawała się przytomniejsza, Veridiana odkryła, że jej bratanica modli się resztką sił.

- Wytrzymaj, Clarito, wytrzymaj. Jestem z tobą.

- Rodrigo i tata, i mama czekają na mnie. To już niedługo...

- Nie, Claro, nie. Oni umarli, a my nie. Wróciłam, wróciłam po ciebie. Wytrzymaj, kochanie!

- Wszystko mi jedno - jęknęła chora.

- A mnie nie! Nie chcę, żebyś umarła! - mruknęła z wściekłością.

Nie odważyła się wykrzyknąć jej, co czuje: „Jesteś ostatnią osobą, która wiąże mnie z tym światem, Claro! Jeśli ty odejdziesz, nic mi już nie zostanie”.

Veridiana obserwowała nos swojej bratanicy, który w ostatnich godzinach zdawał się jeszcze zaostrzać. Westchnęła i powiedziała do niej z czułością:

- Daj mi rękę, kochanie.

Dziewczyna nie miała nawet siły, by unieść dłoń. Veridiana sama ją odszukała i uścisnęła.

- Nie poddawaj się. Wytrzymaj...

Veridiana nadal trzymała jej dłoń, choć wiedziała, że Clara już tego nie czuje. Znowu straciła przytom-

ność. Jakiś czas później Victor zastał Veridiane trzymającą rękę bratanicy.

- Przeciwności uczą nas pokory, chronią nas przed pychą i uczą, że nie wolno się zbyt przywiązywać do spraw tego świata. Śmierć nas wyzwala.

- Ja nie pragnę śmierci - odparła Veridiana z gniewem. - Chcę stąd wyjść, chcę wyciągnąć stąd ciebie, chcę, by moja bratanica przeżyła...

Victor spojrział na nią ze współczuciem.

- Nasze pragnienia nie ważą więcej niż trzepot skrzydeł maleńkiego motyla w bezmiarze wieczności. Jedyłą prawdą jest wola Boża. Nasze pragnienia ściągają na nas nieszczęścia i zakłócają spokój ducha.

Veridiana zdawała się go nie słuchać.

- Clara to osoba, którą kocham najbardziej na świecie - szepnęła w końcu. - Jest córką, której nigdy nie miałam. Widziałam, jak rosła, nosiłam ją na rękach. Tylko z nią i z jej bratem ciężko mi się było rozstać, kiedy opuszczałam Toledo. Ona jest...

Victor ukląkł i zwilżył wargi chorej mokrą szmatką. Nie miała nawet siły, by ją ssać.

Veridiane wydało się, że nagle owionął ich i oblepił jakiś słodkawy zapach. Poglądziła Clarę i wtedy poczuła zapach biskopka z mlekiem. To samo czuła, kiedy czesała ją, kiedy spała obok niej i Rodriga, kiedy dzieci czepiały się jej spódnicy, szukając u niej schronienia... Spuściła powieki i na chwilę znalazła się w jedynym domu, jaki kiedykolwiek miała, nagle znów była na patio domu brata i czuła znany zapach

dzieci. Niemal usłyszała okrzyki Clary i Rodriga bawiących się w księżniczki i rycerzy.

Słodkawa woń śmierci owiała jej twarz i Veridiana zrozumiała, że czarna śmierć właśnie zabrała jedyną osobę, która łączyła ją z Toledo.

Cicha łza spłynęła jej po policzku.

W jaskini skazańców spędziła trzy dni. Wiedziała już, że w podziemiach nikogo nie chowano. Ciała zmarłych wrzucano po prostu do suchej studni, a potem przysypywano piachem i odpadkami.

Victor modlił się razem z nią.

Dies irae, dies Ula. Solvet saeculum in favilla: teste David cum Sibylla. Quantus tremor est futurus. Quando iudex est venturus. Cuncta stricte discussants!... Pie Iesu, Domine. Dona eis requiem...2 - Amen

Proste słowa mnicha były najlepszym pożegnaniem, jakiego mogłaby pragnąć dla swojej bratanicy. Oboje zostali na chwilę sami, wpatrując się razem w ciemną czeluść, w której spoczęły doczesne szczątki Clary.

2Fragment łacińskiego poematu Dies irae (Dzień gniewu) powstałego w XIII w. Dzień ów gniewu się nachyla,/ gdy w proch wieki zmiecie chwila./ świadkiem Dawid i Sybilla./ Będzie strach tam, będzie drzenie./ przyjdzie Sędzia sądzić ziemię/ a roztrząsać wszystko wiernie (...) Dobry Jezu, a nasz Panie, daj im swoje spoczywanie - cytaty w przekładzie Anny Kamińskiej (przyp. red.)

Veridiana przestała płakać.

- Chodźmy - powiedziała w końcu.

- Potrzebują nas, jesteśmy tu użyteczni.

- Przeor też cię potrzebuje, Victorze - przerwała mu. -
Twoje miejsce jest tam, w tym nowym świecie, który
pomagałeś budować, obok Dimasa, który był ci jak ojciec i
który teraz czuje, że... że jego godziny są policzone.

Victor spojrział na nią zdumiony.

- Dimas umiera? Skinęła głową.

- Jest chory. Nie zostało mu wiele czasu. Victor nabrał w
płuca zgniłego powietrza, przesyconego mrokiem i śmiercią.

- Chodźmy zatem - głos jego zabrzmiał tak energicznie jak
niegdyś, gdy był pełnym sił i ducha mnichem-żołnierzem.

Ten sam mizerny chłopaczek, który wskazywał jej drogę do
tego piekła, prowadził ich teraz przez labirynt mrocznych
korytarzy na powierzchnię. Victor był jeszcze osłabiony i
dostał zadyszki spowodowanej marszem pod górę.

Veridianie droga powrotna wydała się krótsza i zupełnie
inna od tej, którą przeszła ledwie trzy dni wcześniej. Za sobą, w
podziemnych mrokach, zostawiała własną przeszłość. Ostatnie
więzy, jakie łączyły ją ze światem i ludźmi, spoczywały pod
warstwą śmieci w czeluści studni.

Gdy weszła na ostatnie stopnie, poczuła, że powietrze było tu świeższe, lżejsze i czystsze. Ogarnęła ją nagle nieodparta potrzeba, by wyjść z mroku i zaczerpnąć tego powietrza, pieśczonego błogosławionymi promieniami słońca.

Drzwi wyrosły przed nimi niczym przeszkoda nie do pokonania.

- Nikt wam nie otworzy - ostrzegł chłopak i odwrócił się, jakby chciał zaraz uciec.

- Poczekaj! - zawołała go Veridiana - Poczekaj chwilę...

Uderzyła w drzwi z całej siły.

- Jestem Veridiana de Sanabria, baronowa de Fleurilles! Mam przepustkę od hrabiego de Rascón y Cornejo. Wypuście mnie! - krzyknęła.

- Nikt was nie posłucha, pani.

- Muszą mnie posłuchać. Otwórzcie nam! - zawyła. Echo jej wołania rozeszło się po podziemiu. Veridiana zbliżyła dłoń do drzwi. Pogładziła ciężkie

drewno, jakby było bardzo kruche. Skupiła myśli na tym, co było po drugiej stronie; wyczuła dziwną ciszę i lekkie mrowienie, które sprawiło, że się uśmiechnęła.

Odetchnęła wilgotnym powietrzem jaskini, które teraz wydało się jej gęstsze niż wcześniej i zebrała je, by uderzyć nim w drzwi.

- Chwileczkę - mruknęła tonem, który zabrzmiał jak pogróżka.

Naparła na drzwi siłą woli.

Drewno wygięło się. Suchy trzask łamanych desek zaskoczył zarówno Victora, jak i chłopca.

Veridiana napierała dalej, aż wreszcie drzwi z przeraźliwym hukiem rozpadły się w drzazgi. Odłamki drewna trysnęły na wszystkie strony. Victor zasłonił twarz rękami.

- Droga wolna - powiedziała do chłopca ze śmiertelną powagą. - Zejdź i powiedz wszystkim, że drzwi są otwarte i że... nie ma strażników.

- Na co czekasz? Idź!

Chłopiec pognał jak burza na dół. Nigdy nie dowiedzieli się, czy uciekał ze strachu przed tym, co zobaczył, czy gnała go waga wieści, jaką miał do przekazania.

Victor patrzył na nią z wyrazem zdumienia na twarzy.

- A żołnierze? - szepnął niepewnie.

- Nim pozostali tu nadejdą, nie zostanie ani jeden. Powiedziała to z chłodną pewnością, bez cienia wahania.

Zrobiła krok do przodu i wyszła na zewnątrz. Mnich poszedł w jej ślady.

Rzeczywiście przed wejściem nie zobaczyli żadnego strażnika. Droga była wolna. Victor natężył słuch i wydało mu się, że słyszy odległy szcęk oręża. Veridiana bez wahania ruszyła w kierunku, z którego dobiegał. Victor szedł za nią. Przed bramą budynku walczyło ze sobą kilku żołnierzy. Byli tak zajęci walką, że w ogóle nie zwrócili na nich uwagi.

Jeden z walczących wyraźnie wyróżniał się ubiorem i postawą. Odwrócony był do nich obojga tyłem. Na białą jedwabną koszulę miał narzuconą wybornej roboty kolczugę. Sprawnymi poruszeniami miecza utrzymywał na dystans kilku strażników.

Podczas jednego ze zwodów odwrócił się, ukazując twarz i Victor ze zdumieniem odkrył, że był to Enrique.

Hrabia de Rascón y Cornejo walczył ze swoimi własnymi ludźmi.

Gdy zauważył nowo przybyłych, przywołał na twarz ironiczny uśmiezek, który, jak się zdawało, stał się w ostatnich czasach nieodłącznym elementem jego mimiki.

- Czy twoja oferta, pani, nadal jest aktualna?
- krzyknął, by mogli go usłyszeć mimo szczęki broni.
- Trwasz przy niej? - powtórzył, patrząc jej w oczy.
- Oczywiście - odparła sucho.

Enrique wybuchnął nieco teatralnym śmiechem.

- W takim razie uciekaj... I dobrze chroń swojego mnicha.

Dogonię was.

Veridiana pochyliła się, podniosła miecz i podała go Victorowi. Ledwo zdołał go unieść.

- Chodźmy! - rzuciła przez zęby.

Światło ulicy oślepiło ich. Veridiana przygotowała się do walki z groźnym cieniem, który jednak okazał się zwykłym, nerwowo drepczącym koniem uwiązany przy studni.

- Zdołasz jechać? - pospiesznie zapytała Victora.
- Będziesz miał siły, by dotrzeć na trakt do Sonseca?

Przytaknął, a ona wyjaśniała dalej:

- Za ogrodami i łąkami, gdzie zaczyna się nisko-pienny las, jest opuszczony zajazd.

- Znam to miejsce.

- Poczekasz tam na nas, Victorze? Mnich skinął głową i poprosił:

- Jedź ze mną.

- Mam tu rachunki do wyrównania... - spojrzenie Veridiana skierowało się znów ku więzieniu. - Jedź, nim pojawi się więcej żołnierzy.

Victor zawahał się przez chwilę. Veridiana klepnęła konia w zad tak, że ruszył truchtem.

- Czekać na nas w zajeździe! - krzyknęła. Postać mnicha zniknęła jej z oczu wraz z pokusą, by odjechać razem z nim.

Veridiana odetchnęła głęboko czystym powietrzem ulicy i z powrotem weszła do budynku.

Enrique de Rascón y Cornejo z szatańską zręcznością unikał ciosów strażników. Bardziej niż na wojownika wyglądał na tancerza, a ten sposób walki dezorientował przeciwników.

Veridiane wystarczył rzut oka, by pojęła, że miał przynajmniej dwóch ludzi po swojej stronie i czterech przeciw sobie.

Zamknęła oczy i wzbudziła swoją wewnętrzną siłę. Wyciągnęła ręce przed siebie i skierowała powiew wichury przeciwko jednemu z tych ludzi.

- Nie! Tak nie! - krzyknął Enrique, wbijając w nią wściekłe spojrzenie.

Veridiana zaatakowała pozostałych trzech. Nagle stali się jak zwykłe kukły targane przez wicher. Zapadła cisza.

Enrique miał śmiertelnie poważną twarz. Strażnicy, którzy walczyli po jego stronie, stanęli oniemiałi.

Hrabia odwrócił się do nich. Zamknął oczy, uniósł ręce i posłał poryw powietrza, który wyrzucił ich w górę.

Ich krzyki umilkły dopiero wtedy, gdy roztrzaskali się o ziemię.

Cisza, która teraz zapadła, była gęstsza niż zwarte powietrze, które ich otaczało. Veridiana odezwała się pierwsza:

- Enrique! Przecież oni walczyli u twego boku, czyż nie?

- Nie może być świadków...

A ponieważ zdawała się go nie rozumieć, musiał wyjaśnić:

- Czary, Veridiano. Nie chcę świadków. Jestem wielkim inkwizytorem królestwa. Nikt nie może tego widzieć - powtórzył z ledwo hamowaną wściekłością.

Umilkła, zaskoczona gniewnym błyskiem w jego oczach.

Enrique zamrugał i na powrót stał się tamtym młodzieńcem, którego, jak się jej zdawało, dobrze znała.

- Wiedziałem, że wyjdiesz - wyjaśnił. - Miałem przeczucie. Nigdy, nigdy nie pozwoliliby ci, pani, opuścić jaskini, zapewniam.

Enrique skierował się do drzwi i znów pokazał jej zęby w wilczym uśmiechu.

- Przemyślałem lepiej twoją ofertę, droga Veridiano. I zmieniłem zdanie.

Nie wiedziała, czy się cieszyć, czy płakać. Hrabia obejrzał się za siebie w głąb korytarza, z którego wyszli. Dopiero wtedy Veridiana zdała

sobie sprawę z głuchego pomruku dobiegającego z jaskini Herkulesa.

- Zadzumieni! - wykrzyknął Enrique. Słysząc też było odgłosy z innej strony, od ulicy.

- Chodźmy! - przynagliła go.

Skierowali się do wyjścia. W progu ujrzeli dziesiątki uzbrojonych ludzi, którzy patrzyli na nich w przerażeniu. Upłynęło kilka sekund, nim Veridiana pojęła, że tak naprawdę nie patrzyli na nich, lecz na tłum nadchodzących chorych za ich plecami: obdartą i śmierdzącą rzeszę potępieńców.

Odwróciła się do Enrique.

- A teraz co? Możemy zostawić świadków? Wzruszył ramionami i za całą odpowiedź przywołał

na wargi swój nieodzowny ironiczny uśmieszek. Uniósł ręce i przywołał siły, których dotychczas używał jedynie na osobności. Powietrze wokół stało się ciężkie i gęste. I jakby było ono jeszcze jedną częścią jego ciała, wymierzył je w żołnierzy.

Gdy Veridiana podniosła ręce, rozbłysły promienie mocy, które szybko niczym błyskawice uderzyły w strażników. Znowu poczuli tę samą pełnię, co podczas dawnych nocnych ćwiczeń w lesie, w Świecie.

Całe otoczenie zniknęło, bo w tym momencie czuli, że są jedyną rzeczywistością. Walczyli razem przeciw wspólnemu wrogowi. Nic innego się nie liczyło.

Veridiana zauważyła, że powietrze pachniało teraz tak samo jak wtedy nocą w lesie. Każdy wspólny ruch, każdy atak przynosił jej zmysłową przyjemność. Czuła się elementem doskonale pracującego mecha-

nizmu, idealnej choreografii. Za każdym razem, gdy kolejny przeciwnik szybował w powietrze, napełniała płuca tym gęstym powietrzem, które dawało jej moc.

Kilku żołnierzy z przerażeniem rzuciło się do ucieczki. Kilku przylgnęło do ściany, szukając tam namiastki schronienia.

Enrique odwrócił się do Veridiany. Jego uśmiech był teraz inny i wyrażał czystą ekstazę.

- Sądzę, że moja kariera na stanowisku inkwizytora już się skończyła.

Powiedzenie tych słów zajęło mu ledwie chwilę. To wystarczyło, by wielki, wprawny w walce żołnierz zaatakował go.

Veridiana nie tyle zobaczyła, co poczuła, jak miecz przebija bok Enrique i ciemna krew zabarwia śmiercią jego kolczugę. Promienie mocy znikły, a poczucie pełni rozplynęło wraz z nimi.

Powietrze stało się lżejsze.

Veridiana ruszyła na mężczyzę, który chciał dobić Enrique, i wyrzuciła go w powietrze. Potem podeszła do hrabiego. Nie musiała go dotykać - i tak wiedziała, że bicie jego serca osłabło. Słyszała, jak krew z bulgotem wypływa z jego boku. Niemal widziała, jak życie z niego uchodzi.

Nogi Veridiany drżały z osłabienia. Omal nie osunęła się na ziemię. Dopiero po chwili zrozumiała, że czuje to samo, co Enrique. Przez chwilę miała wrażenie, że stanowią jedno ciało. Wiedziała, że on niechybnie upadnie, i rzuciła się, by go podtrzymać.

Zemdlał na jej rękach, a ona przytuliła go niczym Matka Boska zdjętego z krzyża Chrystusa.

Otaczało ją kilkunastu zbrojnych ludzi. Drugie tyle szykowało się do ataku na zadżumionych, którzy gromadzili się w progu.

Rozpacz ogarnęła duszę Veridiany z szybkością płomienia trawiącego suche liście. Nie mogła dopuścić, by ci ludzie jeszcze bardziej się zbliżyli. Musiała z nimi walczyć. Ale musiała też zająć się rannym, i to natychmiast! Trzeba było zatamować krwotok, by życie przestało uchodzić z Enrique.

Zamknęła oczy i poczuła gęstą gorącą krew, która płynęła jej po rękach i skapywała na kolana.

„Bezpieczne miejsce. Boże mój, potrzebuję bezpiecznego schronienia!”.

Tysiące wrażeń wypełniło ją w jednej chwili... Jej dom rodzinny w León i stara kuchnia zimą. Zapach suszonego mięsa i paleniska. Ramiona matki i nieokreślone uczucie, które w tym czułym uścisku łączyło się z ciepłem i bezpieczeństwem. A także patio w Toledo, na którym bawiła się Clara i Rodrigo, ich wesołe okrzyki rozbrzmiewające w upalne letnie popołudnie. Patio Isabel i jej własny śmiech łączący się ze śmiechem sąsiadki i bratowej. Woń wosku i oliwy... Samotny kościół San Román pogrążony w półmroku późnym popołudniem. I pierwsze msze u Świętego Saturnina po jej przyjeździe do Francji...

Veridianie przypominało się to, o czym tyle razy słyszała: że przed śmiercią człowiekowi całe życie przebiega przed oczami.

I ogarnął ją strach, jakiego wcześniej nie znała. „Nie chcę umierać”.

W ziemię toledańską, kolebkę nauk zakazanych i zapomnianych, wsiąkała krew Enrique de Rascona y Cornejo.

- Nie umrę. Nie chcę teraz umrzeć - Veridiana zacisnęła szczęki tak mocno, że przeszył je ból. - Nie teraz.

Piasek zabarwił się na czerwono. Miasto wzniesione w dawnych czasach na miejscu mocy skwapliwie przyjmowało ofiarę z krwi. Veridiana poczuła archaiczną moc, która trwała tu uśpiona przez całe wieki, i chwyciła się jej rozpaczliwie. Gdzieś wewnątrz niej ta siła stężała, przebudziła się i zawyła z wściekłością tysiąca dzikich bestii.

Była jedna, lecz zarazem była wieloma. Każde z istnień, które ją otaczały, znajdowało się wewnątrz niej. Ich wspomnienia, miłości, nienawiści, ich stare rany odezwały się w jej duszy w upajającym pomieszaniu. Zatraciła się w nich, aż napotkała nocny zapach swojego lasu w Świecie. Ten aromat uświadomił jej, że odnalazła Enrique, odczuła ból przesywający jego bok.

Życie, wspomnienia, zapachy, doznania i pragnienia wypływały z niej szkarłatnym strumieniem.

Siła pragnienia odszukała rozerwane tkanki, które otwierały się przed nią. Chwyciła je z niewyobrażalną delikatnością, odszukała ich końce i połączyła je, jakby cerowała drogocenną tkaninę.

Świadomość Enrique rozbłysła w jej umyśle, powracając z krainy śmierci.

Veridiana krzyknęła z radości, otworzyła oczy i zaczęła chłonać świeży powiew, który zawirował gwałtownie.

Schwyciła ciało Enrique w ramiona i przytrzymała mocno. Pozwoliła, by pęd powietrza wchłonał ich oboje. Ten dziki wiatr przesycony archaiczną mocą zostawiła napastnikom. Wiedziała, że kiedy tylko poryw ich dosięgnie, wydrze z nich najmniejsze oznaki życia.

Drzwi kołysały się smętnie na wyrwanych zawiasach i uderzały miarowo w futrynę. Zerwała się burza, której towarzyszyła rześista ulewa. Wiał porywisty wiatr, a dźwięk kropeł uderzających w dach i przeciekających przezeń pomagał Victorowi uspokoić się.

Schronił się na wyższym piętrze zajazdu. Czasami wyglądał przez okno, obserwując trakt do Sonseca.

Czekał na nią już od paru godzin i jego początkowa cierpliwość i nadzieja gdzieś się ulotniły. Teraz jego duszę szarpały wątpliwości i nawet modlitwa nie przynosiła mu ukojenia. Wciąż zastanawiał się, kiedy nadejdzie Veridiana, czy nic się jej nie stało, czy nie stanęli na jej drodze żołnierze. Wolał nie myśleć, co będzie, jeśli ona nie wróci.

Za każdym razem, gdy rozlegał się grzmot lub uderzały zdezelowane drzwi i okiennice, serce mu zamierało.

Wilgoć wdzierała się wszystkimi szparami, ale nie miał odwagi rozpaść ognia. Obawiał się, że ktoś zobaczy dym, przecież ktoś mógł go szukać.

Upływające godziny ciążyły mu niemiłosiernie. Zapadał już zmierzch, a wciąż nie było śladu po Veridianie. Po raz setny wychylił się przez okno i spróbował dojrzeć coś poprzez gęstą zasłonę deszczu.

Wtedy wydało mu się, że jakiś nieforemny kształt nadciąga drogą. Postać zbliżała się coraz bardziej i wkrótce Victor dojrzał dwie osoby jadące na osle. Gdy rozpoznał kobietę, zbiegł po schodach, przeskakując po kilka stopni, żeby ją powitać.

- Veridiana!

Zsiadła z osła i wtedy zobaczył, że cała jest zabłocona. Jej jasne włosy wydawały się niemal brunatne, wysunęły się spod czepka i lepiły do twarzy i ciała. Była blada jak zjawa i pomyślał, że za chwilę osunie się na ziemię.

Podtrzymał ją, a ona oparła się na nim niemal całym ciężarem ciała.

- Jesteś ranna? Zaprzeczyła.

- Tylko wyczerpana... - szepnęła słabo. - Victor, pomóż mi gó podnieść. Musimy rozpalić ogień.

- Dym może przyciągnąć...

- Musimy rozpalić ogień - powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Masz konia?

- Jest tam - gestem wskazał stajnię.

- Ukradłam tego osła, ale nie będą nas szukali. Przy tej pogodzie nikt nie będzie na tyle szalony.

Victor pomógł jej podnieść człowieka, którego przywiozła ze sobą. On również całkiem przemókł.

Gdy go wziął, zsunęła się ciemna szmata, która chroniła mu twarz przed deszczem. To był Enrique.

- Jest martwy?

- Prawie. Ale przeżyje.

- Po co go, pani, wzięłaś?

- Jedzie z nami do Świata - Veridiana spojrzała na mnicha swymi jasnymi oczyma. - Chowasz do niego urazę za to, co zrobił?

Victor nic nie odpowiedział; po prostu podniósł rannego.

We dwójkę zanieśli go w poblizze paleniska. Victor zajął się rozpalaniem ognia. Kiedy szukał odpowiednich desek i układał suche drewnienka, Veridiana ściągnęła z Enrique koszulę.

- Pomóż mi.

Sama nie była w stanie zdjąć metalowej kolczugi z bezwładnego ciała. Gdy Victor wziął ją w ręce, zauważył, że była rozerwana i splamiona krwią na wysokości żeber.

- Jest ranny - stwierdził Victor.

- Już nie.

Na bladej skórze Enrique jego uwagę zwróciła wielka czerwona blizna na boku. Wyglądała jak ogromna pajęczyna otoczona kawałkiem purpury.

Veridiana oparła rękę na bliźnie i przymknęła oczy.

- Leczy się od wewnątrz.

- Widzisz to? - wymamrotał Victor.

- Nic nie widzę. Ale czuję to... Tak samo jak czuję, że teraz niesiemy ze sobą czarną śmierć.

Victor cofnął się o krok. Popatrzył na nią uważnie.

- W takim razie nie możemy wrócić do Świata. Nie możemy zawlec tam zarazy.

Veridiana uśmiechnęła się smutno.

- Wrócimy.

- Ale...

- Zbliź się, Victorze, podejdź tu...

Nie posłuchał jej; stał dalej spokojnie i to ona do niego podeszła. Złapała go za nadgarstek i spojrzała mu prosto w oczy.

Poczuł dziwne mrowienie, które przebiegło go od ręki po stopy. Nagle dostał mdłości. Gdy miał już wymiotować, Veridiana wypuściła jego dłoń, jakby zwykły kontakt z jego skórą ją palił. Spuściła wzrok i opadła na podłogę wyczerpana.

- Proszę cię, Victorze, rozpal ogień. Potrzebuję trochę ciepła.

Nadeszła noc. Na zewnątrz nadał padało.

Jedynе oświetlenie w pomieszczeniu pochodziło z paleniska. Z belek sufitu zwieszały się ogony lisów i dzików, które właściciele oberży przechowywali niewątpliwie jako trofea z polowań. Teraz ich zniekształcone cienie tańczyły po ścianach i nadawały sali niesamowity widok.

Enrique wciąż leżał nieprzytomny na ziemi. Oddech miał lekko przyspieszony, ale regularny.

Ubranie Veridiany już wyschło, a jasne rozpuszczone włosy spływały po plecach niczym kaskada złocistej pszenicy. Victor nigdy nie widział jej tak

uczesanej. Widok tej nowej Veridiany był dla niego prowokujący i niepokoił go.

- Jutro musimy wyruszyć z samego rana - powiedziała. - Nie możemy ryzykować, że nas znajdą. A kiedy deszcz ustanie, prawdopodobnie to zrobią.

- Nie wrócimy do Świata, Veridiano. Sama powiedziałaś, że możemy tam zawlec zarazę.

Westchnęła.

- Nie martw się, Victorze. Jesteś już oczyszczony. Nie został w tobie nawet ślad choroby - wyjaśniła cichym głosem.

- Skąd wiesz? Nie możesz mieć pewności.

- Po prostu to wiem. Widzę... czuję to w tobie. Kiedy się spotkaliśmy, od razu miałam wrażenie, że coś jest z tobą nie tak. Coś mrocznego kryło się w twoim ciele. Ale można to było wyczyścić. Wiedziałam, że jeśli się postaram, jestem w stanie to pokonać. I tak właśnie zrobiłam... Skończyłam z tym

- spojrzała na niego kr.tem oka. - Teraz jesteś czysty. Veridiana zerknęła na śpiącego Enrique.

- Tak samo czułam, jak życie uchodzi z niego przez ranę w boku. Cięcie było głębokie. Zobaczyłam... poczułam to ciało... jakby było tylko rozdartym materiałem, który trzeba zacerować. I szylałam przez cały ten czas. Oczyściłam ranę, nie dotykając jej...

- ciągnęła, unikając jego wzroku. - Czarna śmierć była też we mnie... Ale już jej nie ma. Zostało mi tylko to ogromne znużenie.

Wreszcie Veridiana odważyła się podnieść na niego wzrok.

Nigdy jeszcze nie wydała się Victorowi tak bezbronna. Jasne włosy okalały jej twarz niczym aureola.

- Teraz widzę, słyszę i czuję twoje serce. Jeśli się skupię, słyszę odgłos życia płynącego w twoich żyłach... I... boję się, Victorze. Wszystko to teraz mnie przeraża...

Mnich podszedł do niej i usiadł obok na podłodze.

- Kiedy dotarliśmy do Świata, sądziliśmy, że wszyscy otrzymamy moc. Jednak tak się nie stało. Tylko nieliczni, wybrańcy Boży, osiągają te umiejętności. Każdy w innej postaci. Nie wiemy dlaczego. Nie powinnaś się bać. Jestem z tobą, Veridiano. Zawsze będę u twego boku...

Wziął ją za rękę. Przez chwilę trzymał ją w swoich dłoniach, a potem złożył na niej pocałunek. Pocałunek zupełnie pozbawiony namiętności.

To był ten sam gest, który Veridiana widziała tyle razy u rycerzy i możnych, którzy oddawali się w służbę u Guya. Pocałunek poddanego.

- Pani, pragnę być twoim wasalem - szepnął. Victor, rycerz Zakonu Świętej Cekliny, ofiarowywał jej swój miecz, swoje życie... Oddawał jej siebie całego. Mnich - żołnierz i następca Dimasa oddawał się do jej usług.

Chociaż Veridiana czuła się śmiertelnie wyczerpana, wyprostowała plecy, tak jak to podpatrzyła u Guya, w ceremonii podobnej, a przecież zarazem zupełnie innej, i wypowiedziała uświęcone obyczajem słowa:

- Przyjmuję cię na mojego sługę i wasalę. Tym sposobem stała się panią jego życia i śmierci.

O pożegnaniu z Dimasem, o
ostatniej propozycji Veridiany
i decyzji Victora dotyczącej
Enrique

Cela Dimasa była taka sama jak wszystkie inne: niewielkie, pobielone wapnem pomieszczenie z małym okienkiem, przez które wpadało rozproszone światło słoneczne. Przy ścianie wybudowano z cegieł podstawę legowiska, które stanowił położony tam słomiany siennik.

Przeor siedział na tym skromnym posłaniu. Oparł plecy o ścianę. Wsunął pod nie zrolowany habit, który łagodził twardość muru.

Był skrajnie wychudzony, a w twarzy przykuwało uwagę bystre spojrzenie, tak dla niego charakterystyczne. Teraz pod oczami miał jednak wielkie wory.

Victor siedział obok niego na stołku. W ostatnich tygodniach doszedł do siebie i mięśnie na powrót zarysowały się pod habitem, który po powrocie z Toledo wisiał na nim żałośnie.

- Już jakiś czas temu zauważyłem, że nienosisz medalionu Zakonu... - głos Dimasa był słaby, ale umysł tak samo jasny jak zawsze.

- Dałem go...

- Wiem - przerwał mu. - Widziałem, że go носи. Przeor z wysiłkiem pociągnął za prosty rzemień, który miał na szyi i zdjął go.

- Weź mój. Tam, dokąd idę, nie będzie mi potrzebny - ujął dłoń Victora i włożył w nią medalion.

Cały czas trzymając go za rękę, powiedział:

- Victorze, proszę, kontynuuj dzieło naszych poprzedników. Mnich skinął głową.

- Był przeor dla mnie jak ojciec.

- A ty byłeś mi synem, którego nigdy nie miałem

- Dimas nagle przerwał. Jego twarz wykrzywił grymas bólu.

- Jestem gotowy na śmierć. Czuję ulgę w sercu. Jednak te dolegliwości coraz bardziej mi doskwierają i... - znów przerwał, by po chwili podjąć z trudem.

- Bóg wzywa mnie do siebie i czas już, bym do Niego odszedł. Moje życie było długie, dużo dłuższe niż mógłbym się spodziewać. Dużo widziałem... Nigdy bym nie pomyślał, że przeżyję takie rzeczy. Ani nie szukałem tych przeżyć.

Dimas zamilkł na chwilę, po czym poszukał wzrokiem oczu Victora.

- I mogę powiedzieć, że moje życie było pełne. Poświęciłem je w całości Zakonowi. Ostatnie lata na odbudowanie Świętej Cerkli w tym dziwnym świecie i utrzymanie ducha pierwotnego klasztoru, który

musieliśmy porzucić - westchnął. - Nie starczy mi życia, by zobaczyć skończoną świątynię i złożone w niej relikwie naszej świętej. Ale widziałem, jak budowaliśmy podwaliny, jak nadawaliśmy jej kształt, jak rosły kolejne łuki, okna. Co wieczór kładłem się szczęśliwy, że prace postępują. Co rano przybywał jakiś kamień. Znalazłem i sprowadziłem budowniczych, którzy będą umieli skończyć to dzieło. A wszystko to na większą chwałę Bożą... *Ut indulgere digneris omnia peccata mea*³ - zaśmiał się sam do siebie. - Budujemy wspaniałą świątynię na Jego cześć. Świątynię, która wzniesie się nad tym nowym Światem. Czuję się dumny, że właśnie mnie Bóg powierzył zadanie położenia pod nią podwalin, i tylko mi szkoda, że nie zobaczę ukończonej katedry.

- Skończę ją za ciebie, ojciec. Przeor znów się uśmiechnął.

- Nie wątpię. Nadeszła moja kolej i jestem gotowy. Pielęgnuj ducha Zakonu, dbaj o naszych ludzi, nasz Świat... Obiecuj mi to, Victorze!

- Obiecuję. Masz moje rycerskie słowo honoru, ojciec.

- *Et disioluta terrestrihus incolatus domo, aeter-na in caelis babitatio comparatur...*⁴ - Dimas ze znużeniem spuścił powieki.

³Z łac. Abyś zechciał odpuścić wszystkie moje grzechy, (z liturgii pokutnej - *przyp. red.*)

⁴"Z łac. z liturgii pogrzebowej: i (kiedy) nasz doczesny dom (ciało) rozpadnie się, wtedy czeka na nas, przygotowane (przez Pana) wieczne mieszkanie w Niebie (*przyp. red.*)

Victor siedział dalej koło niego. Spoglądał na medalion, który trzymał w dłoni. Pogładził delikatnie jego wgłębienia i przejechał palcem po spirali, która go zdobiła. Powiesił medalion na szyi i poczuł się szczęśliwy. Wróciło do niego coś, za czym tęsknił od dawna.

Spotkał Veridianę w kapitularku. By dotrzeć do niej, musiał minąć długi szereg petentów. Z każdym dniem przybywało mieszkańców Świata, którzy zwracali się z prośbą o pomoc lub pozwolenie na najróżniejsze rzeczy: otwarcie tawerny, budowę domu, handel skórami... Wszystkie te sprawy musiały przejść przez ręce Rady, a w praktyce trafiały do Veridiany.

Gdy wszedł do sali, zajęta była przeglądaniem jakichś zwojów. Obok stał księgowy Gil de Beltran i skryba Pablo de Zamora. Lorenzo López mówił właśnie o organizacji ekspedycji badawczych, kiedy przerwał na widok Victora.

Veridiana gestem odprawiła wszystkich trzech.

Dopiero kiedy ciężkie drzwi zamknęły się za nimi, zapytała mnicha:

- Jak się czuje Dimas?
- Jest umierający. Sama wiesz.

Victor opadł na zydel, który stał koło stołu. Tylko przy Veridianie pozwalał sobie na okazanie znużenia i smutku. Przed wszystkimi innymi przybierał pozór siły, której wcale nie czuł.

- Jego śmierć się odwleka, a on cierpi przez to. Nie mogę patrzeć, jak się męczy.

Victor poszukał niebieskich oczu Veridiany.

- Jesteś pewna, że nie możesz go uzdrowić? Wstała.

- Śmierć to śmierć. Niektóre choroby, pewne rany... można wyleczyć. Ale nic nie mogę poradzić na starość i śmierć. Woła Boga jest, by ludzie umierali, ja jedynie mogę powstrzymać niektóre choroby w momencie, gdy dopiero się zaczynają. Nie mogę go uleczyć, Victorze.

- On cierpi - powtórzył ostro.

Veridiana podeszła do niego. Tak blisko, że mogła poczuć zapach choroby, który niósł jeszcze na sobie.

- Chcesz, bym zrobiła coś dla niego? By już więcej nie cierpiał? - zapytała z wahaniem w głosie.

Victor spojrzał na nią swymi przejrzystymi, błękitnymi oczami. Nie musiał odpowiadać.

Dzwony pogrzebowe. Echo dwunastu uderzeń rozniosło się po dolinie.

Po raz pierwszy ten długi, mroczny dźwięk, który zawiadamiał o śmierci wysokiego rangą zakonnika, powtórzył się trzykrotnie w Świecie.

W ten sposób wszyscy dowiedzieli się o śmierci Dimasa.

Ciało wystawiono w kościele na cały dzień, a kiedy zapadł zmrok, czuwali przy nim najbliżsi przeorowi bracia.

Victor modlił się przez całą noc, nie mogąc uwierzyć, że na zawsze żegna się z Dimasem. Przeor towarzyszył mu niemal przez całe życie i choć Victor

był przekonany, że jego przełożony teraz zasiada w chwale Bożej, wiedział, że jego nieobecność będzie mu ciążyła niczym niewidzialny głaz, przytłaczając go przez wszystkie dni życia, jakie mu jeszcze pozostały.

Przenikliwa, słodkawa woń śmierci mieszała się z zapachem wosku i kadzidła. Gdy pierwsze światła brzasku wniknęły przez okna, Victor podszedł do ciała i przyjrzał się dokładnie tym rysom pozbawionym życia i będącym już tylko odległym wspomnieniem człowieka, którego żegnał teraz na zawsze.

Odwrócił się i wolno przeszedł przez nawę. Wyszedł na zewnątrz i odetchnął głęboko świeżym porannym powietrzem.

Ruszył w kierunku swojej celi. Przed pogrzebem chciał odpocząć przez kilka godzin.

Gdy wracał przez pola zadbane i kwitnące ogrody, przypomniał mu się nieco młodszy Dimas, taki, jakim go poznał w pierwszym klasztorze Świętej Cekliny. Szedł, myśląc o tym, co tak lubił w przeorze: cichej mądrości w jego niebieskich, pełnych życia oczach, jego cienkich wargach zawsze skorych do uśmiechu, o gęstych brwiach... Bał się, że z czasem ta twarz rozmyje się w jego wspomnieniach, tak jak już mu się to zdarzyło z innymi osobami, które kochał, a które odeszły do Pana. Pomyślał, że czas jest bezlitosny dla ludzkiej pamięci. Nie chciał zapomnieć swego duchowego ojca.

Szedł tak zatopiony w swoich myślach, że nie zauważył postaci, która czekała na niego w cieniu wejścia do klasztoru.

- Victor - zawołał go cicho jakiś głos.

Mnich wzdrygnął się.

Veridiana wyszła z mroku i stanęła naprzeciw. Miała na sobie długą i szeroką pelerynę, twarz zasłaniał jej kaptur.

- Dzień dobry, Veridiano.

- Musimy porozmawiać.

Mnich rozejrzał się wokół. W pobliżu nie było nikogo. Świat jeszcze się nie obudził.

- Jutro zbiera się Rada - ciągnęła. - Wybierzemy cię na następcę Dimasa.

Veridiana nie powiedziała mu niczego nowego. Victor cierpliwie czekał, aż wyłuszczy, o co naprawdę jej chodzi.

Veridiana zrzuciła kaptur. Jej oczy błyszczały i były tak niebieskie jak wiosenne niebo.

- Od tego momentu będziesz nowym opatem, przeorem Zakonu. - Nabrała powietrza. - Pamiętasz, co ci powiedziałam tamtego dnia w lesie?

Spuścił oczy.

- Nigdy tego nie zapomnę - odparł nie patrząc na nią. - Jak mógłbym zapomnieć?

- Chcę, abyś wiedział, że nic się nie zmieniło od tamtego czasu...

„Wszystko się zmieniło”, pomyślał Victor, ale nic nie powiedział.

- Moje uczucia względem ciebie są takie same - wyjaśniła.

- To, co czujesz, Veridiano, to nie miłość — powiedział i wreszcie odważył się podnieść wzrok. - To... to coś innego, co mylisz z miłością.

- Posłuchaj mnie uważnie - przerwała mu - bo nigdy więcej ci tego nie powiem. To nasza ostatnia szansa. Następnej już nie będzie, Victorze. Jutro wybierzemy cię na nowego przeora. Choć nie masz mocy i tak wszyscy cię poprą. A wtedy...

Przerwała. Myśli kłębiły się jej w głowie. Bała się, że nie wyrazi dość jasno tego, z czym przyszła. Postanowiła mówić nieco wolniej.

- Ten świat potrzebuje silnych i mądrych przywódców. Sama Rada nie wystarczy! Victorze, tylko zwierzęta nie mają królów.

- Królów? - tą propozycją bez wątpienia go zaskoczyła.

- Tu, w tym nowym świecie, mamy Boga. Mamy Zakon, który dba o sprawy wiary, o to co największe. Mnisi Świętej Cerkli troszczą się o dusze ludzi. To prawda, że władza papieża nie sięga do nas, ale wszyscy zgodziliśmy się, że Zakon właściwie sprawuje opiekę duchową w Świecie. - Veridiana znów na chwilę przerwała i spojrzała mu prosto w oczy. - Ale gdzie król? Władza polityczna? Czy ma jakiegoś przedstawiciela w naszej słynnej Radzie? Ludzie potrzebują kogoś, kto będzie im przewodził, Victorze. Rada reprezentuje kler i miasto. A gdzie arystokracja? Ludzie wyższego rodu nie mają w Radzie swojego przedstawiciela. W tym świecie brakuje szlachty. A kto mógłby ją reprezentować, Victorze?

Dopiero wtedy zrozumiał, o co jej chodziło.

- Jestem baronową de Fleurilles, z domu Sanabria i... - domyślił się, co teraz powie. - Enrique jest

hrabią de Rascón y Cornejo. Jesteśmy jedynymi arystokratami w Świecie. Najszlachetniejszej krwi. Moja rodzina jest spokrewniona z pierwszym królem Kastylii i Leonu. Matka Enrique pochodzi z rodu królów aragońskich. Oboje mamy w żyłach królewską krew.

- I oboje jesteście wybrani przez Boga. Wasze moce...

- Tak, nasze moce... - powtórzyła szybko. - Nasze moce jeszcze bardziej zwiększają dystans między nami i resztą.

- Nikt tak jak wy nie jest predestynowany do władania Światem. Pomogę wam, nie martw się, Veridiano. Obiecuję ci moje poparcie, zawsze możesz na nie liczyć.

Postąpiła krok do przodu i Victor nie potrafił ocenić, czy na jej twarzy maluje się uraza, czy smutek.

- Nic nie rozumiesz! Nie chcę twojego poparcia. Chcę ciebie... Ofiarowuję ci całe królestwo, cały świat. Poparcie Rady już mam. Już je mam. I ty też je masz, Victorze. Za to Enrique nie ma niczyjej przychylności... A czego moglibyśmy dokonać wspólnie? Ja wnoszę moce, ty mądrość. Porzuć Zakon i...

Victor przestał błędzić wzrokiem po lesie. Światło słoneczne przenikało między liśćmi drzew, a świeży, czysty, poranny powiew wypełniał dolinę.

Veridiana stała przed nim, piękna jak zawsze. Jej oczy były jaśniejsze niż to niebo o brzasku. Przypominały oczy Dimasa. Te oczy, których nie chciał zapomnieć.

- Królestwo, którego ja pragnę, nie jest z tego świata, Veridiano. Ani z tego drugiego - Victor pozwolił sobie na uśmiech. - Czy nie rozumiesz, że władza mnie nie interesuje? Dimas powierzył mi coś, na czym wcale mi nie zależy. Władza doczesna, w tym świecie czy w innym, to tylko ułuda. Życie wieczne, u boku naszego Pana Jezusa Chrystusa, to jedyna rzecz, jakiej pragnę.

Veridiana zacisnęła wargi do bólu. Znała Victora. Wiedziała, że odpowiedź nie może być inna, a jednak musiała spróbować. Gdyby teraz go o to nie zapytała, wyrzucałaby to sobie przez resztę życia.

Partia była już rozstrzygnięta, ale mimo wszystko miała jeszcze jedną kartę.

- Wiem, że mnie kochasz, Victorze. Wiem to. Nie zaprzeczaj, bo czuję to tak wyraźnie jak dym z polan, które paliły się tej nocy.

Victor uśmiechnął się. Tego uśmiechu się nie spodziewała.

- Kocham cię, ale nie tak jak myślisz. Jestem twoim sługą i zawsze nim będę.

Wzrok Veridiany znów spoczął na jego twarzy.

- Doskonały rycerz Boży. Dimas zawsze to powtarzał... - Victor oblał się rumieńcem. - Nigdy więcej nie będziesz miał takiej sposobności jak ta - mruknęła przez zaciśnięte zęby. - Nigdy więcej nie będę rozmawiać z tobą w taki sposób - Veridiana nagle zmieniła ton głosu. - Ty, panie... byłeś dla mnie wszystkim.

- Może już czas, by to się skończyło.

Spojrzała na niego, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale ostatecznie nie odezwała się więcej. Odwróciła się, narzuciła kaptur i wolnym krokiem ruszyła ku miastu.

Victor nie ośmielił się jej powiedzieć, że miłość, jaką do niej czuł, była jedyną możliwą miłością doskonałą. Ze rzeczywistość, rutyna, utarczki z upływem lat czynią z miłości jej własną karykaturę. Że jego czysta miłość wytycza mu drogę samodoskonalenia, drogę do Boga. I że cokolwiek by się nie działo, nigdy nie zapomni smaku tamtego pocałunku w lesie. Nie ośmielił się jej wyznać, że w dniu śmierci być może nie zdoła sobie przypomnieć rysów twarzy Dimasa, ale na pewno przypomni sobie tamten pocałunek.

Victor westchnął ze znużeniem.

Chwilę patrzył, jak sylwetka Veridiany coraz bardziej się oddala, a potem nabrał czystego, porannego powietrza w płuca i ruszył do klasztoru.

Tak, był zmęczony, ale miał coś pilnego do zrobienia.

Musiał znaleźć Enrique. A wcześniej oczyścić i przygotować swój miecz.

Victor zdjął biały habit i poszukał swojego stroju wojennego. Ubierał się powoli. Najpierw gruby pikowany kaftan chroniący przed otarciami od kolczugi. Następnie pancerz, ochraniacze, nogawice. Potem na wierzch nałożył białą lnianą koszulę i zapiał

pas. Wreszcie narzucił białą pelerynę Zakonu i odszukał miecz. Była to piękna broń wyborowej toledańskiej roboty, o ostrzu obosiecznym, długim, prostym i ciężkim.

Hełm, rękawice i tarczę zostawił w celi. Nie będą mu potrzebne do tego, co zamierzał zrobić.

Mnich wyprostował się. Przypomniawszy sobie rycerskie czasy i poczuł napływ nowych sił. Lubił dotyk zimnego metalu w nielicznych miejscach, gdzie stykał się on bezpośrednio ze skórą.

Victor zmówił modlitwę i polecił się Bogu, nim wyciągnął miecz z pochwy i skierował do kwatery Enrique.

Znajdowała się ona w części klasztoru dawno już przygotowywanej na mieszkanie dla osób szczególnej rangi.

Gdy dotarł na miejsce, zapukał stanowczo.

Isidoro, młodzieniec przydzielony na służbę do hrabiego, poprosił go, by poczekał.

Victor nie potrafił uniknąć porównań i spostrzegł, jak bardzo zmieniło się to miejsce od czasu, gdy zamieszkał w nim Enrique. Kiedy przybył do Świata, był tylko prostym nauczycielem. Obiecującym młodzieńcem, który od razu wzbudził jego sympatię.

Smutny uśmiech zabłąkał się na jego wargi na wspomnienie tamtego Enrique, tak innego niż ten obecny.

Gdy wreszcie pozwolono mu wejść, hrabia de Rascón y Cornejo dawał niewątpliwe oznaki, że

dopiero się obudził. Nie krył zdumienia na widok Victora w bojowym stroju.

- Dzień dobry. Czemu zawdzięczamy to...? Mnich przerwał mu.

- Rozmawiałem właśnie z Veridianą.

- I...? - Enrique z trudem hamował ciekawość.

- Jutro zbiera się Rada i wiem, co ona zaproponuje...

Zaproponuje...

- Ona jest królową - tym razem to Enrique mu przerwał.

- Wiem, zawsze to wiedziałem. Po jej postawie, każdym geście, po każdym jej słowie. A jutro zaproponuje cię, panie, jako swojego współmałżonka.

- Oficjalnie poproszę ją o rękę przed całą Radą - Enrique pozwolił sobie na swój ironiczny uśmieszek.

- Tak przypuszczałem - odparł chłodno Victor. Położył dłoń na rękojeści miecza.

Enrique cofnął się o krok.

Dopiero po chwili zorientował się, że wyciągnąwszy broń z pochwy, mnich trzymał ją rękojeścią do przodu.

Victor ostrożnie ujął miecz i delikatnie pogładził jego ostrze. Uklęknął przed hrabią i w całkowitym milczeniu podał mu miecz.

Enrique stal oniemiały.

- Kazałem cię uwięzić, Victorze... Nie masz do mnie żalu o to, co zrobiłem w Toledo? O te lochy? O jaskinię skazańców?

- Nie, to było dawno temu. Enrique zaśmiał się.

- Niepoprawny sługa Boży! Dawno temu! Victor wstał i spojrzał hrabiemu w oczy.

- Już o tym zapomniałem.

Enrique musiał odchrząknąć, by poprosić go o coś, co z trudem przeszło mu przez gardło.

- Proszę cię o wybaczenie - powiedział ochrypłym głosem.

- Już ci, panie, wybaczyłem. Zresztą moje wybaczenie jest tylko marnym odbiciem tego, o które wszyscy będziemy błagać Pana.

Enrique milczał przez chwilę, przyglądał się mnichowi i wreszcie wziął miecz, który tamten ofiarował mu na znak przyjaźni.

Zwyczaj nakazywał, by on podarował mu w zamian własną broń.

- Niech brat chwilę poczeka.

Hrabia de Rascón y Cornejo poszedł po swój miecz. Wyciągnął go z pochwy. Lśnił jak nowy. Enrique przechowywał go pieczołowicie i czyścił często najdelikatniejszym piaskiem. Było to zajęcie, które zawsze wykonywał osobiście.

Wręczył broń Victorowi, który trwał przed nim na kolanach.

- Masz wielkie serce, bracie Victoree. Rozumiem, czemu Dimas tak bardzo ci ufał - powiedział kładąc mu dłoń na ramieniu. - Jestem pewien, że opieka nad duszami Świata jest w jak najlepszych rękach.

Victor wstał.

Po raz pierwszy Enrique uświadomił sobie, że mnich przewyższał go niemal o dłoń.

- Ja też powierzam w twoje ręce to, co najbardziej kocham. Dbaj, panie, o Świat i rządz nim mądrze. I... strzeż, proszę, jej. Jeśli tak postąpisz, zawsze, powtarzam zawsze, będę stał u twego boku. A wraz ze mną Zakon Świętej Cekliny: wszyscy waleczni mnisi na twoje rozkazy. Strzeż jej - powtórzył. - Obiecujesz, panie?

- Na mój honor, przysięgam.

O królach nowego świata

Na tę ceremonię przyozdobiono kościół girlandami i kwiatami. Prace budowlane nie zostały jeszcze ukończone i tylko w niektórych oknach lśniły kolorowe szybki lub alabaster; jednak przez większość swobodnie przedostawał się cichy wietrzyk.

Enrique kroczył długim przejściem wiedząc, że wszystkie spojrzenia skierowane są na niego. *Ody* kłębiły się wokół, błyskając swoimi świetlistymi skrzydełkami.

Mieszkańcy Świata tłumnie przybyli na uroczystość; nikt nie chciał jej przegapić. Wszyscy byli odświętnie odziani i nawet wieśniacy ubrali się na zielono, niebiesko i różowo, tworząc wielobarwny, radosny tłum, który nie mieścił się w kościele.

Hrabia de Rascón y Cornejo miał na sobie jedwabną tunikę, na której wyhaftowano jego herb: ptak na

ciemnym krzewie w niebieskim polu. Dodano do niego mały kwiat oznaczający, że teraz będzie również baronem de Fleurilles. Spod tuniki wystawała koszula wyszywana srebrną nicią. Długa biała peleryna obszyta gronostajem niemal dotykała podłogi.

Gdy przechodził, wszyscy kłaniali się z szacunkiem. Enrique de Rascón y Cornejo patrzył dumnie przed siebie i starał się kroczyć z godnością. W ślad za nim podążały *reity*, żadne pożywić się dumą, która dziś go wypełniała. Całe życie marzył o takiej chwili i teraz chciał się nią w pełni nacieszyć. To była jego wielka chwila.

Odetchnął głęboko i w myślach przebiegł całą drogę, która go tu doprowadziła. Przypomniawszy sobie tamten odległy dzień, gdy arcybiskup Tarragony Juan de Aragon wezwał go na sekretne spotkanie. Wtedy szedł, zdenerwowany, korytarzami pałacu myśląc, że dotarł na szczyt swoich możliwości. A przecież był to dopiero pierwszy krok jego błyskotliwej kariery. Wszystkie stanowiska, które zajmował, włącznie ze stanowiskiem Wielkiego Inkwizytora w Toledo, wydawały mu się z dzisiejszej perspektywy jedynie odległymi cieniami przeszłości. Najwspanialszy moment oczekiwał go tu, w nowym Świecie, w tym kościele.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, nie zdając sobie sprawy, że jego uśmiech wciąż wydawał się ironiczny.

Szedł przed siebie, nie spuszczając wzroku z podwyższenia, ku któremu się kierował.

Oczekiwała go tam Veridiana.

Wyglądała piękniej niż zwykle. Nałożyła długą purpurowo-brunatną suknię, której rękawy usiane były małymi guziczkami z perełek. Szeroki pasek haftowany złotą nicią podkreślał jej smukłą kibić. Włosy miała zebrane w czepek, którego tasiemki również wyszyto perłami. Wokół latał zostawiający za sobą tęczowe smugi *dielag*.

Obok niej stał Victor. Ubrany w biały habit, wyróżniał się prostotą swego stroju. Nie był już zwykłym mnichem, lecz przeorem Świętej Cekliny. Jednak nic w jego wyglądzie nie wskazywało na to, że zajmuje wyższe stanowisko niż inni bracia.

Za nimi wznosił się ołtarz, urna z relikwiami Świętej Cekliny i stara figura Świętego Łukasza. Nieopodal, na dwóch jedwabnych poduszkach, spoczywały dwie korony. Wykonano je ze złota, a ich skromna ornamentyka przywodziła na myśl regalia dawnych monarchów. Enrique poszukał wzrokiem oczu Veri-diany i uśmiechnął się do niej.

Miał wreszcie to, czego zawsze pragnął, a przede wszystkim miał ją, najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek poznał. Kobietę, która była tak podobna do niego.

Kątem oka spojrzął na Victora. Stał, zachowując śmiertelną powagę. Enrique wiedział, że wszystko, co teraz dostawał, mogło przypaść tamtemu. A jednak młody przeor zdecydował wyrzec się tego.

Enrique wbił wzrok w oczy mnicha i uśmiechnął się tryumfalnie.

Victor odpowiedział mu skinieniem głowy. Czuł na swojej piersi ciężar medalionu ofiarowanego mu przez

Dimasa. I wiedział, że jego własny medalion, подарowany dawno temu Veridianie, wisi obok jej serca. Na zawsze. Victor uśmiechnął się.

Enrique wszedł po stopniach i stanął przed ołtarzem. Jego kroki stłumił kobierzec kolorowych płatków sypiących się pod jego nogi. Słodki zapach kwiatów otoczył go niczym miękka zasłona.

Jeszcze kilka chwil i zostaną koronowani na królów.
Królów nowego świata.

KONIEC